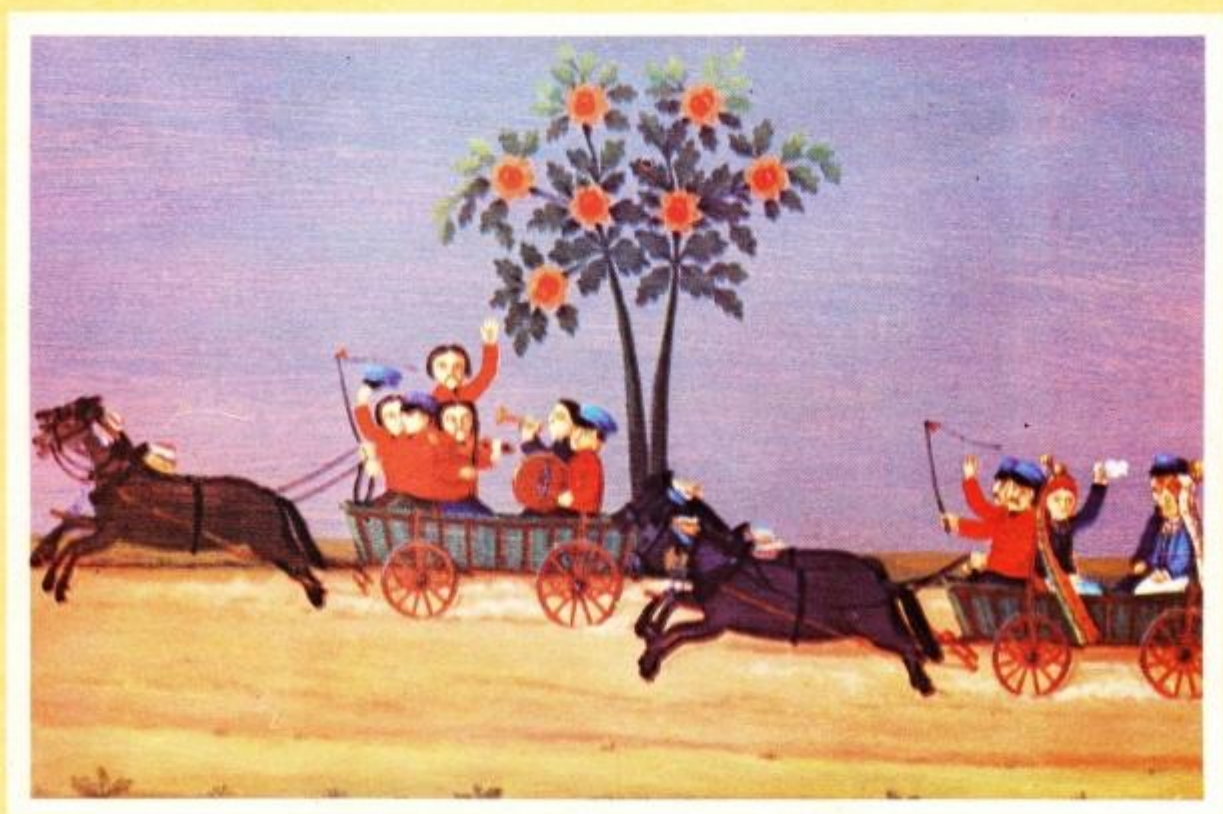


Twórczość Ludowa

R. II Nr 2(3) 1987
Cena 80 zł

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

ARCHIWUM
Stowarzyszenia Twórców Ludowych



■ **Twórczość** ■ **ludowa**

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA TWÓRCÓW LUDOWYCH

Nr ind. 37976X
PL ISSN 0860-4126

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Redaktor naczelny:
Sekretarz redakcji:
Kierownik Działu
Literatury i Sztuki Ludowej:
Redaktor techniczny:
Korekta:
Projekt okładki:
Zdjęcia:

Stanisław Weremczuk
Janusz Januchowski

Maria Brzezińska
Wiktor Lickiewicz
Romualda Grabowska
Zbigniew Strzałkowski
Leszek Kistelski

ADRES REDAKCJI:

20-112 Lublin, ul. Grodzka 14,
tel. 237-45

WYDAWCA:



RSW „Prasa-Książka-Ruch” —
Lubelskie Wydawnictwo Prasowe,
20-077 Lublin, ul. Jasna 6.

DRUK:

Lubelskie Zakłady Graficzne im.
PKWN, Lublin, ul. Unicka 4
Zakład nr 6, Biała Podlaska, ul.
Orzechowa 58.

Przekazano do druku w styczniu 1987 r. Nakład 4.000 egz., Z-9.

Na okładce: Obraz i rzeźba Stanisława Korpy z Rudy, woj. sieradzkie.

Chodząc po Grobli

„Zbyt wielkim twórcą, co prawda, nie jestem, ufam jednak, że gdy znajdę się w odpowiednim towarzystwie, jeszcze coś z siebie wykrzesać potrafię”. Tak charakteryzował siebie Władysław Rutkowski, poeta i działacz ludowy z podkrakowskiej Grobli w podaniu skierowanym do Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Było to w roku 1980-tych.

W latach 1983 i 84 Władysław Rutkowski „wykrzesał” z siebie wiersze, które przyniosły mu pierwszą nagrodę w konkursie literackim im. Jana Pocka. Dwukrotnie też wyróżniano jego prozę.

Jury konkursu w tych latach miało przyjemność odkrywania „światła, co pod korcem stało”, bowiem autor świetnej liryki uważał siebie przede wszystkim za satyryka, gdyż tylko ten rodzaj twórczości, przed sukcesem w konkursie, dostępował łaski publikacji.

Konkurs Pocka umożliwił nie tylko poznanie wierszy lirycznych o chłopskim rodowodzie, ale także poznanie ich autora — pełnego energii, elokwencji, żywotności działacza, który nawet w potocznej rozmowie posługiwał się plastycznym obrazowaniem. Był młody, przekroczył dopiero 65 lat. Jego głębokie „r” brzmiało radością, a gwara, którą napisał nagrodzony wiersz miała swoistą melodię...

Jo wiym,
ze to niemondre, ze to synsu ni mo
stoć na granicy
i dumać nad zoranyim polym,
beze mnie przecie
skilby ozmarzno, ozsypio sie zimom,
beze mnie sie skowronek z wiesnom
ozświrgoli.

(„Do syna”)

Szczęśliwie zachowała się również nasza ówczesna rozmowa.

— Czy ten wiersz, taki przejmujący, oddaje prawdziwe pana przeżycie?

— Dzieci są w mieście, żyjemy z nimi w zgodzie, ale o wsi nie ma im co mówić. A ja sobie powiedziałem, że jak wszyscy mądrzejsi ze wsi wyjadą, to kto na wsi zostanie? I zostałem na wsi, zająłem się pracami społecznymi, polityką w ruchu ludowym i trwam do dzisiaj.



Tadeusz Zak, *Kapela*, rzeźba w drewnie, Łazy, woj. kieleckie

JÓZEF MAŁEK

Dogasanie

Padła mgła na łąkę,
Posiwiwały konie.
Choć wstaję skowronkiem —
Już nie lecę do niej.

Łąkę wiatr odrosi,
Konie słońce zmaści.
Ino mej miłości
Nic już nie rozjaśni.

Osiwiął włos mi już,
Niby końska grzywa.
Zapleśniała miłość —
A była prawdziwa.

— Jak pan, panie Władysławie, rozumie rolę poezji ludowej w tej chwili?

— Ta poezja ludowa, która powstaje na wsi i z myślą o wsi jest przede wszystkim zrozumiałą dla chłopów. To jest najważniejsze. Ona potrafi obudzić wzruszenie. Bo przecież chłop nie ma czasu na czytanie całych tomów, tak, żeby usiąść i czytać, ale wystarczy jeden wiersz, który trafi mu do serca, to potrafi się wzruszyć. Ponad chlebem jest ta właśnie poezja, ta sztuka ludowa, która pomimo złowieszczych przepowiedni trwa i trwać będzie, dokąd będzie ziemia i praca na ziemi.

— Druga funkcja sztuki ludowej, której przykładem, dowodem jest, między innymi, pana nagrodzony wiersz — to obrazowanie głębokich przemian wsi. Choćby odejście dzieci do miasta. Pan to przyjmuje naturalnie, z dziećmi żyje w zgodzie, tylko nie rozumie, że one nie rozumieją...

— Ja już nawet rozumiem, że one nie rozumieją. Przemiany są i będą dalej. Przecież mój ojciec chodził za pługiem, a mąż mojej bratanicy, bo ona gospodarzy, orze traktorem. I z tym się trzeba pogodzić, bo to jest postęp. Ja nie mogę narzekać, że traktor jeździ po polach, a nie ojciec mój orze pługiem i bosymi nogami stąpa po roli. Ja do szkoły chodziłem boso, do kościoła boso, a dzisiaj dziecko do chrztu niesą w butach. To są przemiany, z którymi trzeba się pogodzić, trzeba je pochwalić nawet, bo są oznaką dobrobytu.

— Tak, ale są również przemiany, których nie chcemy. Choćby cywilizacja niszcząca przyrodę...

— Jesteśmy zatruci po prostu. Mieszkam na skraju Puszczy Niepołomskiej. W okresie międzywojennym z Puszczy Niepołomskiej pierwsze borówki (jagody) leciały samolotami do Anglii. Obecnie ani jednej borówki nie ma już w Puszczy Niepołomskiej. Wytruła Nowa Huta. A podobno, Nowa Huta się broni, że to wytruły tarnowskie „Azoty”...

— Poeci ludowi bardzo często sięgają po tematy zasadnicze, jak ojczyzna, poczucie godności...

— Oczywiście, chłop przestał być już niewolnikiem, jakim był. Nie odrabia pańszczyzny, stał się gospodarzem. I po gospodarsku zaczyna myśleć.

Chodzę znowu
po Grobli
starą, dobrze mi znaną drogą,
wymierzoną dokładnie
krokami ojca
i moim dreptaniem
tuż obok.

(„Droga”)

W dwa lata od tego wywiadu poetę ogarnęła ciemność. Wylew. Ze szpitala wrócił najpierw do mieszkania syna w Krakowie, na lato do swojej izby w Grobli. Propozycję rozmowy z dziennikarzem przyjął, jak zwykle, życzliwie, przepraszając tylko za zniekształconą nieco antykulację, za pauzy potrzebne do znalezienia właściwych słów i za to, że choć był dobrym księgowym — wszystkie rachunki i daty wytarły się z pamięci.

— Co mnie uratowało? Pogodzenie się, że z taką siłą nie ma co walczyć. Ja walczyłem z ludźmi, jakiegokolwiek było zło — nie wytrzymałem. Choćby mnie to kosztowało wyrzucenie z pracy. Ale poddałem się zupełnie kosowi po moim wylewie. Jak się tylko przebudziłem z nieprzytomności, już byłem pełen humoru. Dowiedziałem się, że już nie będę dobrze mówił, że nie umiem

WŁADYSŁAW RUTKOWSKI

Do syna

ze to niemondre, ze to synsu ni mo
stoć na granicy
i dumać nad zoranyim polym.
beze mnie przecie
skiby ozmarzano, ozypio sie zimom,
beze mnie sie skowronek z wiesnom
ozświyrгоди.

Jo wiyim,
ze to niemondre a nawet niezdrawe
stoć na granicy
i widzieć ino jedyn zagon,
jagby tyn drugi przy niym byl
colkiym nic nie wort,
jagby nie rodził chleba s tym moym
jednako.

Jo wiyim,
ze ty po cichu śmiół sie bedzies ze mnie,
ale powiyim ci,
ze zogon tyn lo mnie jes świyty,
bo po ostatnie dni
nie dom rady zapomnieć,
ze po niym chodził w boso mój ociec
przed świtym.

Jo wiyim, cego ty nie wiys — boś i nie choiół wiedz
ze kozdo skiba,
kozdo bryła na nasym zogonie
colkiym przesiokła od potu
rodu, co sie biydział.
ale na chiyb cudzy nigdy nie patrzul
lakomie.

Jo wiyim,
ze na swoji granicy jag na okopie
stoje ostatni,
dzisiok nich po świyty roli
na ślod ojcowych stóp swoji stopy
nie stawio,
A lo ciebie tyz
pole jes już ino polym.

rachować, ale swoich kolegów, tam na szpitalnej sali, pocieszałem — nie przejmujcie się, gnun! że życie. Ja też cieszę się, że żyję. A że nie mówię jeszcze? Podobno się nauczę. Głowa do góry! I tak dodawałem ducha chorym dookoła, a przede wszystkim sobie.

Ja nie wiedziałem jaki jest mój stan. Stan poznałem wtedy, kiedy lekarka zapytała nagle — a pani pamięta jaki kwiatek ma pan przy łóżku? Były goździki, ale ja cały dzień myślałem, jak się nazywa ten kwiatek. Wtedy się zorientowałem, że ja nie wiem. I było mi wstyd. Od

CIĄG DALSZY NA STR. 8

DZWONY



Władysław Kulawiak, Dzwon — sygnaturka (waga ok. 20 kg).
Odrowąż Podbalański, woj. nowosądeckie

DZWON, to potężny instrument muzyczny, to wyjątkowo artystyczny i wielce historyczny dokument, często o znaczeniu symbolicznym, łączący się dziś już nie tylko z kościołem. Były więc dzwony bojowe, alarmowe, sygnalizacyjne, zegarowe, kościelne małe i duże, dzwony okrętowe, na żaglowcach czy jachtach, dzwony kultowe, dzwonki przy drzwiach, ręczne dzwonki stołowe, szkolne, które starsi mogą jeszcze pamiętać, dzwonki do sonek, końskie, dla trzody i wiele innych. Wszystkie one posiadają właściwy sobie kształt, choć mogą mieć różną formę, ale jedno mają wspólne — dzwonią.

Piękna melodia dzwonów rozbrzmiewa wszędzie na kuli ziemskiej, ale u nas w Polsce dzwony znajdują wyjątkowe miejsce, spotykamy je licznie w największych miastach i odnajdujemy w najmniejszych osadach ludzkich, a często nawet w maleńkich kapliczkach na skrzyżowaniu dróg, w pustym polu lub w lesie. Ich srebrny głos nawiązuje łączność między ludźmi, nawołuje do zajęć codziennych, oznajmia południowy wypoczynek i wieczorne zakończenie pracy, ułatwia odnalezienie odłączonej od stada zwierzyny, często też odgrywa rolę biologicznego zegara.

Dzwon, to wyraziiciel naszych tęsknot i porywów, to zwiastun

chwil radosnych, gdy rozbrzmiewa dźwiękiem pełnym wesela w czasie uroczystości czy świąt, lub chwil smutku, kiedy ponure, poważne jego jęki przejmują serca nasze żalobą. Wszelkie momenty w życiu społecznym i religijnym wydzwanają nam liczne dzwony. Nawołują wiecznych do modlitwy i przepiękną muzyką, wysyłając dźwięki w niebiosy, zniewalają, o czym tak sugestywnie mówi Tetmajer w swoim wierszu:

*Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Maryja pozdrowio-*

*na,
Niech będzie Chrystus pozdro-*

*wiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich
kona...*

Dzwony były tematem, inspiracją dla pisarzy, poetów, muzyków, malarzy, rzeźbiarzy czy architektów, weszły w kulturę ludzi na całym świecie.

Historia dzwonów sięga bardzo wielu lat sprzed narodzenia Chrystusa. Już wtedy służyły one do rozmaitych celów, np. Hannibal używał ich w celach wojennych, jako pewnego rodzaju znaku bojowego, do walki, odwrotu, czy przegrupowań wojsk. Odlewami pierwszych dzwonów zajęli się obecni patron ludwisarzy św. Fornerkus biskup z Trim, a do kościelnego użytku po raz pierwszy dzwon zastosował biskup Paulin z Noli w Kampanii, stąd też przypuszczalnie pochodzi włoska nazwa dzwonów „campana”.

A tak odlewa się dzwony dzisiaj w ludwisarni Kruszewskich w Węgrowie: „Najpierw robi się rdzeń z gliny, który ma taki wykrój, jakie ma być wnętrze dzwona. Potem kształtuje się go szablonem, jeden prowadzi szablon, drugi smaruje gliną. Szablony robi się według wzoru sprzed stu lat pieczolowicie przechowywanego w firmie. Potem się rdzeń wypala i utwardza. Na rdzeń nakłada się glinę, znów kształtuje, bo taki będzie zewnętrzny kształt dzwona. I znów się wypala i utwardza. I tak warstwami. Ostatnia warstwa to „płaszcz” a między nim a rdzeniem powstaje wolna przestrzeń, na taką szerokość, jakiej grubości mają być ściany dzwona. Potem całość wkopuje się w dół przygotowany tuż obok pieca (dawniej czasami bywał to „babski” piec piekarski), a żeby forma nie podniosła się, zasypuje się ją ziemią i mocno ubija. Na wierzchu pozostaje tylko otwór w koronie dzwona, którym wlewa się spiż. Dzwon stygnie w ziemi, trzeciego dnia odkopuje się, odbija formę, z której pozostaje tylko kupa gruzu. Jest to już prawie dzwon. Jest czarny, chropowaty, trzeba go długo czyścić, toczyć, polerować. Przez polerowanie spiż otrzymuje złocistość, od której dzwon ma swoją urodę. Jeszcze tylko należy zawiesić go na próbne oddzwonienie, sprawdzić jego ton, czy dzwon się udał. Odezwał się, rozdzwonił... i to są narodziny dzwona!”

Ornamentykę dzwona przygotowuje się w drzewie, potem z gipsu

odlewa się negatyw i pozytyw. Pozytyw zalewa się ciepłym woskiem, następnie każdą literę wycina się bardzo dokładnie i umieszcza na powierzchni „falszywego” dzwona, jest to druga część glinianej formy, na którą przychodzi płaszcz dzwona. Tak układa się napisy, obrazy i ornamenty. Dużą sztuką właściwie specjalnością, i to trudną, jest przysposobienie obrazów i ornamentów na formę dzwona, gdyż nie są to proste ścianki, a obraz musi być czytelny i zachować swoje proporcje tak, jak został zaprojektowany.

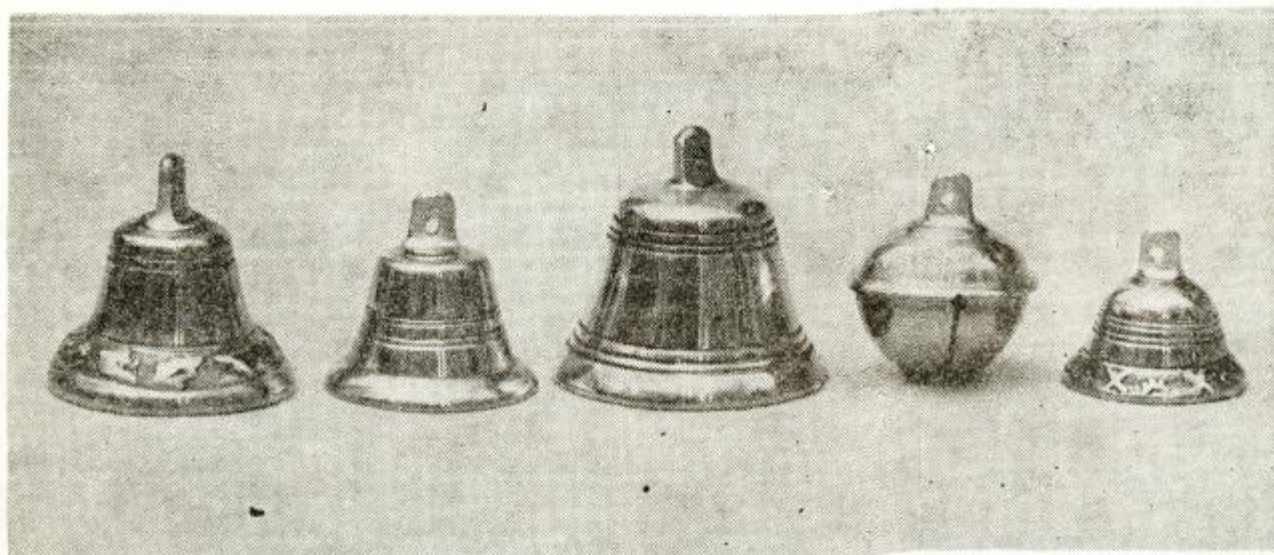
Wielkość dzwona rzutuje na długość trwania dźwięku, im więcej w spiżu jest cyny, tym dłużej brzmi dźwięk dzwona. Różnice w barwie tonu zależne są od wagi i kształtu dzwona. W dzwonach charakterystyką epoki zaznacza się jedynie w zdobnictwie. Dziś tylko recepty stopu miedzi i cyny ze specjalnymi dodatkami stanowią tajemnicę każdej ludwisarni. Właściwie dzwon formuje się przecież w glinie i to jest tak bardzo trudne, bo nie ma norm na glinę, norm, które określałby potem dźwięk spiżowego dzwona.

Dzwony, gdy jest ich kilka, można zestrajać w akordy, lub nawet, gdy jest ich więcej, według paru taktów jakiejś melodii, najczęściej bywa to „Salve Regina” lub „Ave Maryja”. Dzwony również zmieniły nieco swoją formę, od pierwotnego kształtu „Teofila”, jakby prostej torebki lekko dołem poszerzonej przez bardziej wydłużoną do współczesnego kształtu kielichowatego.

Bywają też dzwony kapeluszone, jak odwrócona miska. To dzwony gongowe tzw. cerillonowe do celów zegarowych. Te dzwony nie dzwonią tylko biją, jakby huczą i nie mają towarzyszących tonów. W jednym zegarze może ich być kilka, na wybijanie godzin, pół godziny, kwadransa.

Warto jeszcze przytoczyć parę faktów z bogatej historii dzwonów. Przecież każdy z nich jest indywidualnością. Na przykład „Wojciech” z Katedry Gnieźnieńskiej; od czasów bitwy pod Cecorą do czasów ostatnich, co dzień 9-ciu głuchymi uderzeniami wieczorem wzywa do modlitwy za poległych w bitwie rycerzy z hetmanem Żółkiewskim na czele. Wykonany z dzieła wziętych jako zdobycz wojenna w wyprawie moskiewskiej, był trzy razy przelany. W roku 1670 został uszkodzony, a następnie przelany w 1689 roku. W 30 lat później pokazała się w nim szczyrba, powtórnie przelał go w Gnieźnie ludwisarz Michał Wittwerk. Umieścił on, zwyczajem XVII-wiecznych i XVIII-wiecznych ludwisarzy, nazwiska i herby książąt kościoła oraz antyfonę do św. Wojciecha. Jego średnica ma 2,08 metra a ton As. Rezonans po jednym uderzeniu trwa 2 min. i 50 sek. Zasięg głosu wynosi 15 kilometrów. Serce waży 5 cetnarów, wprowadzić go w rozruch musi 8 ludzi. Od 1739 roku „Wojciech” mieścił

CIĄG DALSZY NA STR. 11



Władysław Kulawiak, Dzwonki, Odrowąż Podhalański, woj. nowosądeckie

Wybrane tezy wystąpienia sekretarza KC PZPR, Andrzeja Wasilewskiego na posiedzeniu Narodowej Rady Kultury w dniu 27 lutego br.

— Kultura polska, tak jak cały kraj, doznała w ostatnich latach wielkiego upustu sił. Wchodzimy w ostatnie dekady XX wieku osłabieni rozbićmiem, zaciemnieniem horyzontów umysłowych, emigracją zewnętrzną i wewnętrzną, nadwątleniem wiary we własne perspektywy. Przywrócenie sobie zdolności do szybszego ruchu na ostatnich odcinkach tego dynamicznego wieku musi być ogólnonarodową troską najwyższej rangi.

— Polityka kulturalna będzie sprzyjać powrotom do normalnych i zdrowych relacji międzyludzkich i międzygrupowych, powrotom bez utraty twarzy, ale i bez stawiania specjalnych warunków. Niech nikt za noszenie dumnie swojej głowy nie żąda za to ceny innych głów. Kulturze potrzebny jest klimat bezpiecznego rozwoju, ciągłości biografii twórczych, stabilności swobód, rzetel-

— Na kulturze spoczywa zadanie tworzenia poczucia tożsamości narodowej, jako czynnika pobudzającego do podejmowania zbiorowych poczynań. Kto podejmuje poważniejsze zadania w ogólnonarodowej skali, musi dbać o żywotność więzów tożsamości. Socjalistyczna państwowość bierze na siebie zadania zakrojone na najpowszechniejszą skalę i dlatego śmieszne jest ciągle jej pomawianie o chęć osłabienia więzi narodowej.

— Unowocześnianie wzorów tożsamości narodowej to wielkie zadanie współczesnej kultury. Polskość musi się stać bardziej otwarta na zmiany, ale nie padająca na twarz przed zagranicznym bożyszczem, bardziej ufna w swoje kreatywne możliwości, ale zdecydowanie mniej polonocentryczna, bardziej demokratyczna w swoim życiu zbiorowym, ale i bardziej myśląca w kategoriach państwa. Kultura winna odnowić wzorce godnego obywatelstwa, zdolnego kreować Polskę końca XX wieku.

— Kultura nie jest dobrem odświętnym i fasadowym, lecz wielopostaciowym pokarmem powszechnym, poczynając od wysokich treści moralno-umysłowych po rutynowy poziom materialnego otoczenia.

Kultura-niezbędnym czynnikiem przemian

ności kryteriów, sprawdzalności odbioru. Wszystko, co wzmacnia stabilną ewolucję, stwarza dalsze pomysły przesłanki kulturze. Wszystko, co grozi nowymi wstrząsami, powoduje dalszy rozpad twórczych sił.

— Postulat ciągłości kultury nie może oznaczać niezmienności jej organizacyjnych form funkcjonowania. To właśnie bezwzględne koszty przyczyniają się do pochopnego zrywania ciągłości. Reformy wprowadzane do systemu funkcjonowania kultury winny mieć zatem na oku cel dwojaki: zapewnić strukturom i formom zdolność do stałego odnawiania się, do płynnego odpowiadania na potrzeby czasu, po wtóre zaś — chronić kulturę przed kosztownym zrywaniem ciągłości, przed niszczytelką negacją własnego dorobku.

— Załedwie rozpoczęliśmy dzieło reformowania mecenatu kulturalnego w socjalistycznym społeczeństwie. Odwrotnie niż to bywało w przeszłości procesy reformy przybierają na sile wraz z umacnianiem się wewnętrznym państwa. Tylko od zbiorowej dojrzałości zależy, na ile państwo to stanie się demokratyczne i nowoczesne. Nie straszny jest dla tej perspektywy zadań pluralizm, jeżeli tylko nie staje się nośnikiem ingerencji z zewnątrz.

— Polityka kulturalna ochrania i będzie ochraniać swobody niezbędne dla sprawiedliwego sędziowania. Autonomia sztuki jako instancji moralnej, osądzającej świat w jego złożoności, musi być uszanowana. Sztuka ma prawo mówić pełnym głosem, ale niechaj będzie to głos sprawiedliwy i niezależny. Słusznym prawem sztuki do własnego głosu najwięcej szkody przynoszą głosy uzależnione, pozorujące swą wewnętrzną suwerenność, a wypowiadające tekst na zamówienie. Nie unikniemy konfliktów wokół wypowiedzi zamieniających sztukę w narzędzie agresji.

— Nie ma dziś w założeniach polityki kulturalnej państwa niczego, co mogłoby razić i odrzucać wyznawców najbardziej światłych, humanistycznych tradycji. Są natomiast nawyki długotrwałych nutyń, które nasza polityka także chciałaby odrzucić.

— Fundusz Rozwoju Kultury stworzył fundament finansowy, osłaniający życie kulturalne przed skutkami kryzysu. Rośnie on na miarę zasobności państwa, ale nie na miarę potrzeb rozwojowych. Rezerwy jednak istnieją. Tkwią one nadal w wielkich zakładach pracy. Rezerwy tkwią w ofiarności społeczeństwa, w znacznej swej części uwrażliwionego na godne cele kultury narodowej.

— Nie może być akceptowana sytuacja, że właśnie w stosunku do najszerzych potrzeb, wobec których mecenat kulturalny państwa powinien być szczególnie rzutki, sprawny i pomysłowy, wykazuje się najmniejsze ambicje działania, przyjmując jak gdyby za normę niemoc i stagnację. Uchwalona przez Sejm ustawa o upowszechnianiu położyła pod budowę kultury powszechnej sprzyjające jej podstawy prawne ale nie może zastąpić energii, woli, środków, konsekwencji.

— Na wołania idące od wielomilionowych dołów nie ma dostatecznego odzewu ze strony ogniw zarządzających. Nie mają na nie ucha producenci kultury, nastawieni przeważnie na potrzeby elit, nie mają zrozumienia poborcy finansowi, utrzymujący rodzaj prohibicyjnych podatków od działań upowszechniających. A przecież idzie o gwarantowany dostęp do kultury mas ludowych, o rzeczywistą realizację kulturowego równouprawnienia robotników, chłopów i inteligentów. Partia nie godzi się na pozostawianie tych potrzeb odłogiem. X Zjazd wypowiedział się zdecydowanym głosem o miejscu kultury w systemie ustrojowych celów i o szczególnych staraniach, jakie należy rozwinąć dla podnoszenia kultury powszechnej.

— Związani jesteśmy ze szczególną służbą mającą w Polsce bogate tradycje. Uczyniła ona kulturę przedmiotem dumy i nałożyła wysokie obowiązki chronienia jej, rozwijania i dzielenia na wszystkich. Pragniemy sprostać tej wysokiej tradycji, ale sprostać tradycji to znaczy działać po nowemu. Wszystkich, których czas przeszły nie uwięził w myśleniu uważamy za potencjalnych sojuszników.

ZDZISŁAW PODKAŃSKI

NIE STRACIĆ OSTATNIEJ SZANSY

Jeszcze nie tak dawno chlubą Tokar, leżących w woj. zamojskim, byli cieśle, stolarze i tkacze. Znała ich cała okolica. W mroźne, zimowe dni, do późnych godzin nocnych, w skromnych wiejskich domach „furczały” tu wrzeciona, kołowrotki i rytmicznie wtórowały im grubym basem tkackie warsztaty. Była to swoista melodia pracy i życia wsi.

Jak wspominają najstarsi mieszkańcy Tokar, wieś była biedna, musiała więc samowystarczalna. Każdy wykonywał, tak jak potrafił, narzędzia niezbędne do pracy na roli. Rolników nie stać było na kosztowne ubiory. Zebrany z trudem na polach len przetwarzali na płótno, tkaniny, chodniki i denki dla koni. Zręczne krawcowe z płótna szyły płachty, sakwy, białą pościelową, koszule a nawet garnitury. Garnitury z lnu, farbowane najczęściej na granatowo lub czarno, noszono jeszcze w okresie okupacji i w pierwszych latach powojennych.

— *Była to żmudna i ciężka praca* — mówi Bronisława Gąbka. — *Len przędło się na nitki grubsze i cieńsze. Te grube przeznaczane były na worki, płachty i sakwy, zaś cieńsze na koszule i białą pościelową. Utkane z nich płótno trzeba było bieleć przed szyciem. Wielokrotnie moczyło się je w wodzie, prało kijankami lub cepami i rozścielało na trawie. Przy ładnej pogodzie prace te trzeba było wykonywać nawet po trzy razy dzien-*

nie. Płótno poddane tym zabiegom stawało się miękkie i białe, w sam raz na poszwy.

Chodniki robiono z nici i szmat. Często nici farbowano w kilku kolorach, dodawało to chodnikom takiego uroku, że przykrywano nimi nawet łóżka. Jak wspominają Agnieszka Szafraniec, Jan Kwietniewski i jego żona Władysława: — *Tkało się przeważnie na potrzeby własne, czasem tylko sprzedawano znajomym albo na targach.*

— *Nasze wyroby wędrowały najczęściej do okolicznych wsi, do Huty Turobińskiej, Grudek, Chrzanowa, Tarnawy, Turobina, Zdzitowic. Czasem tylko docierały do Zamościa i dalej. Zresztą było ich sporo, bo prawie w co drugim domu był warsztat tkacki.*

A dzisiaj? Dzisiaj pozostało w Tokarach już tylko kilka warsztatów, trzech i to w sędziwym wieku cieśli, ktoś jeszcze potrafi robić stolarzkę i podkuć konia.

— *Świat poszedł naprzód* — mówi reprezentant młodego pokolenia — *Leon Bogudki* — *już niedługo to nawet trudno będzie znaleźć w okolicy kogoś, kto by zwykły lemiesz do pługa poklepał. Jest jeszcze na wsi sporo ludzi młodych, może i znaleźliby się tacy, których pociągnęłoby tkactwo, ale trzeba by ich zainteresować materialnie. Ktoś musiałby ich zachęcić i nauczyć.*

Trudno nie przyznać mu racji, zwłaszcza że w poszukiwaniu do-

datkowego zarobku codziennie dojeżdża autobusem robotniczym z Tokar do FSC w Lublinie (ok. 70 km) spora grupa mężczyzn. A właśnie mężczyźni jeszcze nie tak dawno wiodli prym w tkackiej robocie.

Razem zastanawiamy się, czy jest jeszcze szansa na podtrzymanie tradycji. Kto ma czynny warsztat tkacki? Kto mógłby podjąć się trudu przekazania wiedzy i umiejętności następcom? Przechodzimy od zabudowań do zabudowań. Rozmawiamy. Niestety, spóźniliśmy się trochę. Ostatni czynny warsztat przestał pracować poprzedniej zimy i to na zawsze. Jego była właścicielka mówi z zauważalną nutką goryczy: „Porąbał mi go syn na drewna, bo zajmował dużo miejsca w mieszkaniu”. Słowa: „porąbał”, „porąbałem” padają bardzo często. Jeszcze częściej wymieniane są nazwiska nieżyjących już, znanych tkaczek i tkaczy, a wśród nich: Jana Gąbki, (zmarł w 1980 roku), Stanisława Rycerza, Magdaleny Zdybel, Jadwigi Zdybel, Józefa Zdybła, Piotra Smyka (zmarł w 1986 r.) oraz wykonawcy warsztatów stolarza Pawła Czerpaka.

Rekonesans jednak opłaca się. Ustalamy kilka nazwisk osób, które potrafią jeszcze tkać. Wiemy już u kogo i w jakim stanie znajduje się warsztat tkacki. Jest ich kilka, niestety, w większości wymagają naprawy. Nie ma z tym jednak problemu. Bronisław Połski, dziś w wieku ok. 60 lat, deklaruje się nie tylko naprawić istniejące, ale dla dobra sprawy gotów jest nawet wykonać nowy warsztat. Kiedyś sam trudnił się tkactwem wraz z żoną Heleną. Ale kto będzie tkał? Zapytana o to 63-letnia Bronisława Gąbka skromnie odpowiada: — *Tkać bym potrafiła, ale musiałby mi ktoś przygotować warsztat. Sama nie mam już zdrowia i siły do tej pracy.*

Chętnie wróciłaby do tkactwa 60-letnia Agnieszka Szafraniec, niestety i jej warsztat został już porąbany.

— *Lubię tę pracę* — mówi — *i ludzie mnie ciągle męczą, żebym coś jeszcze zrobiła. Są nawet chętni do nauki.*

Razem liczymy koszt i niezbędny czas na wykonanie chodnika. By przystąpić do pracy trzeba mieć 20 kg lnianego włókna na uprzedzenie 20 motków nici oraz trzeba zakupić odpowiednią ilość ścieńców z cienkich tkanin. Koszt zakupu su-

rowców kształtowałyby się w granicach ok. 10 tys. zł. Przędzenie lnu zajęłoby ponad 40 dni. Dzisiaj taniej, jak za 1000-złotową dniówkę nikt nie podejmuje się tej pracy, zwłaszcza, że za inne płaci się znacznie więcej. A więc koszty przędzenia wyniosłyby ok. 40 tys. zł. Z tak przygotowanego surowca można by utkać ok. 60 metrów bieżących chodnika, co zajęłoby minimum 7 dni. Licząc dniówkę po 1000 zł dałoby to 7 tys. zł. Średnio więc koszt 1 metra bieżącego chodnika kształtowałby się w granicach ok. 950 zł.

Agnieszka Szafraniec godzi się podjąć pracę i uczyć inne osoby ale, tak jak i wszyscy pozostali, uzależnia to od zgody na współpracę Jana Kwietniewskiego, który „ma warsztat w szyku”. Kwietniewski, choć wrócił z młyna zmarznięty „na kość”, rozmawia z uśmiechem i konkretnie. Widać, że ma zacięcie do tej roboty. Gotów jest wspólnie z żoną, Agnieszką Szafranec, uczyć innych tkackiej roboty — „aby tylko byli chętni”. Najlepiej zimą, bo latem ma sporo pracy w gospodarstwie. Problem jest w niciach. Gdyby były osiągalne w sklepie, mogłby rozpocząć dosyć szybko. Natomiast jeżeli trzeba będzie przygotować przędzę samemu, to dopiero pod koniec marca.

Ale kogo będą uczyć? Spróbują sami rozeznaczyć, kto byłby chętny. Może zgodzi się zająć tym problemem Koło Gospodyń Wiejskich. Może przyjdzie z pomocą miejscowa Szkoła Podstawowa, w której pracuje siedmiu energicznych nauczycieli uczących 62 dzieci. Z rozmowy z nauczycielką Danutą Wrzyszczyk wynika, że na pewno dyrektor szkoły będzie sprzyjać tej inicjatywie. Jest możliwość wygospodarowania lokalu, prowadzenia nauki tkania w ramach zajęć praktycznych oraz kółka zainteresowań, w którym znalazłoby się miejsce dla młodych i starszych. Pomoc deklaruje również Stanisław Krzysiak, naczelnik Gminy Turobin i Anna Męczysłowska — pracownik Gminnego Ośrodka Kultury.

Powiało więc optymizmem i nadzieją. A niewątpliwą korzyścią z moich wyjazdów do Tokar jest i to, że ci zaci, pracowici ludzie dowiedzieli się wreszcie, co to jest Stowarzyszenie Twórców Ludowych oraz, że istnieje w Polsce i prowadzi szeroką działalność „Cepelia”.



Kobieta wiejska



Mojżesz

Marian Kaczanek, Rzeźby w drewnie, Lisięcice, woj. opolskie

TADEUSZ MICHALSKI

Opowiadka o niespełnionym życiu

Nie chciał tak nędznie żyć
 długo wahał się przed śmiercią
 na krzyż swojego życia się zaklinał
 kałeki żebrak co wyskarbił sobie
 mogiłę z litościwym drewnianym krzyżem
 było to jego ostatnie rozdroże
 uprosił sobie jak grosze zbawienie
 teraz pokrzywy na jego mogiłę
 czynią nieustanny płacz
 u wezłowią różańcem pokutnym
 o jedną zdrowaškę
 którą nieskończenie wypowiadały kalekiego usta
 ktoś ludzkim odruchem uklęknął u tej mogiły
 i ocalił świat od wielkiej biedy
 resztkami spróchniałego krzyża

Chodząc po Grobli

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

południa do wieczora nie przypomniałem sobie. Uprosiłem po cichutku kolegów z sali — powiedzcież, bo mi wstyd będzie. Stary chłop, żeby nie wiedział jak się kwiatek nazywa. Po kryjomu mi powiedzieli, do rana zapomniałem. Męczyłem się — coś z drutem, gwoździem... Przypomniałem sobie. No to mi ulżyło.

Posłyszałem przypadkiem, jak lekarzka mówiła: „Tak, to się może 3—5 lat uczyć. To nie tak łatwo idzie”. I wtedy się nie załamalem, nie. Pięć lat, to pięć, tak mi się zdawało, że chyba wiecznie będę żył. A tymczasem — dni policzone. Ponieważ czasu mało, to tak obliczałem, że dwie trzecie jeszcze mnie czeka, że przepracowałem jedną trzecią tej pokuty...

To jeden moment, to w jedno drgnienie
Świat się załamał, sens poszedł w dnazgi.
I nie zostało nawet westchnienie,
Tylko strzęp ludzkiej, bezmyślnej miążgi.
I była masa ruchliwa, żywa,
Tylko języka nikt do niej nie miał.
I nikt nie wiedział, gdzie się ukrywa
Klucz do tajemnic jądra istnienia.

Może to trwało wszystko inaczej?
Może widziałem wewnątrz lepiej?
Może zdołałem sens nowych znaczeń
Pojąć i złączyć w jednym przeczepie?
Nie wiem. Nic nie wiem. Przez wiele godzin
Nic nie wiedziałem — kto mnie przyzywa,
Kto mi raz jeszcze każe się rodzic
I nową partię z losem rozgrywać?

Rozwarłem wreszcie na moment oczy,
Lecz nikt nie wiedział co będzie dalej,
Czy bóg o życie tylko się toczy,
Czy też świadomość już się rozpali?
Lecz nie jest łatwo wracać do życia.
I nie jest łatwo wracać do ludzi.
Trudno wydostać światło z ukrycia,
Trudniej skierkę do życia wzbudzić.
(„Po wylewie”)

— Ten wiersz pisałem ponad miesiąc. No strasznie mi szło ciężko. Musiałem przekreślać każdą źle napisaną linijkę, źle napisane słowo... Bo mi brakowało tego słowa, ja musiałem łowić to słowo... Czasami się zdarzało, że na drugi czy na trzeci dzień znalazłem potrzebny mi wyraz. No przecież muszę napisać uczciwie to, co rozumiałem, co myślałem, jak to czułem. I tak szukałem przez cały miesiąc aż znalazłem.

— Kupiłem sobie jedną jedyną realność — 10 arów gruntu, wyschnięty staw. Takie trzęsawisko, które wyrównałem. Jak po powrocie ze szpitala chciałem podlać kwiatki, to mogłem tylko w czajniczku przynieść wody, więcej nie uniosłem. Ale za to od świtu do nocy stałem na powietrzu siedziałem. Nie rozmawiałem z nikim prawie, tylko jak ktoś przechodził. To tak uważałem, żeby powiedzieć jakoś sensownie, czasami się niesensownie mówiło. Uciekałem, po prostu wstydiłem się ludzi, bo przecież znali mnie, dość dobrze potrafiłem mówić, a tu nie było co... Ale nie wolno ustąpić. Ja to ciągle mówiłem i mówię i sobie powtarzam — nie wolno.



Władysław Rutkowski

* * *

Te dwie rozmowy, dwa spotkania z Władysławem Rutkowskim niech uzupełni autobiografia, jaką poeta nadesłał do Stowarzyszenia Twórców Ludowych:

„Urodziłem się w roku 1916, w Grobli, dawny powiat bocheński, obecnie województwo miejskie krakowskie. Rodzicami moimi byli Jan i Zofia, chłopcy posiadający 2,5 ha gruntu. Ojciec zajmował się oprócz tego szewstwem, co umożliwiło mu wysłanie mnie do gimnazjum w rok po ukończeniu przeze mnie szkoły grobelskiej, 5-klasowej. Niestety, zmarł w tym samym roku i ja o własnych siłach musiałem pchać się do matury. Byłem podobno bardzo zdolny, toteż nie brakowało mi korepetycji. Na gimnazjum skończyła się, niestety, moja edukacja, bo i środków nie miałem na dalsze kształcenie i uznałem, że więcej dobrego zdziałam, kiedy zostanę na rodzinnej wsi. Zostałem, cudów nie zdziałalem, zresztą wojna w niedługim czasie wybuchła, więc jakże było nie działać w konspiracji? W efekcie musiałem uciekać z rodzinnego domu w roku 1941 i do końca ukrywać się pod zmienionym nazwiskiem u Alfreda hr. Morstina, brata Ludwika Hieronima, którego często tam spotykałem.

Po wojnie wróciłem do rodzinnej wsi i zająłem się pracą społeczno-polityczną, stałem się działaczem spółdzielczym. Byłem prezesem zarządu gminnego i członkiem zarządu powiatowego ZSL, radnym gminnym i powiatowym, prezesem, a potem głównym księgowym GS. W tym czasie nie zajmowałem się zupełnie twórczością, zapomniałem, że pierwszy wiersz wydrukowałem w warszawskiej „Zorzy” w wieku lat 12, a w rok później 2—3 wiersze w „Gazecie Grudziądzkiej”, że przez całe gimnazjum uchodziłem za „wielkiego poetę”. Za okupacji przepadły moje rękopisy, częściowo zabrali je Niemcy w czasie rewizji w domu, częściowo zniszczyły w wilgotnym schowku, a resztę rozebrali znajomi. Nie pisałem prawie nic przez pełne 20 lat.

Odstałem zupełnie od dzisiejszej poezji przez te 20 lat młoczenia. Wisława Szymborska z „Życia Literackiego” i Tadeusz Nowak z „Tygodnika Kulturalnego” odpisali mi odręcznie (mam przynajmniej ich autografy!), że moje wiersze owszem, owszem..., ale jakies staroświeckie, wtórne i brak w nich wielkiej metafory. Musi to być prawda i dlatego szczerze o tym piszę, chociaż nie miałbym, ale ja inaczej na razie pisać nie potrafię, a po prawdzie nie chcę.

Chciałbym przede wszystkim, ażeby moje wiersze służyły ludziom prostym, ludziom ze wsi, którzy nie mogą pojąć najnowszej poezji. Żeby jednak mogły służyć, musiałyby być drukowane, musiałyby się ludziom przedstawić. Co pięć lat palę wszystkie swoje nie drukowane wiersze, chyba, że któryś się gdzieś tam zawleczny, to ocalaje. Od dwóch lat zamieszcza moje satyryczne wiersze „Chłopska Droga” (dotychczas 33), ale lirykę trzeba będzie za rok spalić.

Jestem, według mojego rozeznania, poetą ludowym, bo piszę ze wsi, o wsi i dla wsi, nie marzę o wielkich poetyckich sukcesach, chociaż w młodości te marzenia nie były mi obce, ale do Stowarzyszenia Twórców Ludowych nie pcham się. Po prostu nie bardzo jest z czym. Przyznam się, że zdeterminowała mnie dyskusja w „Więściach” na temat: „Twórca ludowy — kto to

dzisiaj jest”, w czasie której redaktorzy starali się udowodnić, że obecnie nie ma już twórców ludowych, a zwłaszcza poetów. Nie zgadzam się z nimi, zdenerwowałem się, napisałem do redakcji polemiczny felieton, przemyślałem nieco i... zgłaszam akces do STL. Nie zgłaszam się ze względu na rentę, bo taką już mam. Niewysoką wprawdzie, ale zaszczytną, bo „z tytułu specjalnych zasług dla PRL”. Pragnę jedynie pisać i już nigdy nie palić swoich wierszy. Chyba, że naprawdę będą zię.

Władysław Rutkowski
32-705 Grobla
woj. krakowskie”.

Do Władysława Rutkowskiego, już członka STL wysłano ankietę a w niej pytania: — Czego Kolega oczekuje od miejscowych władz administracyjnych? — Dla siebie nie. Społecznie — prawdziwego zainteresowania sprawą upowszechniania i współtworzenia kultury na wsi — padła odpowiedź.

i drugie pytanie: „Czego Kolega oczekuje od Stowarzyszenia Twórców Ludowych? — Wydawania co najmniej miesięcznika, w którym by pisarze ludowi mogli drukować swoje utwory.

MARIA BRZEZIŃSKA



Bronisław Grzywa, *Woje Mieszka I*, rzeźba w drewnie, Radom



Marianna Szczepaniak, *Pieśń legionów polskich we Włoszech*, rzeźba w drewnie, Antoniówka, woj. siedleckie

Dom ocieniony ogromną gruszą i obrośnięty winoroślą pojawia mi się uparcie i znika jak fatamorgana. Oblana żarem słonecznym odruchowo wciągam do płuc powiew chłodniejszego powietrza i nagle czuję zapach zimnej wody ze studni, której domyślam się na podwórzu. Dom jest nieduży. Gąszcz malw i dziewanny wspinając się ku przeżegnanym ramami oknom maluje barwne plamy na białonych wapnem ścianach domu. Belki, na krzyż zakładane na węgielkach, biegną pod szeroki okap, gdzie przylepiona do ściany szaro-brunatna kępka gliny zdradza obecność jaskółczej rodziny.

W półmrocznej sieni, z której dwoje niskich drzwi prowadzi do pomieszczeń mieszkalnych a stroma drabina na okurzonej tajemnicą strych, dostają do ręki kubek pełen wymarzonej, lodowatej wody.

— Ojciec jest na ogrodzie — mówi młoda, opalona na złoty kolor dziewczyna w kolorowej, cienkiej sukience.

Wąska, wydeptana w trawie ścieżynka znika pomiędzy drzewami owocowymi, kwiatami i krzewami bzu, który o tej porze już przekwitwał. W nozdrza uderza pachnący upałem aromat miodu. Ucho wyławia narastające w powietrzu buczenie. Liście bzu ześlizgują się po włosach otwierając fascynujący widok. Wysoki, nieco przygarbiony mężczyzna, z ogromną siatką na twarzy, stoi wśród drgającego od pszczoł powietrza i kłębow dymu, którym „okurza” błyszczący plaster wyjęty z otwartego ula. Wyobrażam sobie pod tą siatką i słomkowym kapeluszem długie, siwe włosy i także zarost. Powinien mieć jeszcze starą, wystużoną fajkę. Oczy zmęczone, ale mądre. Patriarchalny starzec otoczony ciżbą wyrzeźbionych w lipowych klockach Chrystusów fraszobliwych, bajdurzący o sielskich, bajecznych czasach. Może to być zarówno Adam, jak św. Józef czy Piast Kołodziej. Sama czuję się od razu jakby bliżej sakralnego środka świata.

— Pani do mnie — pyta zdziwiony?

Rozmowa przy drewnianym stole pod gruszą, miche pełne okraszonych skwarkami ziemniaków i głębokie talerze z chłodną tonią zsiadłego mleka. Wolno padają mądre, wyważone słowa. Przypominają bzyk pszczoł...

Taki oto stereotyp twórcy ludowego ovladnął moją wyobraźnię. Narzucał się tłem o arkadyjskiej

Ojciec przy obrzędku...

szczęśliwością rodem z „Pana Tadeusza” i kolorowych „Lipiec” z „Chłopów” Reymonta.

Literatura, czytanie, a może zwykła, naturalna tęsknota za czymś czystym, ożywiającym jak źródłana woda, za harmonią z naturą, której nam tak brakuje w sztucznie konstruowanym i zapędzonym świecie? Tęsknota, która kryje się gdzieś tam na dnie w każdym z nas...

Tymczasem zimowy krajobraz migający za oknami autobusu uzmysłowił mi, że to tylko gra wyobraźni przed spotkaniem z twórcą ludowym, i że chyba nie się nie sprawdzi, nawet gdybym wszystko przeformowała na warunki zimowe. Mimo wszystko żal mi się zrobiło tego nastroju, jaki udało mi się w sobie wywołać. Magnetofon gniół mnie w kolano i natrętnie przypominał cel wyjazdu do Motyła, gdzie Czesław Maj miał być informatorem potrzebnym do pisanej właśnie przez mnie pracy. Kwestionariusz z pytaniami dotyczącymi ognia leżał w torbie.

Śnieg nie trzeszczał pod butami, nie było dużego mrozu. Zatrzymaliśmy jakąś kobietę, by zapytać o dom pana Maja. Uśmiechnęła się.

— Pewno, że znam, wszyscy go tu znają — powiedziała wskazując ręką kierunek.

Dom nie był ogrodzony. Od drogi oddzielało go kilka drzewek rosnących w rzędzie. Zaraz za nimi stał pańterowy, murowany budynek z podwójnymi oknami. Niczym nie różnił się zewnętrznie od wielu podobnych w mieście.

Idąc po wydeptanej w śniegu ścieżce obeszliśmy dom dookoła. Wejście znajdowało się od podwórza, gdzie doskonale widoczna sto-

doła i obora oraz inne gospodarcze budynki tworzyły zamknięty z trzech stron plac. Na śniegu, między tymi obiektami, krzyżowały się we wszystkie strony ślady zimowych butów.

Nie było sieni, jakiej mogłam oczekiwać w wiejskiej chacie. Na podłodze lenteks, ściany malowane emulsją. Jasno i przestronnie. Wiedziałam już, że nie będzie pieca z okapem i obszernym zapiekiem. Szkoda!

— Ojciec jest w oborze przy obrzędku. Zaraz będzie — powiedziała młoda dziewczyna w dżinsowej spódnicy i turkusowej bluzie. — Niech pani wejdzie.

Wprowadziła mnie do skromnie urządzonego pokoju. Mógł równie dobrze uchodzić za miejskie pomieszczenie mieszkalne. Nieduży stół, dywan na podłodze, telewizor. Zamiast zsiadłego mleka pojawiła się na stole mocno zaparzona herbata.

„Twórca ludowy daje świniom jeść” — myślałam parząc sobie język pierwszym łykiem. Pamiętałam jednak po co przyjechałam. Kwestionariusz szeleścił w rękach, magnetofon czekał na stole w pogotowiu.

Pan Czesław Maj wszedł pewnym, harmonijnym krokiem, był uśmiechnięty i bardzo uprzejmy. Ubrany zwyczajnie, nie wyglądał na rolnika, gospodarza ani na ludowego muzykanta, jak to sobie wyobrażałam. „Odpytywanie” kwestionariusza. Pan Czesław pamięta wiele ludowych wierzeń, podań, wyobrażeń dotyczących ognia. Wypowiada się literacką polszczyzną, z rzadka tylko okraszoną gwaraowymi naleciałościami. „Polski folklor jakoby się wyobcowuje” — po-

DZWONY

myslałam patrząc na twórcę ludowego, usytuowanego na tle biblioteczki, wersalki, foteli — w pokoju nie przypominającym izby wiejskiej chaty. Dobrze, że są ludzie, którzy starają się go przechować, choć jest to działalność już tylko zewnętrzna w stosunku do spontanicznej ludowej twórczości. Ale czy rzeczywiście tak jest?

Kwestionariusz „odpytany”. Wyłączam magnetofon. Mimo wszystko jestem zadowolona. Pan Czesław odpowiada niezwykle ciekawie, jest samorodnym talentem gawędziarskim. Moc nowych, nie znanych mi dotąd informacji klebi się w głosie. Kultura opiera się przecież w dużej mierze na rodzimej tradycji ludowej z tym, że ludowy światopogląd jest znacznie ciekawszy, bardziej oryginalny od wielu wyznawanych przez ludzi wykształconych.

Pan Maj pokazuje mi zbiory pieśni ludowych, które udało mu się wyzperać, odszukać i utrwalić. Kataje od zapomnienia to, co już ginie, co wypierane jest przez nowoczesność i powszechny dostęp do kultury. Czy odrodzi się kiedyś jeszcze, aczkolwiek już w innej formie?

Maj sam również pisze wiersze, choć inne nieco od typowej, dawnej ludowej twórczości. Da się w nich odczytać głębsze, świadome przeżycie, które potrafi wynieść autora ponad zmysłowe opisy świata i zachwyt nad nim oraz przywiązanie do ojcowizny. Gra także na różnych, ludowych instrumentach muzycznych i śpiewa w kościelnym chórze. Człowiek uzdolniony zawsze znajdzie dla siebie miejsce. Dobrze, że właśnie taki człowiek, jak pan Maj zajmuje się utrwaleniem i upowszechnieniem zanikającego folkloru lubelskiego. On sam jest gwarancją niezafalszowania obrazu, jaki przekazuje innym: jest nośnikiem folkloru.

Pełna optymizmu wsiadłam do wyzębionego autobusu, w którym wiało po nogach. Od środka grzał mnie jednak nadal obraz starej, wiejskiej chaty otoczonej zielenią drzew i brzęczeniem pszczoł. Byłam spokojna o los tej chaty, bo wiedziałam, że jej wizja nie zatrze się jeszcze tak szybko w świadomości ludzi. Współczesny twórca ludowy też na swój sposób kontynuuje ten właśnie mit. Wpisuje się w odwieczny ciąg archetypów wyrastających z obcowania z naturą, transcendencją. Pozwala mieć nadzieję.

CIĄG DALSZY ZE STR. 4

się w osobnej dzwonnicy w Bożej Roli (amentanz przy Katedrze). W 1932 roku przywieziony został do północnej wieży Katedry, gdzie istniał już zespół dzwonów: „Wojciech” mniejszy, „Bogumił”, „Stanisław” i „Florian”. Podczas okupacji Niemcy zamierzali zdjąć „Wojciecha” lekceważąc wartość i znaczenie tego zabytku ludwisarskiego, nie mogli, gdyż należało wykonać wielki wyłom w murze wieży. Podczas działań wojennych szczyt bazyliki i obydwie wieże znalazły się pod ostrzałem artylerii, wskutek pożaru dzwon runął, ale oparł się na betonowych zapórach wieży i ocalał. W kilka miesięcy potem historyczny dzwon został zawieszony na dawnym łożysku.

Ciekawa historia związana jest z dzwonem „Zygmunt” przeznaczonym dla kościoła św. Stanisława Kostki w Łodzi. Wobec trudności odlania go w jedynej, większej polskiej ludwisarni w zaborze rosyjskim, mieszczącej się w Pustelni pod Warszawą, J. John wykonał odlew żeliwa w Łodzi, a dzwon został odlany 14 maja 1911 roku. Twórcą jego był kierownik odlewni Władysław Wagner, ponoc potomek Jana Wagnera, ludwisarza z Nowej Wsi Sposkiej. Piotr Wagner, pradziadek Władysława Wagnera, ceniony był jako zdolny ludwisarz krakowski w XVIII wieku.

Idąc dalej w historię ludwisarstwa warto zaznaczyć, że w 1928 roku Stocznia Gdańska, w celu zaznaczenia wielowiekowych tradycji łączących ludwisarstwo gdańskie, stojące na bardzo wysokim poziomie, z ludwisarstwem innych ziem polskich ofiarowała Warszawie 4 dzwony spiżowe, ornamentowane przez artystę rzeźbiarza Aleksandra Borawskiego, ucznia prof. Xawerego Dunikowskiego. Dzwony te mają symboliczne imiona: dzwon wdzięczności „Zygmunt” ku uczczeniu Małopolski, dzwon łączności „Kazimierz” i dzwon zwycięstwa „Jan” ku uczczeniu Warszawy. Na małopolskim „Zygmuncie” umieszczone są pomiędzy innymi postacie

Mickiewicza, Chopina, Kościuszki, ks. St. Konarskiego, św. St. Szczepanowski i arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego.

A z lat przedwojennych; w dniu 20 marca 1936 roku został wykonany odlew dzwonu „Zwirko i Wigura” przeznaczony do umieszczenia w polskim kościółku w Cierlicku, miejscu tragicznej śmierci lotników. Odlew wykonała ludwisarnia Felczyńskich w Kaluszu. Do odlania dzwonu zużyto w kilogramach: 616 brązu, 556 czystej miedzi, 200 cyny, 19 srebra. Na dzwonie umieszczony został napis: „Porucznik Wojsk Polskich Franciszek Zwirko i inżynier — konstruktor Stanisław Wigura zwycięzcy Międzynarodowego Challenge Lotniczego w roku 1932 zginęli śmiercią lotników 11.9.1932 wskutek straszliwej burzy nad Cierlickiem Dolnym, w drodze na zawody lotnicze w Pradze. Dzwon ten ufundowano na wieczną pamiątkę ich bolesnej śmierci, która wstrząsnęła do głębi całym społeczeństwem polskim”. Rzeźby portretów obu lotników i ornamentyka wokół dzwonu wykonane zostały przez krakowską rzeźbiarkę Hannę Walową, uczennicę prof. Dunikowskiego. Dzwon ten znajdował się jesienią 1939 roku w Muzeum Regionalnym w Cieszynie, jako tymczasowy depozyt. W okresie rekwizycji przez okupanta metalu niezbędnych zabrano go w 1941 lub 1942 roku z Muzeum i wywieziono do Niemiec. Prawdopodobnie spotkał go ten sam los, co wiele innych dzwonów grabowanych w krajach okupowanych — przetopiono go na cele wojenne.

Już z tych wrywkowo podanych wiadomości jasno wynika, że na przestrzeni dziejów dzwon był bardzo mocno związany z człowiekiem, z jego życiem, kulturą i historią. Dziś często staje się również pomnikiem, symbolem jakiejś sprawy, czy historii, jak „Dzwon pamięci” w Hiroszymie, Buchenwaldzie, dzwony na „Rok Dziecka” zawieszane w Sofii, czy ostatnio „Dzwon Pokoju” zawieszony w Poznaniu.

KRYSTYNA WIDERMAN

„Tradycyjnie chłopcy byli klasą kulturotwórczą a ich oryginalna twórczość w zakresie sztuki plastycznej, muzyki, pieśni, tańca, obyczajów, architektury, zdobnictwa, haftów i strojów posiadała kolosalną doniosłość dla rozwoju kultury narodowej. Kultura ludowa spełniała w ramach kultury narodowej kilka funkcji. Z jednej strony była ona jakby „przechowalnią” istotnych wartości, które w miastach ulegały szybszym przemianom a we wsiach były przechowywane pieczołowicie jak np. obrzędy, pieśni, stroje itd. Była to doniosła rola w utrzymywaniu ciągłości i tożsamości kultury narodowej. Z drugiej strony chłopcy tworzyli nowe wartości estetyczne, obyczajowe, literackie, niezależnie od zmiennych i bardziej kosmopolitycznych wartości przejawiających się w kulturze innych klas. (...) W pewnym sensie ta sztuka była tworzona przez całą klasę i była jedyną sztuką klasową w naszym społeczeństwie”.

Ten, nieco przydługi ale ważki treściowo cytat, wyjąłem ze szkicu Jana Szczepańskiego *Chłopi jako twórcy kultury* otwierającego 4/1986 numer kwartalnika „Akcent”, poświęcony niemal w całości kulturze chłopskiej. Już sam pomysł wydania monograficznego numeru, prezentującego w sposób przemyślany i z różnych stron zagadnienie kultury wsi, jej źródeł, wartości i uwarunkowań, jest zjawiskiem dosyć niezwykłym. Trzeba tu bowiem dodać

dla osób mniej zorientowanych, że „Akcent” jest kwartalnikiem poświęconym literaturze i sztuce współczesnej. Redagują go twórcy z młodego i średniego pokolenia, które w większości dystansuje się przecież od wszelkiej „wiejskości” a tym bardziej „chłopskości”.

„AKCENT” o kulturze chłopskiej

Tę niezwykłość pogłębia zawartość numeru. Mimo dyskusyjności niektórych ocen czy analiz, a także niekiedy „inteligentnego” sposobu patrzenia, szczególnie w sferze socjologicznej, numer ma wartość nie tyle przelotną, okazjonalną, co trwałą. Można też traktować go jako przegląd aktualnego stanu myślenia o kulturze chłopskiej, widziany z pracowni folklorystów i ośrodków opiniotwórczych. Stąd też warto i trzeba go polecać, mimo że w sprzedaży kioskowej tenże numer „Akcentu” został już zastąpiony kolejnymi. Jest jednakże nadal dostępny w siedzibie Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych, w Lublinie w sprzedaży wysyłkowej za zaliczeniem pocztowym (adres — tak jak w stopce redakcyjnej „TL”, cena 80 zł, objętość — 204 str.).

Zasygnalizujemy zatem, choćby

w kilku zdaniach, zawartość rzeczową numeru. Prócz wspomnianego na wstępie szkicu Jana Szczepańskiego, na uwagę zasługuje otwarty przez Jerzego Bartmińskiego cykl opracowań o nowatorskim spojrzeniu, pod wspólnym tytułem *Język i ludowa wizja świata*. Zaintereso-

wani twórczością literacką znajdą esej Aliny Aleksandrowicz pt. *Ludowi Tyrceusze*. Naszych stałych czytelników w sposób szczególny mogą zainteresować materiały: Marii Chodkowskiej — *Socjologiczna koncepcja społecznej roli twórcy ludowego* i Janusza Plisieckiego — *Nowoczesne pojęcie twórczości*. W dziale „Przekroje” czytelnik znajdzie wartościujące omówienie najważniejszych wydawnictw z zakresu kultury chłopskiej i folkloru. Ponadto — chłopski system wartości w ujęciu socjologicznym i inne opracowania, spotkanie z Tadeuszem Nowakiem, opowiadanie Kazimierzy Sekulowej, wiersze Wandy Czubernat, informacje i doniesienia. Całość warta nie tylko zabiegu czytelniczego ale i miejsca na półce w domowej bibliotece.

STW

EUGENIA KOSOWSKA

Jesienne liście

Ostatnie jesienne liście
wiatr z drzew postrącał.
pędzi je gdzieś po świecie
topiąc w rdzawych kałużach.

Jesienne liście, dokąd pędzicie?
gdzie jest kres waszej drogi?
czy wraz z ptakami gdzieś wędrujecie
aby powrócić tu wiosną?

Już nie wróćcie, w swych drzew gałęzie,
tam młode listki, się zazielenią
a wy targane, wichrem po świecie
spoczniecie w czarnej ziemi.

TADEUSZ MACHNOWSKI

Na wodzie pisane

Byłem
w ten najpiękniejszy miesiąc
zakochany w wędce
przychodziły dziewczyny
różowe niczym krew z mlekiem
przytulne jak
gniazda łabędzi

przychodziły dziewczyny do mnie
nagie ale w koronie
a ja tylko spławik
widziałem
nie
więcej

Chciałem go zrobić potężnym ...

Ilkroć go spotkałem zdumiewała mnie jego pogoda, wyciszenie, łagodność, jakby zgoda na życie. Nie oznaczała jednak zgody na wszystko. Przeciwnie, Jarosław Furgala, gdy przyszło dotknąć tego co najistotniejsze — filozofii życia, podstawowych wartości, przemieniał się nagle w człowieka zdecydowanego, który nie waha się, wie, potrafi walczyć, aczkolwiek nie narzucając niczego. Bo każdy musi sobie wybrać sam.

W ankiecie personalnej, którą twórcy ludowi wypełniają wstępując do STL, na pytanie: „Od kogo Kolega przejął umiejętności” napisał po prostu: „Od natury i dojrzałego życia”. Dotknął tym samym głębiej prawdy o sobie, niż chyba sam zamierzał. Jego bowiem wybór oznaczał harmonię z Naturą, jej prawami i urodą, z której dopiero wyrasta dojrzała osobowość, ład moralny i estetyczny w człowieku.

Dziś Jarosław Furgala znany jest jako twórca pomnika Jana Pocka w Markuszowie, Mikołaja Kopernika w Getyndze (RFN) oraz autor rzeźb historycznych i obyczajowych. Ale tak naprawdę nigdy nie sposobił się do powołania rzeźbiarza. Przyszło samo, jako wynik dojrzałości wewnętrznej, która domagała się ujawnienia. W zasadzie, to życie go rzeźbiło. Jego życiorysem można byłoby obdzielić kilka osób. Być może, pogody wewnętrznej, dojrzałości nie można osiągnąć bez wyrzeczeń, cierpienia, ofiary i podporządkowania się koniecznościom. Jedną wszakże z ciężkich doświadczeń życiowych wychodzą złamani, zgorzkniali i bezużyteczni, inni — przeciwnie — z wielką siłą wewnętrzną i energią tworczą. Gdzie szukać przyczyny? W osobowości? A może w środowisku wczesnego wyrastania, które potrafiło wskazać na głębsze wartości i uzasadnić je w sposób zwyczajny kształtując tym samym młodego człowieka do własnej odpowiedzialności za życie?

Jarosław Furgala urodził się w 1919 roku w Lubaczowie. Jego ojciec był nauczycielem, matka wiejską dziewczyną. Kiedy miał osiem lat, zmarł mu ojciec. Jako półsierota już po ukończeniu szkoły powszechnej musiał sam zarabiać na życie. Barwnie jednakże przechodziło to dzieciństwo.

— *Byłem otoczony kulturą różnych narodowości — wspomina dzisiaj — ludność chodziła jeszcze w swoich strojach, polska, ukraińska, żydowska. Była religijna. Festyny, orkiestry, święta religijne, u każdego inne. Razem zabawa, szkoła, świętowanie, raz u tych, raz u tamtych. Nic tak nie inspiruje, jak małe miasteczko. Połowa ludności, to rolnicy, druga połowa, rzemieślnicy, kupcy. Różne zawody, różne obyczaje. Można było także odnaleźć to, co wspólne wszystkim...*

Życie zmusiło go do opuszczenia rodzinnego Lubaczowa. W 1935 roku wstąpił do junackich hufców pracy, uczył się hotelarstwa. Po kapitulacji Warszawy wrócił do Lubaczowa, który wówczas znalazł się już w strefie



Jarosław Furgala

radzieckiej. Jako obywatel ZSRR został powołany do wojska, walczył na froncie pod Leningradem ze wszystkimi tego konsekwencjami. Ranny dostał się do niewoli hitlerowskiej. Przez dwa i pół roku przeżywał piekło obozu jenieckiego, głód, pracę ponad siły, odmrożenia a przede wszystkim poniżenie i odczłowieczenie. Tam, w obozie po raz pierwszy zaczął rzeźbić rozmaite figurki, za które od strażników otrzymywał okruchy żywności.

Po wojnie, ze zniszczonym zdrowiem osiadł we Wrocławsku podejmując pracę w PGR. Założył rodzinę, wychował pięcioro dzieci. Wiele czasu i pasji poświęcił działalności społeczno-kulturalnej, prowadził zespoły, zakładał świetlice, malował dekoracje, był wychowawcą młodzieży. Dziś jest już na emeryturze, mieszka nadal w Polwicy, w województwie wrocławskim.

Rzeźbić zaczął dopiero w 1966 roku. Dlaczego?

— *Z potrzeby wewnętrznej — mówi — dla zaspokojenia głodu przeżywania. To pokarm dla mnie, dla bliźnich, udokumentowanie rodowodu, historii, naszych klęsk i zwycięstw. Nasza historia jest bardzo bogata, można ją nie tylko opisywać ale i rzeźbić.*

Rzeźby Jarosława Furgala bardzo szybko zwróciły na siebie uwagę wysokim zindywidualizowaniem i odejściem od schematyzmu, Aleksander Blachowski dzieli je na trzy grupy tematyczne. Pierwsza, to rzeźby i płaskorzeźby prezentujące postacie znane z historii, od czasów legendarnych po drugą wojnę światową; druga prezentuje obrzędy i zwyczaje ludowe oraz prace rolnika; trzecią grupę stanowi rzeźba religijna, z której wyróżniają się szczególnie piękne szopki. „Jego Madonny, to proste kobiety wiejskie, jego Chrystus, to człowiek skazany na cierpienie a „Michał Gabriel i Lucyfer” — to symbol nieustającej walki dobra ze złem” — pisze o Furgale Aleksander Blachowski.

A sam rzeźbiarz? Nie rozłącza wizji konkretnych prac, jego interesuje sama istota tego, co chciałby przekazać innym.

— *Kontynuuję to, co zacząłem — wyznaje — będę rzeźbił tradycję pracy, zabawy, ujawniającą się radość i smutek. Dobro i zło musi iść w parze z człowiekiem. I żaden człowiek nie dokona tego, by zniszczyć zło. Jeżeli by je zniszczyło i dobra by nie było. Ale walczyć trzeba, by dobra, miłości, piękna i wrażliwości było więcej. To jak chleb powszedni. Człowiek wyrabia w sobie piękno, jeżeli nim żyje. Piękno jest tak potężną siłą, że czym bardziej się je smakuje, tym więcej pozostaje do wydobycia.*

Furgale jednak nie chodzi o piękno oderwane, wyizolowane, aspołeczne. Przeciwnie, prawdziwe piękno wyraża się najgłębiej w treści związanej z człowiekiem, jego obyczajem, tradycją, pracą, więziami międzyludzkimi.

— *Weźmy na przykład wesele — opowiada — kiedyś, córka czy syn odchodząc z domu żegnał się z rodzicami, domownikami ale i ze stołem całując ten stół, jako domowy ołtarz. Tu jadł, uczył się, tu co dzień zasiadał wśród całej rodziny. Utrata takich wartości jest dzisiaj przyczyną wszelkiej patologii. Jeżeli traci się świętość, tradycje, traci się punkt oparcia. Dawniej wesela i inne ważne uroczystości rodzinne odbywały się tylko w domu. Dom był także świętością. Dziś wszystko zaczyna odbywać się w restauracjach i młodzież ma wypaczony charakter. Nie ma szacunku dla pracy a więc nie będzie go i dla człowieka pracy, dla rodziców. Nie ma więzi między rodzicami a dziećmi, nie ma ciepła między ludźmi, bo nie ma ogniska domowego. Młody człowiek wyrusza w świat i wpada w narkomanię lub alkoholizm.*

Jarosław Furgala przez swoją rzeźbę chce te wartości sprawdzone przez pokolenia uchronić, przypomnieć współczesnemu pokoleniu, pokazać urodę naturalnego porządku świata. Był to także jeden z motywów przystąpienia do konkursu na projekt pomnika poety ludowego z Kalenia, Jana Pocka. Przypomnijmy, że ogłoszony na początku lat osiemdziesiątych konkurs adresowany był do artystów profesjonalnych ale i do twórców ludowych, chociaż tak na dobrą sprawę niewielu wierzyło, że twórca ludowy może sprostać temu zadaniu. Tymczasem Jarosław Furgala wygrał konkurs i z profesjonalistami i twórcami ludowymi. Później własnoręcznie wykonał pomnik w piaskowcu. Stoi dziś w Maruszowie, jako pierwszy w Polsce pomnik chłopca — poety i pierwszy wykonany przez twórcę ludowego, pominięty pomnik Bartosza Głowackiego — żołnierza i pomnik Witosa w Warszawie, który stanął później.

Co prawda, Jarosław Furgala nie ze wszystkim rad jest ze swego dzieła, w jego realizacji musiał uwzględnić, poza swoją wizją, także i sugestie Komitetu Budowy Pomnika.

— *Chciałem go zrobić potężnym — wspomina — jako symbol polskiego chłopca, z bochnem chleba na stole. Stół, to ołtarz domowy, tu się odbywają najważniejsze sprawy, chleb — to owoc pracy, obrus haftowany — świętość, relikwia domowa...*

Najnowszym z większych dzieł Furgala jest wykonany w 1984 r. pomnik Kopernika w Getyndze, mieście partnerskim Torunia. Wojewoda toruński zwrócił się swego czasu do Furgala z prośbą o wykonanie rzeźby monumentalnej, jako daru Torunia dla Getyngi.

— *Postanowiłem wyrzeźbić Kopernika, jako swego rodaka — Getynga, podobnie jak Toruń, to miasto uniwersyteckie o wielkiej tradycji. Studiuje tu dwadzieścia pięć tysięcy młodzieży z całego świata. Dla studentów Kopernik, to postać znana i imponująca. Zrobiłem więc młodego Kopernika. Rzeźba, wykonana w drewnie, jest wysoka na trzy metry, zawiera w sobie trzy symbole; sutannę, w którą ubrany jest Kopernik, jako duchowny, bukiet konwali w lewej ręce — symbol lekarza, i rulon w prawej z napisem: „De revolutionibus”. W języku polskim napis: „Mikołaj Kopernik ur. w 1473 r.”. Pytano mnie, dlaczego nie dałem daty śmierci. Jakże dawać datę śmierci, kiedy Kopernik żyje, jest na ustach wszystkich, jednym słowem jest nieśmiertelny!*

Rzeźbie towarzyszyło duże zainteresowanie społeczne mieszkańców Getyngi. Przez niemal dwa tygodnie dzienniki podawały sprawozdania z postępu prac. Szkoły organizowały wycieczki. Interesujące są wrażenia uczniów niemieckich spisane na lekcjach powycieczkowych. Oto niektóre urywki:

„Pan Furgala był bardzo miły. Feliks był w Ameryce i rozmawiał z nim po angielsku. Zadaje sobie pytanie czy jeszcze raz coś takiego przeżyje? Tak, tak, to było wspaniałe. Florian Lamke”.

„Już tydzień pracuje i rzeźbi i musi jeszcze cztery dni rzeźbić, powiedział. Leżało dużo drewnianych resztek wokół. Wszyscy otrzymaliśmy autograf na kawałku drewna. Niektórzy otrzymali nawet coś wyrzeźbionego... Andreas Thiel”.

„Byliśmy także w Nowym Ratuszu i podziwialiśmy „naszego Kopernika”. Jak on wylądował. Jesteśmy bardzo dumni, że mogliśmy pana Furgalę oglądać przy pracy. Rzeźbiarz Furgala już od tygodnia rzeźbi posąg Kopernika. Cztery dni musi on jeszcze przy tym pracować. Mnie się to podobało. Michael Reicher”.

„Uważam, że pan Furgala jest bardzo miły. Najchętniej bym jeszcze się tak godzinami przyglądała. Ach, to było bardzo piękne. Rike Kolbert”.

Władze miast zwróciły się do Jarosława Furgala o wskazanie miejsca, gdzie stanąć ma pomnik. Wybrał plac przed nowym, 16-piętrowym ratuszem. Uroczystego odsłonięcia dokonał burmistrz Getyngi w obecności miejscowego społeczeństwa i grupy Polaków, wśród których znajdowali się Xymena Zaniewska i Adam Harnuszkiewicz. W roku ubiegłym Jarosław Furgala był po raz drugi w Getyndze w celu zamierzonej wcześniej konserwacji pomnika ale także, na zaproszenie towarzystwa niemiecko-polskiego z wystawą własnych rzeźb. Wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem. Podczas jej otwarcia prelekcję wygłosił, głośny u nas ostatnio ale także przede wszystkim w RFN, prof. Christian von Krocków. Jak wiadomo, choćby z prezentacji tej interesującej osobowości w telewizji polskiej, hrabia Krockow opuściwszy były swój majątek (obecnie PGR) i Pomorze w r. 1945, w wieku siedemnastu lat, przez swoje książki i wystąpienia próbuje teraz budować wśród Niemców pogłębione zrozumienie powrotu Pomorza do Polski.

Rozpisałem się być może zbyt szeroko o wyprawie Jarosława Furgala do Getyngi, ale nie bez przyczyny. Raz po raz bowiem, z kręgów technokratycznych i pseudonowoczesnych daje się słyszeć uszczypliwe opinie, powielane w dodatku przez środki masowego przekazu, że wysyłamy oto za granicę „bezzębne babki” (czytaj: folklor i sztukę ludową) zamiast myśli technicznej i wyrobów nowoczesnego przemysłu. Doprawdy, „wstydlivość” takich i podobnych panów jest wzruszająca... Póki co, jak się okazuje po raz n-ty, nasz folklor jest „konkurencyjny”, oby tak interesujący innych był i nasz przemysł. Idealem natomiast jest nadal Japonia, której technika fascynuje a oryginalna kultura przyciąga.

Wróćmy wszakże do naszego bohatera. Pozostaje nam zapytać o środowisko, w którym żyje.

— Nasza ludność — mówi Jarosław Furgala — pochodzi z różnych stron, z Krakowskiego, Kieleckiego, są także Ukraińcy. Jednym słowem mieszanina. Ludzie się jednak szanują, nie ma antagonizmów, jak ktoś umrze np., cała wieś idzie. Ale nie chcą pokazywać się ze swoją, dawną kulturą. Babcie w kufrach pieczętowiec przechowują przedwojenne stroje, które same wyszywały i haftowały. Mnie pokażą, ale innym nie. Bo po co? Nie ma kto powiedzieć im jaką to ma wartość, jak ważne są własne korzenie. Dotyczy to i mojego zamiatowania. Uważano mnie troszkę za dziwaka. Jeżeli ktoś upije się i przewróci w błoto, mówią, no, przydarzyło mu się, ale gdy rzeźbi, to dziwne. Później jednak patrzą z szacunkiem, wyrabia się zainteresowanie i wrażliwość na piękno. Ale cóż tu mówić o rzeźbie, kiedy zanika szacunek dla piękna własnej mowy. Mało, że się ją kaleczy, ale wkradają się do niej obce języki, na przykład angielski. Dziwne, że go młodzież tak upodobała, jakby się wstydziła własnego. Futbol, remis, finisz, piosenka po angielsku... Przyjeżdża obcokrajowiec, to my zaraz po angielsku. Niech się uczy po polsku! Czesi bardziej szanują swój język. My zapominamy o Reju, który mówił, że Polacy nie gęsi i swój język mają...

Byc może niektórzy czytelnicy odbiorą naszego bohatera, jako człowieka „niewspółczesnego”, owładniętego szlachetną, „nieszkodliwą” ideą, lub po prostu mitem. Bo któż z realnie myślących może nawoływać do powrotu starych, przeżytych struktur i wartości? Ale czy rzeczywiście przeżytych? Nasza współczesność eliminuje stary obyczaj i wartości nie dając w zamian prawie nic równie głębokiego. Natura nie znośi próżni. Przy braku szlachetnych roślin glebę porasta bujny chwast, zabija wszystko, co wartościowe i użyteczne. Przywilejem każdego, nowego pokolenia jest negowanie ale i budowanie, jeżeli nie chce zostać bezdomnym. Furgala właśnie przypomina, by inni przez przyjęcie lub negację, zaprzeczenie starych sprawdzonych wartości, mogli budować w oparciu o to nowe, swoje, pozwalające człowiekowi nie tylko egzystować, ale żyć całą pełnią. Czy jednak rzeczywiście wartości, które chce chronić Furgala straciły na aktualności, przeżyły się? Życie zdaje się przeczyć temu. Ideę pogłębionego życia duchowego, mocnych więzi społecznych zastępuje wszechobecny mit uszczęśliwiania przez materializm użyteczny, ciągłą zabawę i rozrywkę. Anonimowe zniknięcie wśród społeczności a tym samym wyobcowanie się wśród przelotnych mód, przeważnie obcych, często prowadzi do kompletnego zagubienia się a nawet samozniszczenia. Stąd wielkie zbiorowości próbują wracać do swoich „korzeni”, stąd zainteresowanie na świecie oryginalnym folklorem innych narodów. Niestety, najmniej te zjawiska dotyczą nas samych.

Hanka Nowobielska

Obrozki na śkle

Maluję se obrozki na śkle.
nie używam do nik farb ostryk —
choć życie nie idzie po maśle
coz do tego majom obrozki?

W życiu trzeba przystać jako jest.
nijak się mu ni móc wykręcić —
— niek przynajmniej obrozki moje
układajom się po mej chęci.

No i dobrze. Ale nie bardzo,
bo me strofią mądre panoski,
ze nie kryślom modom współczesną.

Ale ja sie nie cujem grzesno
wse wysłęcy: moje obrozki
komusi sie i tak przydadzom ...

Chmurka

Jako przesłiczny biały kotek
w gromadzie inksyk kotków burych
tocy sie niebem jedna z chmurek
w obręcce słonka rdzawo-ziotej.

Wiater, co mi nad głową chrzęści.
tej mojej chmurce kraje strzępi
i wysarpuje wielkim gręplem
kłacki bieleńkiej, ślącej sierści.

Jaz nieba zawre piesym grzmotem,
co jest jak wozów drogą turkot
— i nie wiem, co sie stało z chmurką,
ka schowol sie mój biały kotek?

Mamo

Dysc leje
Zasieko w okno
piusce
jakby ftoś pukol
do mojej syby
paluskiem
Zmierk świat owinał
cornom zaslonom
jakosi bojno

Do mojej izby
smutek sie zakrod
i w serce wniknął
by mnie od syćcik
odgrodzić ścianą
i wzbiero we mnie
załosnym
krzykiem

Mamo

KTOŚ TY TAKI, SKĄD TY RODEM

Duży styczniowy mróz. Od gminy Borki do Woli Osowińskiej wymarzona droga na sanie. W Gminnym Ośrodku Kultury znajdującym się właśnie w tej wsi, a nie tam, gdzie urzędy — życie koncentruje się wokół jednego ciepłego pieca. Drugi, ten w świetlicy jeszcze się nie nagrzał, jest dopiero dwunasta w południe. Dwie izby muzealne zamknięte na trzy spusty, ale pan Tuwański zaraz przyjdzie i je otworzy. Oddecham z ulgą, bo nie wiedziałam nawet czy się spotkamy, telefon też zamrożony.

Przedwojenny i powojenny nauczyciel, żołnierz Batalionów Chłopskich, dobiegający osiemdziesiątki prezes Towarzystwa Regionalnego w Woli Osowińskiej ma uderzająco młode, uważne oczy. Takiego spojrzenia nie miewają ludzie, dla których wszystko, co w życiu ważne — to już poza nimi. Zgrzytają klucze, pan Tuwański włącza grzejnik ale prosi, żeby nie zdejmować kożucha. Zanim jeszcze zgrabiały mi palce trzymające mikrofon wyrywam się z komplementem: — „ładna ta izba pamięci”. Gospodarz karci mnie nauczycielskim spojrzeniem — „przecież to nie izba pamięci, tylko muzeum”. Dwa tysiące eksponatów — licząc od tych największych, jak krosna, do najmniejszych — fotografii i tekstów pieśni.

Skarcona, jak uczennica, bronię się też jak uczennica — odwracam uwagę zaczynając czytać:

A gdy ciebie kto zapyta
Ktoś ty taki, skąd ty rodem,
Mów, żeś z tego łąnu żyta,
żeś z tych łąk, co pachną miodem...

Wiersz Konopnickiej zawieszony wysoko, jak krzyż, nad drzwiami; mój rozmówca cytuje dalej z pamięci:

Mów, że jesteś z owej chaty,
Co piastowskim gniazdem była,
Żeś z tej ziemi, kędy kwiaty
Gorzka rosa wykarmiła...

— Ten wiersz — mówię z uwagą pan Tuwański — ten wiersz namawia, zachęca do samookreślenia się, do powiązania swojego istnienia z całą przeszłością wsi, z całą historią chłopską.

Rozumiem, że ten, który dokonał wyboru wiersza, dokonał też wyboru w swoim życiu. I jest mu wierny. Bo wszystko zaczęło się jeszcze w latach trzydziestych, kiedy młody nauczyciel prosił swych uczniów, aby przynosili do szkoły pewne zwyczajne, zdawałoby się, wiejskie przedmioty. Dziś zbiory muzeum, to i planowe zakupy i dary innych członków Towarzystwa Regionalnego, ale na każdym kroku widać ojcowskie oko prezesa z Woli Osowińskiej. Ot, choćby stroje ludowe odtwarzane z pietyzmem według wzorów, jakie w latach 30-tych przekazała mająca wówczas lat sześćdziesiąt pani Gritkova: spódnice wełniane w drobne pionowe paski na czerwonym tle, a fartuchy w paski poprzeczne.

W prawdziwie starym kufrze leżą, jak niegdyś, ręcz-

nie utkane lniane serwety, leży także wełniany kilim wykonany współcześnie ale zachowujący dawny wzór we „wianki”.

W Woli Osowińskiej stukają jeszcze ręczne warsztaty, ale zaśmiecenie wzornictwa jest duże — boleje pan Tuwański. — Ten kilim ma przypomnieć dzisiejszym tkaczkom, że łowickie paski obce są tutejszej tradycji, bo w tej wsi dominowały ornamenty roślinne. Nawet wtedy, gdy technika tkania pozwalała tylko na wykonywanie prostokątów i kwadracików, nawet wtedy — proszę potrzymać, pan Tuwański rozwija kilim — układano z tych figur nieco geometryczny kwiat. To właśnie owe „wianki”.

Gdyby nie chłód muzealnej izby, można by się tu poczuć jak w starej, babcinej chałupie — z kwiatami za obrazem, ziołami na wstążeczce, fartuchem — jakby przed chwilą zdjętym i w przelocie rzuconym na łóżko, z kufrem, kołowrotkiem i krosnami, tak prawie dużymi jak szafa. Nic w tych sprzętach nie zadziwia obcością, minęło raptem 50—60 lat, a jednak są to przedmioty z innego świata. Należą do umarłej epoki rękodziela, do samowystarczalnej wsi.

Chłop sam sobie robił bronę, pług, wóz, kobieta uprzedła len czy wełnę, uszyła spódnice czy koszulę. Kupowało się gwoździe, igłę, sól.

Pan Tuwański z pietyzmem wkłada do kufra serwety, kilimy, fartuchy. Dzięki temu, że na każdej nitce, każdym kawałku drewna zostało ciepło ludzkich dłoni, dzięki temu są to dziś nie tylko świadectwa kultury materialnej wsi, ale dzieła sztuki użytkowej.

Zanim kufer zostanie zatrzęsnięty pan Tuwański raz jeszcze zwraca moją uwagę: proszę spojrzeć! Biała hałka z fabrycznego płótna ozdobiona ręcznym haftem. Ale jak ozdobiona — chyba ze 20 cm szerokości ma ten angielski haft zdobiący dół szerokiej spódnicy.

— Ile czasu trzeba poświęcić, żeby to zrobić? — pyta pan Tuwański widząc w mych oczach błyski kobiecego podziwu, a nawet zazdrości. Wzruszam ramionami, bo nie wiem. Przecież nie haftuję. — Chyba z rok — odpowiada sam sobie i dodaje w zamyśleniu: nieraz sobie wyobrażamy kobietę sprzed 100 lat, zabrudzoną często, głodną i na co dzień widzącą tylko ziemię. I u tej właśnie istoty było tyle potrzeby piękna, że zdołała pokonać brak czasu i w trudnych warunkach zrobić coś, co dawało urody jej i światu.

W podziwie pana Tuwańskiego wyczuwa się sentyment do „niegdysiejszych śniegów”, sentyment raz na zawsze zatrzęsnięty w kufrze pamięci, stąd nie dziwi mnie brak aprobaty dla dzinsu, w którym „można pójść do żniw i do kościola”.

— Takie muzeum, takie przedmioty — mówi pan Tuwański — mogą i muszą mieć potężny wydźwięk wychowawczy. Mamy inaczej ocenić, widzieć psychikę, mentalność, upodobania, całą duszę człowieka sprzed 100 lat. To nie był człowiek prosty. Nie znał świata, wielu elementów kultury, jakie dla nas są istotne, ale miał swoje elementy kultury, które nas zadziwiają.

Przechodźmy do tej części muzeum w Woli Osowińskiej, gdzie gromadzone są zabytki kultury duchowej: nuty i teksty pieśni, wiersze, obrazy, fotografie. W tej grupie zwracają naszą uwagę powojenne już zdjęcia z „Wesela osowińskiego”, które po raz pierwszy zrealizowano w formie widowiska jeszcze w latach trzydziestych. Były to czasy, gdy kuratoria okręgów szkolnych „miały głowę” do rozbudzania wśród nauczycieli zainteresowań regionalnych. Młody nauczyciel — Wacław Tuwański wędrował więc od ludzi do

ludzi zapisując pieśni i przebieg obrzędu. Do dziś pamięta nazwiska głównych informatorów — Tomczakowa..., Zajęcowa..., Kozuchowa. Nazwiska tak, ale niestety, nie wszystkie pieśni, a zeszyt, gdzie całość widowiska była opracowana przepadł w czasie wojny. Zachowały się tylko wyrzucone na strych notatki na luźnych karteczkach. Jakies trzy czwarte dawnego obrzędu. Według ocalonego tekstu w latach 70-tych i 80-tych odtworzono archaiczne widowisko.

Archaiczność tego wesela dokumentują nie tylko stare melodie i słowa pieśni. Jest w tym obrzędzie zachowana dawna tradycja, obyczaj, ład moralny wsi. Różga wesela zwana jest tutaj wdzięcznie „koroneką” i kiedy drużyna młodego przybywa do domu panny z pytaniem „panie bracie, pani siostró — cym godzien i podobien z tą koroneką do tego stołu się przybliżyć” — jest to pytanie — prośba o akceptację całej społeczności wiejskiej. Z reguły za pierwszym razem odpowiadają „nie godzien”; przestroga dla przyszłego męża, iżby miał świadomość że ludzkie oczy wszystko widzą. Ale zdarzało się — wspomina pan Tuwański relacje swoich informatorów, że wielokrotnie mówiono młodemu „nie godzien” i dopiero po prośbach i błaganiach przyjmowano go do wiejskiej społeczności. Największe oburzenie, jak mówiła jedna z kobiet, wywołał taki kandydat na męża, któremu tylko trzy razy powiedziano „nie godzien”, a on już się „rozhonorzył” i poszedł.

Takie ładne słowo „rozhonorzył”, staram się je zapamiętać, tymczasem pan Tuwański zwraca moją uwagę na zawarte w obrzędzie weselnym inne świadectwo obyczajów dawnej wsi. Otóż w osowińskim weselu, które jest ludową operą, bowiem cała akcja jest tu „wyspiwana”, otóż w tym obrzędzie — młody, młoda, matka, ojciec — to milczący świadkowie wydarzeń. Wielką rolę odgrywa brat młodej i to bez względu na to, czy miał lat pięć, czy trzydzieści. Brat młodej był bowiem opiekunem zamężnej siostry przez całe jej życie. Jeśli mąż żony nie szanował — brat czy bracia mieli prawo „porozmawiać” z nim po męsku, a on nie mógł się za to obrazić, bo taki był ich męski obowiązek, taka poświadczona obrzędem powinność.

Może to dalekie skojarzenie — od roli brata w dawnym weselu — do liczby współczesnych rozwodów, ale zgadzam się z panem Tuwańskim, że coś w tym jest.

Wsząc do muzeum gromadzi pan Tuwański publikacje na temat zjawisk negatywnych na wsi i w mieście — rozwodów, przestępstw. Statystyka potwierdza, że wieś jeszcze dzisiaj ma „obyczajne obyczaje”. Mniej rozwodów, przestępstw, narkomanów. Zdaniem pana Tuwańskiego decydują o tym resztki kultury ludowej, jakie pozostały w wiejskich społecznościach. Resztki, bo od lat 50-tych kultura ludowa ginie z zastraszającą szybkością.

— Dziś już tylko ludzie powyżej pięćdziesiątego roku życia to ci, co wyrosli w klimacie kultury ludowej. Pozostali — zapala się mój rozmówca — czyli ci, co mają obecnie 35, 40 lat i młodszy — to ludzie absolutnie wyszerzeni. Z kulturą ludową nie mają już nic wspólnego, albo niezwykle mało. Jeżeli nawet patrzą na tę kulturę — to jak na egzotykę. Tańce Murzynów, ubiory Eskimosów, to nie jest już ich kultura.

— To, co pani mówię, nie jest żadną nowością. Nowością jest coś innego. Otóż ja osobiście twierdzę, że jedynie kultura ludowa może uratować nas od utraty człowieczeństwa. Człowieczeństwo, to znaczy kultura duchowa — nauka, sztuka, moralność, obyczajowość. Ta nauka, sztuka, moralność i obyczajowość ludowa kształtowała i kształtuje jeszcze ludzi dobrych. Moral-

ność wiejska opierała się na modelach postępowania utrwalonych od prawników. Od tysiąca lat podstawą ocen co dobre a co złe był dekalog religii katolickiej. Jednakże — przytacza pan Tuwański myśli zawarte w swym referacie ze Zjazdu Towarzystw Regionalnych — są elementy życia wiejskiego, które się wymykają katechizmowi. Jeszcze w okresie międzywojennym zdarzył się przypadek, że wieś ukarała sprawcę kradzieży samosądnym biciem, do którego każdy musiał przyłożyć rękę. Wbrew zasadom katolickim i współczesnym normom prawnym — wieś sięgnęła po rozwiązanie, w którym widać ślady sądownictwa przedpaństwowego.

Trzeci wreszcie element wiejskiej struktury moralnej — to stosunek do przyrody. Roślina, zwierzę traktowane jest jak członek rodziny i tak trzeba je szanować. Pan Tuwański przypomina kilkunastoletniego chłopca sąsiadów, który płakał skrycie za domem, bo im krowa zdycha. Nie majątek ginął, ale boskie stworzenie. Krowa, której dawało się na wigilię opłatek. Chłopiec ów zapewne wiedział od dziecka, że gałęzi nie wolno łamać, bo drzewo cierpi, bo to grzech, że mysz lasującą w stodole można zabić, jeśli niszczy zboże, ale tę samą mysz, kiedy biegnie po lesie — zostawić w spokoju.

Może nie bezpośrednio do moralności, ale „obyczajności” wiejskiej należy chłopski stosunek do pracy.

— Te apele w mieście, żeby solidnie pracować, nie marnotrawić... to człowieka aż śmiech bierze.

Pan Tuwański, który w swojej naturze ma wielkie wycucie i pragnienie prawdy zaperza się przypominając jak kiedyś panowie z powiatu przyjechali do gminy sprawdzać „akcję siewną”.

— Mało mnie szlag nie trafił. W czasie wojny, pod Siedlcami rozbito bombami pociąg. Myśmy szli, wracali na wschód. Tu się we wrześniu piekło działo. Wyszliśmy z lasu koło Dziewul, dokoła wszystkie wioski się paliły, wszędzie pożary, a tu chłop sieje żyto. Nie było kawałka pola nie obsianego. A skąd wam do głowy przychodzi taka sprawa, że pole może być nie obsiane?

Do doktora zgłosił się kiedyś chłop z Woli Chomejowej z połamanymi rękami. Wypadek zdarzył się po południu, ale przyszedł następnego dnia, bo „na burzę się miało, zboże trzeba było zwieźć”.

W tych dygresjach, przytoczeniach, opowieściach pana Tuwańskiego jest więcej żalu za ginącą kulturą, niż w słowach, które ten żal formułują, a nawet w oskarżycielskim palcu skierowanym do mnie — „pani też jest winna, pani też”. Zdają sobie sprawę z powagi tej rozmowy. Wszak nie mówimy o sentymentach do folkloru, ale o byt albo nie byt tej niewymiernej materii duchowej, którą można opisać i zamknąć w skansenach, ale która żyć może tylko na wsi. Na wsi, gdzie pozostaną gospodarstwa indywidualne, gdzie każdy będzie znał osobiście nie tylko sąsiada, ale jego krowę i psa. Ekonomia wskazuje przeciwny kierunek gospodarowania ziemią, a telewizja „wyrównuje” różnice w gustach i upodobaniach.

Oboje z panem Tuwańskim pokładamy nadzieję w sztuce ludowej. I tradycyjnej i tej powstającej obecnie. Ratunkiem, „ugaszaniem pożaru”, jak mówi prezes Towarzystwa Regionalnego, będzie skojarzenie różnych dziedzin, tj. sztuki z dziećmi i młodzieżą. Pan Tuwański boleje, że żniwo wielkie, ale żniwiarzy mało. Sam jeszcze teraz uczy pieśni, poezji ludowej, plastyki, obrzędu.

Do działań „ratunkowych” należy też poszerzenie zbiorów muzeum w Woli Osowińskiej, reaktywowanie tradycyjnych wzorów. Ale ton naszej rozmowy, to dźwięk dzwonu na alarm. A przyzywanie pomocy, to też gaszenie pożaru.

Niewiele jest już w Polsce regionów, ba wsi, gdzie w okresie od Bożego Narodzenia, przez Nowy Rok, Trzech Króli, aż do ostatek, spotyka się autentycznych przebierańców biegających po wsi i składających życzenia. I to jak! — głośno, z wrzawą, rumorem, hałasem wzmocnionym dzwonkami, biciem w bębny i garnki, z muzyką.

Tak jest jeszcze na Żywiecczyźnie, gdzie szeroko otwierają się drzwi, nawet nowoczesnych betonaków, bo „szlachcice”, „dziady”, „jukace”, „trzej króle”, „mięsopestniki”, czy po prostu małe kolednicy z szopką są zapowiedzią szczęścia, zdrowia i radości a ich życzenia mają moc szczególną. I aby zwyczaj ten trwał przed osiemnastu laty zainicjowano coroczną organizację „Godów Żywieckich” — spotkanie zespołów obrzędowych i koledniczych, kiedyś tylko Żywiecczyzny, a od 12-tu lat — całego Podbeskidzia.

I przed laty, mnie, cepra z polskiego „Menczesteru” czyli z Łodzi, zauroczyła atrakcyjność beskidzkiego karnawału, nadzwyczaj widowiskowego, pełnego rozmachu, ludowej fantazji, spontaniczności, humoru i autentycznej zabawy. Dziś jednak zastanawiam się, czy „Gody” są nadal autentyczną zabawą? W czasie świąt Bożego Narodzenia, w Nowy Rok i w Trzech Króli, tam w podbeskidzkich wsiach na pewno tak, ale w dniach „Godów żywieckich”, zwłaszcza w Żywcu, chyba już nie. Kiedy bowiem porównuję „Gody” sprzed kilku lat, kiedy Żywiec tętnił od „jukaokich” czy „końskich” dzwonek podpisywałem się pod poetyckim stwierdzeniem mojej telewizyjnej koleżanki, że „Żywiec porozrzucił na płacie, uliczki i ogrody stare pieśni, jak przedzę na krośnie”. „Gody” słyszało się i widziało dosłownie wszędzie. W tym roku, gdybym nie znał terminu imprezy, mógłbym przejechać przez Żywiec nie wiedząc, że to miasto znowu jest miejscem spotkania autentycznych miłośników i kontynuatorów ludowych tradycji. Możliwe, że sprawił to mróz. W latach poprzednich też jednak bywało siarczyście mroźno, ale Żywczanie żyli swoimi „Godami”, byli ich gospodarzami, kibicowali gościom, co to zesłi z gór. A przecież w tym roku byli także atrakcyjni przebierańce, tzw. surwaktary z Bułgarii, z kilku miejscowości okręgu pernijskiego.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Na szczęście, na zdrowie...

Nie chcę być posądzony o kwękanie cepra, który narusza prawa gościa i szuka przysłowiowej dziury w całym. Mój reporterski mikrofon kilka już razy „lapał” przecudowne, pełne zabawy scenki dziadkowskich życzeń czy mini przedstawień „szlachciców” i ich świętę, odgrywanych w domach gospodarzy podżywieckich wsi, gdzie organizowane są tzw. dni pienerowe — autentyczne koledowanie po zagrodach przed dostojnymi jurorami. W tym roku, trochę rozczarowany „Godami” tychże jurorów pytałem, czy spełniają one zakładane przed laty funkcje podtrzymania ginących zwyczajów zimowych? Przed laty niejednokrotnie mogłem w rozmowach z zespołami stwierdzić, że dzięki przeglądowi w wielu wsiach nastąpiła reanimacja zapomnianych już zwyczajów zimowych, nie tylko bożonarodzeniowych. Dzieje się to między innymi dzięki temu, że wiele grup, to dzieci i młodzież szkolna, animowana przez nauczycieli (np. Józefa Brodę z Istebnej, Bronisława Piotrowskiego z Łodygowic), czy innych ludzi, których pasją jest folklor. Spośród tych ostatnich animatorów tradycji z podziwem obserwowałem Czesława Śiwca, księgowego PKP z Suchej Beskidzkiej.

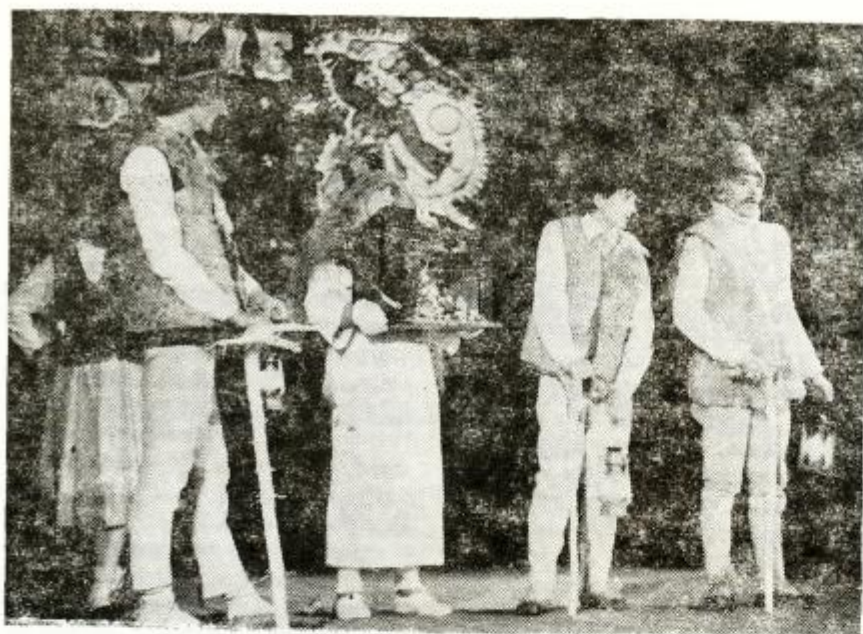
— Ludzie ci, wspólnie z dziećmi — mówi mgr Magdalena Mores, kierowniczka Muzeum w Żywcu — szperają w pamięci babek i dziadków i reaktywują wiele ciekawych zwyczajów. A dzieci bardzo chętnie je odtwarzają i koledują po wsiach, już nie za chlebem, jak to

dawniej bywało, a dla zabawy, po sąsiedzku z życzliwością. I to właśnie ma ten urok, tę przyjaźń i zgodę — wyraz wspólnego współżycia z sąsiadami. Niewątpliwie jest to czynnik integrujący wieś.

Właśnie opowiadał mi o tym pan Bronisław Piotrowski z Łodygowic, gdzie przygotowanie i udział dzieci w „Godach Żywieckich” wciągnęły rodziców, których wielu przyjechało do Żywca, w charakterze asysty i opieki, rzecz przy innych okazjach szkolnych nie często spotykana.

— „Gody” zaczynają promieniować poza region żywiecki — dodaje pani Magdalena. — Myślę o wsiach, gdzie folklor został trochę rozmyty i gdzie trzeba więcej naszych starań, aby odszukać ludzi i przekonać ich, by wrócili do tradycji. Myślę o wsiach podoświęcimskich, właściwie już pogranicza krakowiaków, dalej o rejonie Wadowic i Kalwarii, w którym lepiej powinny nam wypaść zwyczaje i obrzędy wsi rolniczych.

— Nadal mało mamy górali śląskich — włącza się do rozmowy przewodniczący jury, prof. dr Roman Reinfuss — natomiast jeśli chodzi o sam przebieg tegorocznych „Godów” to, z powodu mrozów i śniegu były trochę anormalne, wiele zespołów nie dojechało. Generalnie jednak trzeba stwierdzić, że ten ruch koledniczy trochę się rozszerza. Ale mimo to, giną pewne zwyczaje, które ja pamiętam z niedawnych jeszcze badań etnograficznych. Np. zwyczaje zapustne i tańczony wówczas „taniec na urodzaj”



z wysokimi podskokami. Tego już nam się nie prezentuje a przecież był to element godów przeniesiony na zapusty kończące cały cykl życzeń i zabaw karnawałowych. Widzę tutaj konieczność podjęcia ponownych poszukiwań i badań terenowych. Nie tylko, aby zadokumentować dzień dzisiejszy, czy wynaleźć i animować ale także, by dowiedzieć się, co się z tymi zwyczajami stało? Czy to jakieś zaniedbanie etnografów, czy po prostu znający je ludzie już wymarli, słowem — co wpłynęło na brak tego zwyczaju w miejscowym środowisku?

— Dwa lata temu — mówi Magdalena Mores — pojawiła się na „Godach” grupa „z rajem”, przedstawiająca grzech Adama i Ewy oraz ich wygnanie z raju. W roku 1986 pojawiły się też stare, zapomniane instrumenty obrzędowe, a wśród nich „wakat” w innych regionach kraju zwany „diabelskimi skrzypcami” (np. na Kaszubach — przyp. Z. K.), a w Beskidzie Śląskim „burmasznicą”.

„Gody żywieckie”, to nie tylko przegląd zespołów kołędniczych prezentujących się na estradzie Młodzieżowego Domu Kultury w Żywcu, czy kołędowanie „dziadów” i „szlachciów” po zagrodach w tradycyjnym dniu plenerowym (w tym roku w Jelesni). To również wystawy i kiermasze twórców ludowych. W tym roku w holu MDK swoje prace prezentowali (bo kiermasz nie spełniał handlowych oczekiwań twórców): Franciszka Uflant, Maria Wróbel, Rozalia Pluta (kwia-

ty z bibułki), Stanisław Lach i Józef Rumiak (koniki ludowe), Władysław Klimasara (ptaszki drewniane) i Zygmunt Bielewicz (pierniki żywieckie).

Muzeum w Żywcu, w dniach „Godów Żywieckich”, zaprezentowało ciekawą wystawę prac Anny i Józefa Hulków z Łękawicy (gwiazdy, maski, kozy, lalki i szopki kołędnicze).

— Pan Józef Hulka i jego żona Anna, jako że pan Hulka zawsze podkreśla jej pomoc i udział w jego twórczości — mówi Magdalena Mores, oprowadzając mnie po wystawie — rzeźbił już dawno. Startował w roku 1951 w konkursie sztuki ludowej w Krakowie rzeźbiąc postacie ludzi przy pracy i scenki z życia wsi. W tym czasie debiutował również w malarstwie na szkłe, by w 1954 roku, w ogólnopolskim konkursie sztuki ludowej w Warszawie zająć I-sze miejsce obok znanej już wcześniej artystki ludowej, również malującej na szkłe, Heleny Rój-Kozłowskiej z Zakopanego. Malarstwem na szkłe zajmuje się także żona pana Józefa, Anna. Hulkowie mają świetne wyczucie kolorów, co najwyraźniej widać właśnie w obrazach na szkłe. Jednak Józef Hulka jest przede wszystkim wytwórcą rekwizytów kołędniczych, szerzej — plastyki obrzędowej i co trzeba podkreślić, jednym z ostatnich szopkarzy autentycznie kołędujących po wsi.

Mnie osobiście cieszy, że do tej swojej zabawy w szopkarzy i ko-

łędowanie Józef Hulka wciąga dzieci a teraz nawet wnuki.

— Właśnie. Wzorem ojca wyrobem szopek i kołędowaniem zajmował się syn Jan, teraz ze swoimi ciekawymi szopkami startują wnuki, a córka maluje na szkłe. Ta wystawa w Muzeum nie ma układu chronologicznego. Pokazuje najlepsze prace Hulków wyciągnięte ze zbiorów muzealnych oraz te, do dziś przez Hulkę użytkowane. Np. Józef Hulka ciągle jeszcze nie chce się rozstać z najpiękniejszą szopką, na którą my muzealnicy „polujemy” już od kilku lat. W tym roku bardzo nas ucieszył przepięknym zestawem masek obrzędowych.

Wynik był niekorzystny dla pana

Kapitałnym dokumentem, uzupełniającym tę wystawę, jest folder zawierający nie tylko informacje o twórcach, ich pracach i ekspozycjach ale także fragmenty szopkowych tekstów wygłaszanych przez kołędujących Hulków. A trzeba wiedzieć, że w szopkach występują: Anioł, Trzej Królowie, Góral i Góralka, Gospodarz i Gospodyni, Pastuszkowie, Turowie, Cygan i Cyganka, Kominiarz, Dziad i Baba, a bywa że i Śmierć, Król Herod, Diabeł, Czarownica. Opracowania dokonał mgr Lucjan Grajny, etnograf Muzeum w Żywcu. Niestety, wydawnictwo to nie jest dobrą wizerunkową drukarnią. Zdjęcia są nieczytelne, rozmazane, w tekście wiele błędów. Mimo to, próba udokumentowania w druku ginących zwyczajów i obrzędów, tekstów jakże ulotnych w zabawie, w ferworze „gry w plenerze” zasługuje na uznanie. Tego mi właśnie od lat brakowało. W tym roku odbyły się już osiemnaste „Gody”, niestety dokumentacja etnograficzna dotyczy tylko ostatnich. A przecież nagrywa się występy grup kołędniczych na taśmę, a radiowcy także corocznie rejestrują te improwizowane zabawy i scenki w dniach plenerowych. Skoro wydaje się duże pieniądze (tak przypuszczam) na organizację „Godów”, czemu nie zainwestować w drukowaną dokumentację ich przebiegu, wygłaszanych tekstów, zachowań a także opinii prasy i jurorów. Każdy rok, każde „Gody”, to jeden tom, zeszyt czy rozdział dokumentacji. Kto wie, jak długo będą jeszcze sprawni informatorzy beskidzkich kołbergów?

Dobrze się stało, że w drugim dniu przeglądu zorganizowano seminarium dla pracowników GOK-ów, świetlic, klubów wiejskich i innych placówek kultury wsi. Na ten temat rozmawiam z dr Krystyną Kwaśniewicz, etnografem z Krakowa, członkinią jury.

— To słuszna myśl — mówi — ale zastanawiam się czy to seminarium nie jest, z jednej strony zorganizowane za późno, a z drugiej — za wcześnie, bo w trakcie trwania przeglądu. Za późno, bo zespoły nie mogą już wykorzystać informacji i uwag etnografów. W tym roku niektóre zespoły trochę przesadziły w strojach i postaciach nie mających nic wspólnego z kulturą i tradycją regionu. Spotkaliśmy się np. ze strojami, nazwijmy to ludowo-podobnymi, jakby nie można było wykorzystać tradycyjnych strojów wsi czy regionu. Najgorsze, że te pseudoludowe kosztowały masę pieniędzy.

Patrząc na ekipy magnetowidowe wojewódzkich ośrodków kultury z Bielska i Nowego Sącza, zastanawiałem się czy nie powinno się tych rejestracji wykorzystać właśnie w trakcie seminarium, czy podsumowania „Godów”, kiedy jurorzy przekazują zespołom swoje uwagi i „uzasadnienie” werdyktu. Odtwarzając zapis magnetowidowy można na konkretnym obrazie i sytuacji przekazać uwagi etnografów. Tak podobno robią w Nowym Sączu.

— Słyszałam — dodaje Krystyna Kwaśniewicz — moim zdaniem takie drugie podsumowanie czy seminarium powinno odbyć się w kilka dni po „Godach”, na spokojnie, właśnie z wykorzystaniem video. Ale co byśmy o „Godach” nie mówili, bo podzielałam pana pesymizm, w wielu środowiskach uratowały one te zimowe zwyczaje. I dobrze się dzieje, obserwujemy to od kilku lat, że w grupach kołędniczych coraz więcej jest dzieci. To gwarantuje, że jeszcze przez kilka lat po beskidzkich wsiach będą biegały diabły i dziady a „szlachcice” będą składać życzenia, które koniecznie muszą się spełnić. W to wierzą i składający życzenia i przyjmujący je.

Pozostaje więc tylko dodać: „Zywieckim godom na szczęście, nie tylko na ten rok”.

Chełmskie „Źródło”

Na znaczkę, który otrzymali uczestnicy i zaproszeni goście — wierzba, ale nie ta „z siwą, pochyloną głową” będąca symbolem szarego, smutnego pejzażu wioskowego; wierzba zielona, prężnie strzelająca ku górze młodymi gałązkami, w zamyśle grafika — przypominającymi pióra. Idea, której symbolem jest ta „uskrzydłona” wierzba zawarta jest w nazwie Turnieju — „Źródło”.

Kultura plebejska, chłopska, sięgająca początków istnienia naszego narodu jest tym, nie wysychającym źródłem, z którego czerpała nasza kultura narodowa przez stulecia, źródłem, które nie straciło nic a nic ze swej ożywczej mocy. Bogactwu form, mądrości treści i różnorodności nurtów tej kultury daje świadectwo od wieków aż po współczesność — literatura. Do literatury, tkwiącej korzeniami w plebejskości, a więc i do literatury chłopskiej czy inspirowanej kulturą wsi, odwołują się organizatorzy. Wierzmy,

powiadają, że z pożytkiem i dobrym skutkiem artystycznym mogą dziś czerpać z tego źródła recytatorzy i teatry. I tak przybyła nam jeszcze jedna ogólnopolska impreza otwierająca nowe, nieoczekiwane możliwości, skłaniająca do penetracji nie dość może znanych i popularnych obszarów literackich.

Zjechało do mroźnego, ośnieżonego Chełma w dzień styczniowy kilkunastu recytatorów i dwa zespoły teatralne z różnych, bardzo nawet odległych stron kraju. Zdecydowanie mniej liczna to reprezentacja, niż na ubiegłorocznym premierowym „Źródle”, no ale i aura wyjątkowo niesprzyjająca — w tym też należy upatrywać przyczyny, nie zaś w małej popularności samej idei turnieju. Ta bowiem, okazała się wystarczająco inspirująca i nośna.

Otwarcie Turnieju i pierwszy konkursowy koncert recytatorów. Wszyscy — widzowie i wykonawcy zgromadzeni na obszernej sali wi-

30 lat Wydawnictwa Lubelskiego

W 1957 roku została powołana do życia Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, przekształcona z dniem 1 stycznia 1961 roku w Państwowe Przedsiębiorstwo „Wydawnictwo Lubelskie”. Mówiąc o pierwszych krokach Wydawnictwa należy wymienić trzy fakty: pojawienie się 24 marca 1957 roku „Kuriera Lubelskiego”, gazety, której pierwszym wydawcą była Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza; wydanie wielokrotnie wznawianej później książki Majewskiego pt. *Wojna, ludzie i medycyna* (1960); przyznanie pierwszej (obecnie Wydawnictwo Lubelskie posiada ich sześć), nagrody tygodnika „Polityka” książce dr Zygmunta Klukowskiego *Dziennik z lat okupacji Zamojszczyzny* (1958).

W pierwszym roku istnienia Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza wydała 4 pozycje, w drugim 7; w 1986 roku Wydawnictwo Lubelskie miało na swoim koncie 62 książki w nakładzie 5 milionów 674 tysięcy egzemplarzy. Ogółem przez trzydzieści lat oficyna wydawnicza z „koziołkiem” w herbie wydała 1251

książek w 34 milionach 939 tysiącach egzemplarzach.

Jako pierwsza z symbolem koziołka na okładce pojawiła się książka Stanisława Krzykały pt. *Lubelska Rada Delegatów Robotniczych*. Stała się ona początkiem cyklu, w ramach którego prezentowana jest zarówno historia Polski jak i powszechna ze szczególnym uwzględnieniem dziejów regionu lubelskiego, II wojny światowej i hitlerowskiej okupacji. Obok tomów cyklu *Źródła i materiały do Dziejów Ruchu Oporu na Lubelszczyźnie*, należy wymienić indywidualne opracowania: Leszka Siemiona, Jerzego Markiewicza, Jerzego Zbigniewa Hirsza, Ludwika Głowackiego, Mirosława Dereckiego, Wojciecha Białasiewicza, Józefa Kasperka, Zygmunta Mańkowskiego, oraz liczne wspomnienia prześladowanej i więzionej ludności — pióra Marcina Gryty, Tadeusza Czajki, Józefa Wnuka, Jerzego Kwiatkowskiego, jak również będące w przygotowaniu dwie prace zbiorowe — *Hitlerowskie więzienie na Zamku w Lublinie* pod re-

dowiskowej *Chełmskiego Domu Kultury*. Tu ustawiono krzesła dla widzów i wydzielono miejsca dla wykonawców. Był to, zdaniem organizatorów, jedyny możliwy sposób stworzenia odpowiedniego klimatu dla tego rodzaju działań artystycznych. Nie ma w Chełmie odpowiedniej, kameralnej sali, w której można by prezentować recytatorów i małe formy teatralne. Wśród widzów — gospodarze miasta i województwa. Pada tradycyjna formuła: *II Turniej Recytatorów i Teatrów Małych Form ogłaszam za otwarty...*

I słuchamy...

„Głosu pucy jodłowej”, „Gadki o świętym Janie”, „Ballady o trzecim powstaniu Beskidzkim”, „Modlitwy”, „Mazura”. Słuchamy utworów Edwarda Stachury, Emila Zegadłowicza, Urszuli Koziół, Jana Pocka, Tadeusza Nowaka...

Mówią:

Rolnik ze wsi Łubianka spod Gorzowa, uczennica z Białej Podlaskiej, robotnik z Chełma, redaktor gazety zakładowej z Tomaszowa Mazowieckiego... Mówi człowiek sześćdziesięcioletni gwarą, w której wyrósł i osiemnastolatek rekonstruujący z trudem i nie bez uchybień, ale z pietyzmem, mowę swych ojców i dziadów.

Oczywiście, jak to w turniejach i konkursach bywa, są wykonania gorsze, lepsze i te, przy słuchaniu których, dreszcz przenika; są propozycje repertuarowe chybione, trafne i zdumiewające swą niezwykłością. Ale bez najmniejszej wątpliwości — literatura o proweniencji ludowej, okazała się dla nas wszystkich źródłem ożywczym.

Trysnął z estrady recytatorskiej wspaniały humor ludowy, a polszczyzna regionalna okazała się niezwykle sprawnym kodem artystycznym. Dokonano nowych odkryć repertuarowych, dla przykładu; ożyła na nowo dla ruchu recytatorskiego twórczość Emila Zegadłowicza. Pięknie i z pełnym rozumieniem podawano wiersze współczesnych poetów — Urszuli Koziół, Tadeusza Nowaka, których chłopskie korzenie dopełniają i wyznaczają wartości uniwersalne ich dzieł.

„Teatr przy kawie”, z Grabowa w województwie gdańskim, przybył z urzekającym widowiskiem „Sen kociewski”, sporządzonym na materiale literackim zaczerpniętym ze słowników kociewskich Bernarda Sychty oraz „Wesela kociewskiego”, przygotowany przez Ireneusza Ciecholewskiego i z jego scenografią.

Aktorzy w strojach regionalnych, mówiący przepiękną, pełną nie-

zwykłych intonacji mową kaszubską, wprowadzili widzów w nierealną, poetycką atmosferę, zaśpiewów, kolebań i czarów dziejących się nad dziecięcą kołyską. Nie była to prosta prezentacja obyczajów regionalnego, ale wysublimowana, wieloznaczna, dojrzała forma teatralna.

Mniej udana okazała się prezentacja drugiego zespołu, — amatorskiego teatru „Jestem” z Miasteczka Kraińskiego w województwie piłskim. Przedstawienie „Fenomen niedoskonałości”, czyli pytanie o sens marionetki według „Małego księcia” Saint-Exuperego i Kornela Filipowicza — okazało się nieporozumieniem. Niespójna konstrukcja scenariusza, brak nośnych znaczących działań scenicznych, wreszcie brak powiązań z ideą turnieju sprawiły, że otrzymaliśmy spektakl pretenstionalny, nieklarowny i pozostawiający u widza pustkę.

Dzień ostatni spotkań: werdykt jurorów, nagrody, wyróżnienia, gratulacje, uściski dłoni, jeszcze ostatnie uwagi, rozmowy, jeszcze ostatnie dyskusje i ... do zobaczenia za rok, w gościnnym Chełmie, bogatsi o to, co przeżyliśmy i ciągle ciekawi tego, co przed nami.

BARBARA
MICHAŁOWSKA—ROZHIN

dakcją Zygmunta Mańkowskiego i *Majdanek Konzentrationslagier Lublin 1941—1944* pod redakcją Tadeusza Mencia.

Ważnym nurtem w książkach Wydawnictwa Lubelskiego są dzieje myśli politycznej. Zapoczątkowała je seria *Dokumenty naszej tradycji*, w której znalazły się, między innymi, opracowania Jerzego Łojka, Jerzego Topolskiego, Jana Lewandowskiego, Wiesława Skrzydły. W ostatnich latach, oprócz tematyki historycznej, zaczęły ukazywać się prace z zakresu nauk społecznych. Są to pozycje z dziedziny prawa, politologii, filozofii, a także z dziejów nauki polskiej, historii literatury i języka, ponadto bibliografie literackie, dzieje lubelskiego teatru, wydania dotyczące twórczości plastycznej i muzyki.

Odrębnym dużym dziełem publikacji Wydawnictwa Lubelskiego jest literatura piękna, książki dla dzieci i młodzieży oraz przekłady z języków obcych. Na uwagę zasługuje edycja spuścizny literackiej Józefa Czechowicza, dwunastotomowych dzieł Ewy Szelburg-Zarebiny, dwunastotomowych pism Kazimie-

rza Andrzeja Jaworskiego, dzieł Bolesława Prusa, Stefana Żeromskiego, Bolesława Leśmiana, Elizy Orzeszkowej, a także pisarzy zmarłych po wojnie: Waldemara Babini-cza, Jana Gerharda, Eugeniusza Pa-ukszty, Alojzego Srogi i innych. Wydawnictwo Lubelskie publikuje również utwory miejscowych twórców. Debiutowali tutaj między innymi: Maria Józefacka, Ryszard Liskowacki, Adam Majewski, Anna Markowa, Longin Jan Okoń, Henryk Pająk, Wiktor Zawada oraz reportażyści: Romuald Karaś i Stanisław Harasimiuk.

Szczególne zasługi Wydawnictwo Lubelskie położyło w dzieło popularyzacji współczesnej literatury ludowej stając się w tej dziedzinie wydawnictwem centralnym. Dotychczas w Lubelskiej Bibliotece Ludowej ukazało się 30 tytułów. Na szczególne podkreślenie w tej serii zasługuje antologia *Więść Tworząca* rozpoczęta pod redakcją Aliny Aleksandrowicz a kontynuowana później przez Elżbietę i Romana Rosiaków, piękne wydanie wierszy zebranych Jana Pocka *Poezje w opracowaniu Aliny Aleksandrowicz*,

zbiór wierszy Stanisława Buczyńskiego *Wszystko co we mnie jest* z poła oraz indywidualne tomiki poetyckie Pauliny Hołyszowej, Józefa Maika, Bronisława Pietraka, Adama Pacha, Andrzeja Skupienia, Florka i innych poetów ludowych.

27 roczników „Kalendarza Lubelskiego” (1958—1985), 15 tomów *Logopedii* pod redakcją Leona Kaczmarska, 12 numerów „Rocznika Ogniska Nauczycielskiego w Lublinie”, 4 tomy „Rocznika Polonijnego”, 12 „Zeszytów Majdanka” — to również pozycje, które ukazały się w Wydawnictwie Lubelskim. W lubelskiej oficynie zaczęto również wydawać pierwsze numery kwartalnika „Akcent” poświęconego literaturze i sztuce.

Od trzydziestu lat Wydawnictwo Lubelskie jest oficyną, która przyczyniła się do pomnożenia dorobku nauki i kultury polskiej, a wszystkiemu co lubelskie stara się nadać ogólnopolski wymiar.

Świadomość tych faktów niechże zastąpi gratulacje, jakie okazjonalnie składa się z okazji jubileuszu.

J.J.

KAZIMIERZ MAURER

Diabeł w kuminie

Nie było ścierwa zbyrusa nad Kowolów Jaśka. Cingim ino myśloł, jucha, jakby ta kumu co na psote zrobić, jak ta kogo wystrasyć, łokpić. A to w bani łocy, nos wydłuboł, świeckę wstawil i wiecorym łod dumu do dumu chodzil, a to jakigo chłopu w kuźni za noge do kowadła przywiazol. A juz najwincy miod uciechy z psamy, co do kuźni na wystruzyny z kopyt przylotaly. A to jakimu garnek do łogona udypil, a to jakom blache, a potym śmioł się, jaz sie zanosil. Roz przysed do kuźni Rymbieskich kot. Jaśka od razu zacyno koricć, a miod takom świńskom bacharzynie, dowej, nasypol w niom grochu i kotu do łogona przywiazol. Kot jak wywar ścierwa, to ino grało za nim, dopod do dumu i we drzwi, a tu gospodynin ze drzwi, pchnyl się mindzy nogi, som sie przeciysnył, a bacharzyna welachno stanyła, kot mlaucy łokryncol sie gospodynin kole noóg śnurkim, Rymbiesko ani kroka zrobić nie moze — w krzyk. Wyskocyl Rymbieski, chciol kobiecie pomóz, a tu kot im

obydwóm nogi spluntoł i ryms łoba, jak długie. Łoj kliny, ścierwe Jaśka, kliny. A Jasiak dali broil. Ale jak to powiadajum przyjdzie kryska na Matyska, przysła i na Jaśka. A bylo tak: Stary Chruściok wydowol Janiele wysela, kiej we dworze, luda sprosil huk z Łolindrów, Kierdziejówki. A Jaśka, chociaż im to przecie wszystkie kunie do ślubu kul, nie prosili. Ale wiecorym jak sie ludzi pod łokna naschodziło pełne podwórze, nie brakło tyz i Jaśka. W chałupie za stolamy gynsto przepijajum, muzyka rżnie az sie niesie po całkim podwórzu, az jelita skrunco. Jasiak juz tego ścierpieć ni móg, najgorzy go te kacki ścierwa drzożnily, popatrzol se na tyn kumin. Cekej, powiadio, bydzies my tu jucho na złość robił. Posukol pynek galganów, łobsed chałupe łod zaścionków i dowej drapać sie na dachu. Slizgo psia jak na śkle, ale włazi i nie byl by Jaśkim, zeby nie wioz. Dosed do kumina, pogrozil mu jesce roz, i dowej mu pynek galganów w garlo pakować, mos powiadio, nachlej sie. Ale to byl kumin staroświecki, taki, że tyngi chłop mog sie w nim łobrócić, to tyz dym jak, łeciol, tak leci. Co to ścierwa, powiadio Jasiak, nachylił sie do dziury zeby galgany utkać, a tu noga mu sie umskala, zacym sie spostrzyk chciol złapać, zatrzymać, juz leciol głowom na dół, ta ino świscalo. Łocy pełne miod sadzy, w nosie pełno, polily go ścierwa, ze kichoł roz wroz, az grzmiało w kuminie, gozy, ze u dołu kumin sie zwynzil i Jasiak myśloł, ze juz tu łostanie, ale pumogol sobie ryncamy nogamy i wreście pocul ze sie ulzyło, i ze jest na izbie weselny, bo gwanno bylo tyngo, brzyncały kieliszki. Nic nie widziol, bo łoców łod sadzy łotworzyć ni móg, nik z weselników tyz go nie widziol jak wytechnyl głowe z cugu na izbe, dopiero jak kichnył roz, drugi, ze zagrzmiało po izbie, panna miodo zejzala go. Boze zywy, krzykla — djabeł prawdziwy i zamglala. A potym ino Jasiak elysol, jak sie stoly, ławy łumaly, drzwi i łokna lecialy. Wycisnył sie z cugu i zlicol na podłoge, przetarł łocy i ujrzol panne miodom, łotwarła ino łocy i umglala drugi roz. Nie cekol dluzy, wyrwol z chałupy i gnoł ta, ino ziemia dudniala, a kichoł az grzmiało, wszystkie weselniki przed nim. Jak dopod do swoi chałupy — kobita mu otwarła. Nie umglala, po prowadzie, ale z czwórkom dzieci nie mogła sie w tyne drzwi pomiescić, razym z futrynom wylecialy.



Stefan Konopczyński, Wyroby ceramiczne, Bolimów, woj. skierniewickie

Fot. Piotr MACIUK

KTO DUREŃ?

(z przekazu)

O rano raz dwóch chłopów pole, a o miedzę orał je i szlachcic. W czasie obiadu zeszli się na miedzy na posiłek, zadawszy wołom obroki. Jedli sobie i pogadywali o tym i o owym. Aż tu wół jednego zaplątał się w szleję. Chłop poszedł odplątać klinac szpetnie. Gdy wrócił, szlachcic zgorszony jego klątwą odezwał się:

— Ale wy, Wojciechu, klęty jesteście! A ja nikogo nawet durniem w życiu nie nazwałem.

— A mnie pan nazwał!

— Na pewno nie!

— A ja pana do tego doprowadzę, że i durniem nazwie, i zeklnie w drobny mak.

— Nigdy! Chodźmy w zakład. O dwadzieścia rubli!

— Dobra, zobaczymy! Słuchaj tedy co będę gadał. I zaczął chłop opowiadać:

— Mój ojciec miał psocły. To takie wielce pozytywne stworzenia, robio miód dobry na lekarstwo, robio wosok, a z niego i świecki do kościoła, a jesce zapyłajo nam sady i inne rośliny. I raz mojemu tatułowi umerła psocła, bo ukąsiła szlachcica i widać lyknęła przy tem tej ziej krwi.

— Toć ona zdechła, nie umarła.

— Psocły nie zdychajo, tylo umierajo.

— No i co?

— Nu i ja, i tato chcieli jej sprawić ućciwy pogrzeb, bo napracowała sie nam wiele. Zgodzili my furgon, zeb je zawieść na łąka i pochować srod kwiecica. Zaczli my jo kłaść na ten furgon. Kładziem i kładziem a tyle jej jesce ostaje sie.

Tu chłop zerknął na szlachcica, czy go nie ponosi niecierpliwosc, lecz tamten słuchał uśmiechając się.

— Juz nakładali my rowno z drzewami, a jej jesce kupa. Ida ja tedy, godza jesce jeden furgon. Jek zaceli kłaść na niego, to jej jesce więcej zrobiło sie i ten drugi furgon załadowali my az do chmurow — mówi chłop — i znów zerka na szlachcica, a tamten ani mrugnie.

— Widzim ze nie wsadzim jaj całej, więc ida ja po trzeci furgon. Kładli my je na niego, kładli, kładli, az nakładli do samego nieba. A ze ja był na furgonie, a tato mnie podawali, zechciało sie mnie zajrzeć do nieba, zeb zobaczyć, co tam je. No i zobacył ja nieboscyka panskiego ojca.

Szlachcic zapytał ze złośliwą ciekawością:

— A co mój ojciec tam robi?

— A chodzi z takim ogromnym bicyskiem i świnię pasie.

Tu szlachcic nie wytrzymał:

— Ech, ty dureń! Mój ojciec miałby w niebie świnię pasć?

— Moze jen i nie pasie, ale dureń to nie ja, tylo pan, bo ja wygroł zakład, Mateus świadkiem, a pan mas figa pod nakrywko.

Tu tyknął dwie figi pod sam nos szlachcica: O, jedna, o, druga!

Szlachcic skoczył:

— Mnie figi dawać, ty chamie, ty durniu! Do sądu ciebie podam! Mateuszu, będziecie mi świadkiem.

Nie bardzo chciało się Mateuszowi świadożyć przeciw sąsiadowi, ale gdy przyszło do sądu, a ten odbywał się w naszej gminie, bo to była nie sprawa karna, tylko „pyskówka”, stanął szlachcicowi za świadka. Ławnikami byli: Wincenty Dziuba i Andrzej Lewocz z naszej wsi.

Sędzia pyta Mateusza:

— Świadek, tak bylo jak powód mówi?

— Tak, wysoki sędzie.

— W takim razie sądzony zapłaci powodowi za obrażę honoru po rublu za figę.

Sądzony wyjmuje pięć rubli i wręcza je szlachcicowi.

— Ale ja nie mam wydać — mówi szlachcic.

A chłop na to:

— To ja jesce trzy figi i miej sobie te pięć rubli, bo ja u ciebie, panie szlachcicu, na zakładzie zarobił dwadzieścia! I wracaj do swojego, pięknego zwyczaju: niko go durniem nie nazywać, a juz nigdy chłopu, bo przegras na pieniądzech i na honorze.

JÓZEF CITAK

HUMORESKI LUDOWE

Panocek

Na kalenicy chołpy śladia piykno papuga, gazda to uwidziol, po cichu przystawil drabine i wychodząc tak se myśli: taki piykny, wielki ptok, piórecka cyrwone, zielone, niebieskie, biale, zeb to chycić, zeb to chycić, tak myśląc zbliżo się i juz mo chycić za ogon, a ta jak nie wrzaśnie na chłopu: Do domu! Chłopina biydný się zawstydzil i godo: przeprosam woś piykny panosku, ja myśloł zeście ptok!

Jak utrafić mola

Do japytki przychodzil chłopina i kupuwoł naftalinę w prosku, nagle zaczął kupować naftalinę w kulłak, a ze to robiul cesto, japytkorza to zaciekawilo i pyta sie: Cego wy teraz kcecie w kulłak? A bo, panie japytkorzu, barz ciężko utrafić proskiem w taką chmurę moli, trzeba mi kulłak, godo chłopina.

SKARB

Baltar Kuszwiłko miał już sześćdziesiąt lat i przeżył w życiu nie jedno. Nie raz słyszał, że nieszczęścia chodzą parami, ale żeby trójkami, tego jeszcze nikt mu nie powiedział i pewnie nie przydarzyło się to nikomu więcej na świecie, tylko jemu.

A było to tak. Najsamprzód zachorowała mu żona. Bolało ją cesik w środku i bolało. Kuszwiłko jeździł z nią po różnych medykach, wydawał pieniądze, ale nic a nic pomóc jej nie chciało. Anna Kuszwiłkowa leżała w łóżku i stękała. Jeść nie mogła, do nijakiej roboty się nie nadawała, wyschła, jak sosnowa gałązka i tyle z niej było w gospodarstwie, jak to sam sobie zwykł mawiać, co z psą łajna.

Ale jeszcze z tym nieszczęściem było można wytrzymać. Krowy doił sam. Kury karmił sam, a i w polu za żonę robotę też robił sam. Po roku już się do tego przyzwyczaił, że Anna jeno leży w łożu i stęka i nijakiego więcej z niej pożytku nie ma, ino to, że jak z pola przyjdzie do chałupy, jest do kogo słowo zagadać.

Ale ostatniej jesieni zważyło się na niego nowe nieszczęście. Zakulał mu koń. Stary Siwek, któremu już niewiele zębów zostało, nagle zaczął utykać na prawą nogę. A było to w samą zwózkę ziemniaków. Ziemniaki w polu, a Siwek zakulał. Baltar Kuszwiłko o mało nie zwariował. Zaprowadził Siwka do kowala, aby ten przejrzał, czy czasem hacel od podkowy przez kopyto mu nie przelazł i nogi nie kalecty. Ale nie, hacel był w porządku i podkowa przybita jak się patrzy, a Siwek kulał.

— I co ty chcesz, biedny człeku, to rób — gadał sam do siebie Baltar Kuszwiłko, a Siwek kulał. Wtedy konowała do niego przywłóził a ten powiada:

— Koń stary jest i w jesienne szarugi reumatyzmu końskiego się nabawił. Roboty już z niego wiele nie będzie.

Baltar Kuszwiłko po odejściu końskiego medyka za łeb się złapał z ropaczy.

— Jeno, — powiada, — sznura brać i wieszać się, takie nieszczęście na mnie spadło.

Pieniądzy na drugiego konia nie miał. Ziemniaki w polu na jesiennych deszczach mokły, a Siwek kulał. Jął się wtedy sam go leczyć. A to spirytusem chorą nogę mu smarował. A to upalone w worku kasztany mu do niej przykładał. A to gorącym mlekiem go poił. Ale nic nie pomagało, Siwek kulał i basta. Ledwo na podwórko mógł ze stajni wyleźć i po obejściu pokuszykać. Żal mu było Siwka, co dwadzieścia parę lat w polu z nim pracował:

— Nie sprzedam go — powiada — u mnie się urodził i u mnie dożywocie mieć będzie. Z roboty zachorował, nie z tańca.

Tak i zostało. Baltar Kuszwiłko obce konie do zwózki z pola najmował. Często wózką sam wory z pola woził, skórzany pas sobie przez ramię założywszy, żeby

mu ziemniaki całkiem w bruzdach nie zamarzyły, a Siwek kulał, Anna leżała i stękała i nijakiej rady na to nie było. Usiadł nie raz Baltar w wolnej chwili, żeby trochę porozmyślać, co dalej zrobić ze swoim nieszczęściem, ale ze zgryzoty i umartwienia nawet myśleć już siły nie miał.

Minął rok, a Anna dalej leżała i dalej stękała, a Siwek też dalej kulał. Ale Baltar Kuszwiłko już się i do tego przyzwyczaił. A kiedy popatrzył po ludziach, jakie to wielkie nieszczęścia ich spotykają, zawsze sobie myślał, że jego nieszczęścia jeszcze nie są takie straszne i tak sobie tłumacząc znosił je dalej. Był też przekonany, że skoro nieszczęścia chodzą zawsze parami, jego nieszczęścia są już do pary akurat i nic więcej złego nawiedzić go nie może.

Ale stało się inaczej. Kiedy pojechał do miasteczka i zabawił tam na jarmarku niemal do wieczora popijając w szynku z sąsiadem, spostrzegł nagle, że został doszczętnie okradziony przez jakowychś opryszków, którzy czyhając po szynkach na nieuwagę pijących opróżniali im kieszenie. Ukradziono mu sakiewkę, w której miał jedyne pieniądze za sprzedane świnię, które przywłóził do miasteczka na wozie sąsiada. Innych pieniędzy już nie miał i nie miał już co sprzedawać w gospodarstwie przed zimą. Teraz nie było już ani na lekarstwo dla żony, ani nawet na kwaterkę nafty do lampy.

Jak zobaczył, że sakiewki w kieszeni nie ma, wiedział, że nic mu nie pozostało, jeno spełnić stary zamiar, wrócić do chałupy, wyszukać w komorze mocnego sznura, zaczepić na dębową gałąź i na nim zawisnąć. Z dwoma nieszczęściami jeszcze jakoś wytrzymać się dało, ale na trzy już innej rady nie widział. Zły i markotny wlaź na wóz sąsiada i jadąc do chałupy pomyślał sobie, że po powrocie z żoną się pożegna, Siwkowi ostatni raz do żłobu obroku nasypie, sznura poszuka i na dębie zawisnie, żeby tyłu nieszczęść na raz w życiu na plecach nie dźwigać. Niech się po tym dzieje, co chce. Niech sobie Anna stęka. Niech Siwek kuleje, on tego już ani słyszał, ani widział nie będzie.

Ale gdy na zmrok do domu przyjechał i do obejścia wszedł, aby najsamprzód Siwkowi ostatni raz do żłobu obroku nasypać, przypomniało mu się nagle, że gdy na sznurze zawisnie, samobójcą będzie i ksiądz na cmentarzu pochować go nie zechce. Musi przeto grób sobie w obejściu wykopać, aby za parkanem cmentarnym na uroczyisku, gdzie ponoć potępione dusze nocami jęczą, pochowanym nie być. Poszedł więc do chlewa, wziął łopatę i jął za stodołę, pod dziką gruszą mogilkę sobie kopać, aby go żona, jako wisielca, gdzie na wieczne spoczywanie złożyć miała.

Księżyc już na niebo wyszedł. Sowy po starych dębach jęły się nawoływać, a Baltar Kuszwiłko kopie sobie mogilkę i kopie. Twarde korzenie dzikiej gruszy na przeszkodzie mu stają, że ani łopatą ziemi urwać nie może. Co odpocznie, to w garście płunie i znowu kopie. Aż tu naraz łopata o coś twardego zadzwoniła i ani rusz dalej w ziemie leżeć nie chce. Ukłąkł Baltar nad dołkiem, który mu jeno po kolana sięgał i ręką w ciemności maca.

— Kamień jakiś — mamrocze — czy co?

Wyrzebał toto nieco do wierzchu.

— Hm — powiada — jak tak będzie, będę kopał do południa, a jak się rozbrzaska czas do wieszania. Ponoć wtedy kiedy to noc się kończy, a dzień jeszcze się nie zaczyna, najlżej wisielcom do piekła się idzie i nikt ich nie może w ciemności rozpoznać, kto też potępioncem jest. Wstał więc, łopatą zawadził o coś twardego,

wielkiego, niby dynia, podebrał i do góry ciągnął. Twarde to coś i ciężkie, niby glaz. Ale z całych sił nogami o zrab dołu się zaparł i do wierzchu to wyciągnął. Usiadł nad dolkiem i patrzy. Księżyc świeci mu w twarz, niby latarnia, a on patrzy i oczom swoim nie wierzy. W dolku pod samym wierzchem gar ogromny, kamienny leży na bok przewrócony, a koło niego spod pokrywy stos jakowych pieniędzy nieznanymi się wysypuje. Złote, rozsypane w świetle księżyca, niby gwiazdy błyszczą.

Baltar Kuszwiłko oczy przeciera i nie wierzy. Przypominał sobie, że w karczmie w miasteczku gorzałkę pił, ale żeby aż tak spitym być, aby skarb ony sobie przedstawić i zwykły piasek w niego przeobrazić, w to też nie wierzył. W ramię się szczypie, czy czasem nie śpi i całej tej historii we śnie nie widzi ale gdzie tam. Ot, nad dolkiem sobie siedzi, z tyłu wrota do stodoły za plecami ma, w obórce krowa porykuje, a w górze nad nim księżyc w pełni stoi, niby ogromny bochen chleba. I to, wszystko prawda.

— Toż przecie nie śpię — powiada sam do siebie.

Wyciągnął rękę i monetę w dłoń nabrawszy do oczu je podniósł:

— Dalibóg, prawdziwe złoto, jakim Kuszwiłko — mamroce.

Rzucił łopate, garniec obydwoma rękami z dołu wyciągnął, do chałupy przyniósł i na ławie postawił. Dopiero teraz sobie przypominał, jak mu przed laty dziadek kiedyś opowiadał, że był raz w rodzinie żołnierz, pradziad Ryszko, który z wojny ze Szwedami powróciwszy skarb wielki ponoć przyniósł. I o zdobyczą swoją żołnierską, na najedźdzy zdobytą zazdrosny, w tajemnicy ją przed wszystkimi przechowywał, a umierając w niewiadomym miejscu zachował, nikomu jej nie przekazawszy. Teraz dopiero sobie uprzytomnił, że skarb ten natrafił. Z radości mało nie oglupiał i pomyślał sobie, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Zaraz następnego dnia medyka znanego do żony zwodził. W miasteczku na jarmarku drugiego konia sobie kupił, niby ota, a potem zaszedł do krawca i szewca, aby obstałowac sobie nowy żupan z błyszczącymi guzikami, jakie w tym czasie nosili kupcy, i żółte buty z mosiężnymi podkówkami.

— Baltarku — spytała go któregoś dnia żona — a skąd żeś tyle pieniędzy wziął, że i na medyka miałeś, i na konia, i na żupan, i na żółte buty z podkówkami?

— A otóżem świnię sprzedał — powiada Baltar, kryjąc prawdę przed żoną, aby ta babakim sposobem rodzinie swojej o wszystkim nie wygadała.

Zaspokoili się Anną Kuszwiłkowa tym wyjaśnieniem męża, ale sąsiad Hardaszko był ciekawszy i bardziej dociekliwy. Spotkawyszy raz Kuszwiłkę na drodze pyta:

Ho, ho, sąsiedzie, a cóżecie to skarb jaki znaleźli, że i konia macie drugiego, i kaftan ze złotymi guzami, i buty ze złotymi podkówkami?

Próżno Baltar Kuszwiłko przekonywał Hardaszka, że guzy u żupana i podkówkki u butów są jeno mosiężne nie złote, ale nic już nie pomogło. Po trzech dniach cała gmina już wiedziała, że on, Baltar Kuszwiłko, wielki jakowys skarb chyba znalazł, albo że zbójnikami siałwę ma, bo zakupił aż sto par koni na jarmarku, żupan ze złotymi guzikami i buty z żółtej skóry ze złotymi podkówkami. A czwartego dnia pod wieczór wiedziało już o tym trzy gminy, a na dodatek rozpowiedziano, że Kuszwiłko ma tyle dukatów, iż może zakupić na własność tysiąc par koni i trzy gminy.

Nie za długo po tym dowiedział się o wszystkim brat

Kuszwiłki, parę gmin dalej mieszkający Nepro. Zajechał któregoś dnia do niego na podwórko i powiada:

— A skądże u ciebie, bracie Baltarze, tyle pieniędzy, że i konia masz, i żupan, i buty ze złotymi podkówkami, a jak mi ludzie powiadali, i bogactwo ogromne.

— Tociem sprzedał świnię — próbował bronić się Baltar.

— Hi, hi, hi — roześmiał się brat — za świnię, które sprzedales, jeno soli i nafty na zimę do lampy byś kupić mógł, a nie sto par koni i trzy gminy na własność.

Przestraszył się Baltar tego, co o nim gadano, i dawaj bratu na wszelkie sposoby tłumaczyć, że prawdą to nie jest, a guzy u żupana i podkówkki u butów jeno mosiężne są, nie złote, ale tamten swoje.

— Dwadzieścia pięć świń trzeba sprzedać, żeby jednego konia kupić — powiada — a skąd miałeś na żupan, i buty, i medyka dla Anny, co? Nie daj Boże, że zbójami po borach zbójujesz czy co, żeś taki bogaty.

Zezlił się na niego Baltar i powiada:

— Honcwot, patrzajta jaki, za zbója mnie uczciwego człeka ma. W rodzinie naszej całej zbójów nie było, jeno uczciwe ludzkie, a ty, panie święty, obrazę na mnie rzucasz, guza szukasz.

Zmiękł wtedy tamten i powiada:

— He, jakieś nie zbój, to skarb chyba jakiś znalazłeś bo nie sposób, żebyś tyle pieniędzy za świnię miał.

— Na twoim polu nie znalazłem — krzyknął wtedy Baltar — czego chcesz?

Poszedł wtedy tamten po rozum do głowy, pojechał do domu i do rodziny powiada:

— Nie sposób, jeno to prawda że Baltar skarb wielki znalazł i w chałupie go ukrywa.

Wzięła się cała rodzina radzić, że inaczej być nie może, ino Baltar skarb znalazł, jeno gdzie i kiedy, do tego dojść nie mogli. A we wszystkich gminach w okolicy już gadano o bogactwie Baltara niezmiernym i tak wielkiem, że sam nawet król tak bogatym nie był. Wieść szła z ust do ust, a każdy do tego coś dodał, tak, że po dniach paru ogłoszono, iż Baltar Kuszwiłko niechybnie albo zbójcą jest, albo czarownikiem wielkim. Rodzina jego jednak, przy domysłach o znalezieniu onego skarbu ostając do wójta poszła.

Baltar Kuszwiłko jednak po odjeździe brata Nepra gar ze złotem do wora wsadził i z chałupy wyniósł, na drabinę wlaźł i w dziuplę w starym dębie za ogrodem zachował. Uważał, że po stokroć bogatszemu od niego bratu skarb się przez niego znaleziony nie należy, chociażby dlatego, że gdyby grobu sobie nie kopał, nikt by go nie odnalazł. Wójt jednak twierdząc, że połowa skarbu należy się również jego bratu Neprowi, gdyż ziemia, na której Baltar znalazł skarb, należała kiedyś do loh ojca i przypuszczając, że skarb ony mógł również do niego należeć, rozkazał dom Baltara przeszukać i skarb ony domniemany odnaleźć, aby go między braci podzielić. Ale strażnicy przeszukujący chałupę Baltara na rozkaz wójta już żadnego skarbu w niej nie znaleźli.

Brat Baltara, Nepro, nie wierzył strażnikom sądząc, że są przekupieni i zwoławszy całą rodzinę z drągami, łopatami i kilofami przyszedł o zmerzchu do obejścia Baltara. Wszystkim kazał ułożyć się w stodole do snu i zapowiedział, że następnego dnia sam z rodziną przeszuka jego obejście w celu odnalezienia skarbu. Legło wtedy w stodole około trzydziestu ludzi czyhających na świt i poszukiwania, paru szwagrow, córek, synów, zięciów, dziadków i babek.

O świcie wszyscy zerwali się z łopatami na równe nogi, rzucając się do przewracania i wykopywania wszystkiego, co stało na drodze. Pod wieczór wykopano

z korzeniami w obejściu pięć lip, osiem jabłoni, parę grusz i dwadzieścia innych drzew, podkopano stodołę, przewrócono ze szczytem chlew i obórkę oraz wzięto się do podwalin chałupy. Przy tym Nepro cały czas gadał do rodziny, że jest mu wiadomo od ojca, iż jego pradziad zakopał kiedyś w obejściu skarb bezcenny, którego nikt nigdy nie mógł odnaleźć, przeto posądza on swego brata Baltara o jego znalezienie. Rodzina więc kopala ile sił a do niej przyłączali się coraz nowi ludzie, którzy przechodząc i dowiadując się czego szukają nagle przypominali sobie, jakby byli również członkami tej rodziny. Pod wieczór w obejściu już kopano około sześćdziesięciu ludzi, a gospodarstwo Baltara wyglądało, jak pobożowisko po walce ze Szwedami. Na noc zmęczona rodzina, pożarłszy niemal wszystko co znajdowało się do zjedzenia w obejściu Baltara, znowu ułożyła się do snu w stodole. Niektórzy zrywali się we śnie wołając:

— Gdzie jest skarb!?

— Przed stodołą stała warta, aby Baltar nie wyjął nocą skarbu z domniemanego schowka i nie przeniósł go w inne miejsce. Nepro zapowiedział, że następnego dnia rodzina, zgodnie z postanowieniem, zerwie w chałupie podłogę, rozkopie podwaliny i powywraca z korzeniami stare dęby za ogrodem.

Gdy księżyc wzeszedł nad lasem a sowy jęły nawoływać się po starych dębach, Baltar wstał i bosy wyszedł z chałupy przez okno, włązł na dąb do dziupli, w

której ukrył worek, wyjął skarb, zaniósł go do lasu i zakopał pod sosną. Myślał tylko nad tym, jak ukryć skarb, który był dla niego w życiu jedynym ocaleniem. Nie mógł sobie wyobrazić, co by się z nim stało, gdyby musiał włożyć Annę do ciemnego dołu, gdy bez pomocy medyka by umarła, na którego nigdy nie miał pieniędzy, i co by było, jak nie mógł by nigdy kupić już konia albo musiał chodzić zimą po śniegu bosy, gdyż nie miałby pieniędzy na buty. Wrócił do chałupy o świcie. Po chwili cała rodzina zerwała się znów do rozkopywania jego gospodarstwa: zerwała w chałupie podłogę, rozkopala podwaliny i rozebrała komin. Po południu wykopała z korzeniami stare dęby za ogrodem.

Ale pod wieczór przyszedł sołtys a dowiedziawszy się, że do tej pory nigdzie na skarb nie natrafiono, rozeszmiał się i powiada:

— A co wy sobie myślicie, że Kuszwińko taki głupi w obejściu skarb chować, żebyście znaleźli. W lesie pewno, pod sosną ony skarb zachował.

Już zmierzchało. Rodzinie opadły ręce ze zmęczenia ale wszyscy wzięli łopaty, poszli na skraj lasu i zaczęli kopać. Do zmroku wykopano z korzeniami siedem sosen, pięć świerków, cztery brzozy i stos innych drzew ale nastąpiła noc. Baltar Kuszwińko zmiarkował, że zaraz następnego dnia dojdą z łopatami do sosny, pod którą zakopał skarb. Ze strachu i zmęczenia cały dzień nic nie jadł. Chwiał się na nogach ale wziął łopatę, poszedł pod sosnę, odkopał worek ze skarbem, zawiązał go do lisiej jamy za borem, wrzucił i zasypał listowiem.

Przez cały następny dzień rodzina wykarczowała połowę lasu ale skarbu nie odnaleziono. Baltar wodził po nich błędnym wzrokiem nie wiedząc co uradzą dalej i gdzie będzie musiał jeszcze przemieszczać skarb ale pod wieczór przyszedł do nich leśniczy, popatrzył co czynią i powiada:

— Ech wy, głupie ludzie, gdzie wy skarbu szukacie? Kto by go pod sosną chował. Skarb na pewno leży w lisiej jamie, pod wykrotem koło strumienia. Tam to dopiero dobry schowek.

Wszyscy złapali za łopaty, żeby biec pod wykrot do lisiej jamy ale dobrze już ściemniało. Położyli się więc koło wykrotu i czekali świtu, Baltar nocą, kiedy sowy jęły już nawoływać się po dębach a zmęczoną rodziną zaczęła chrapać, bosy poszedł do lisiej jamy, wyjął worek ze skarbem, zaniósł go do starej chaty w głębi lasu, opuszczonej przez pustelnika, i schował w kominie. Ze zmęczenia, strachu i depresji nie pamiętał już, gdzie zostawił buty i czapkę, zgubił również żupan i nawet już nie wiedział którądy wiedzie droga do chałupy. Czuł, że miesza mu się rozum a nogi i ręce odmawiają posłuszeństwa.

Następnego dnia rodzina doszczętnie rozkopala wykrot i rozgrzebała lisją jamę z dwoma włazami ale skarbu w niej nie znalazła.

Wlóczący się po lesie cyganie, dowiedziawszy się ze zgłębku szukających o co idzie, za jednego bitego talara odpowiedzieli, że jeśli poszukają skarbu, może się on jedynie znajdować w chacie pustelnika za sosnowym borem. Pod wieczór cała umęczona i zdrożona rodzina stanęła na polanie przed chatą pustelnika, a że już zapadała noc, ułożyła się do snu w chacie na podłodze, na kupie siano, z łopatami w garściach, wyczekując brzasku, aby przeszukać chatę, zerwać podłogę, podkopać podwaliny i rozebrać komin.

Teraz już Baltar Kuszwińko nie wiedział dokąd uciekać ze swoim skarbem. Wstał w nocy, wylazł z zeschniętych badyli koło chałupy, gdzie ukrywał się przed rodziną, wyciągnął z komina worek, zarzucił go na plecy



Władysław Prucnal, *Matka z dziećmi*, rzeźba ceramiczna, Medynia Głogowska, woj. rzeszowskie

i poszedł w las. Ale rychło w ciemności stracił drogę i wszedł w taką gęstwinę, że musiał siłą przedzierać się, aby nie pozostać tam na zawsze i nie być pożartym przez dzikie zwierzęta. Ogarnęła go ciemność. Worek ciężki mu na plecach, wystające korzenie kaleczyły bose stopy a suche gałęzie drapały twarz i ręce do krwi, tracił siły. Przewrócił się parę razy potykając się o pnie, zdzierając sobie skórę z kolan i łokci. O mało nie polamał żeber spadając w ciemności z jakiejś góry do głębokiego parowu, zorośniętego klującym cierniem, pełnego jadowitych zmij i jaszczurek, które z pliskiem i sykaniem kręciły mu się u nóg. Włosy pełne kolek i suchych liści zjeżyły mu się na głowie ze strachu przed tym, żeby nie być na śmierć zagryzionym przez gady a na domiar złego zupełnie nie wiedział, gdzie się znajduje. Podpierając się namacanym w mroku kijem wyłaził z parowu i usiadł na pniu zwalonej sosny oddychając ciężko ze zmęczenia. Sam już nie wiedział dokąd iść. Postanowił pozbyć się skarbu, który przysporzył mu tyle kłopotu i nieszczęścia.

O świcie, gdy tylko rozbrzasko i mógł dojrzeć płynący w dolinie strumyczek, zszedł w dół na polanę, zacerpnął dłonią wody, napił się i ruszył w drogę ze swoim postanowieniem. Gdy słońce wschodziło, wyszedł z lasu na nieznaną mu szosę i zastąpił drogę pierwszemu spotkanemu człowiekowi.

— Weź ode mnie ten skarb, dobry człowieku — powiedział próbując oddać mu worek ze skarbem — rodzina żyć mi nie da. Do mogiły ciemnej mnie przez to zapędzi i moją chorą żonę. Garniec to jest złota pełen, niech ci szczęście służy a mnie oswobodź.

Ledwo już dyszał ze słabości, strachu i zgryzoty. Oczy miał błędne, ubranie do szczytu podarte a włosy na głowie stojące, niby dorodna pszeniczna słoma. Portki poszarpane leśnymi gałęziami ledwo się na nim trzymały. Tamten popatrzył na niego i myśląc, że jest dotknięty obłędem i chce obdarować go jakimś paskudztwem rzucił się do ucieczki, bo kto by komu na drodze chciał oddać worek ze skarbem. Baltar Kuszwiłko krzychał jeszcze za nim zapewniając go, że w worku jest naprawdę garniec pełen złota ale czym głośniej krzychał, tym tamten prędzej uciekał, aż zniknął na zakręcie szosy. Zaczaił się więc Baltar w przydrożnym rowie koło szosy za wierzbą i czekał, aż będzie kto jechał wozem. A gdy zobaczył jadącego wyskoczył z rowu, podbiegł z tyłu do wozu i rzucił nań worek ze skarbem. Ale woźnica zauważywszy co czyni, myśląc, że wór swój na wóz mu rzucił chcąc sam za worem wskoczyć i darmo do miasteczka pojechać, odwrócił się na wozie i tak go batem po uszach zaciął, że ten z bólu się jeno zwinął. Woźnica zaś kozicą od bata wór z wozu swojego zepchnął, konie batem podciął i pojechał, za rzeźmięszką jakowegoś go mając i bojąc się aby ten jadąc towaru mu na domiar z wozu nie ukradł.

Baltar Kuszwiłko już nie wiedział co dalej robić ale zobaczył dwóch ludzi idących szosą i niosących kosz serów na sprzedaż do miasteczka. Ostrożnie wychylił się z rowu i rzucił wór z garem złota na przydrożek, żeby go znaleźli, ze sobą zabrali. Dwaj ludzie zobaczywszy wór przystanęli. Jeden z nich trącił wór nogą i patrzył. Gar okrągły w worku się turla, jakby kot w środku siedział.

— Phi — powiada tamten — kota ktoś do wora wsadził i na głupiego czeka, żeby go sobie do chałupy zabrał. Pewno honcwoł kury dusił, że go na drogę wyniósł.

Nogą wór z przydrożka do rowu kopnął i poszli dalej. Baltar Kuszwiłko o mało się nie rozplakał z żalości, że skarbu nikt wziąć nie chce. Już i pod południe się

miało a szosą nikt więcej iść nie chce. Już wieczór się zbliża, a tu jak nikogo nie ma, tak nie ma. Już z głodu trawę wziął jeść i czeka dalej, żeby kogo skarbem swoim obdarować. A tu na zmrok idzie żebrak stary. Kijem się podpiera. Co ujdzie kawałek drogi, to przystaje, na niebo patrzy czy do nocy daleko, czy do chałupy przed ciemnością zajdzie, odpoczywa i dalej idzie.

— Dobra moja — myśli sobie Baltar — biedny dziad na pewno skarb z radością weźmie.

Ucieszony z rowu wyskoczył i do żebraka powiada:

— Dziadku, skarb mam dla was. Gar pełen złota, weźcie sobie. Czego macie po proszonym chlebie chodzić. Macie tu i niech wam szczęście służy. Do śmierci wam na chleb wystarczy.

Ale żebrak popatrzył na niego zbielełymi oczyma i powiada:

— A na co mi twój skarb? Śmierć lada dzień po mnie przyjdzie i co ja z tym zrobię? A na świecie niczego mi nie trzeba. Chałkę mam, chleba mi ludzie dadzą, a po co mi ten kłopot? Jeszcze mnie zbójce napadną jak się przywiedzą, że skarb u mnie jest i życie mi zabiorą. A już mi go tak mało zostało, że chciałbym jeszcze na słonisko popatrzeć, jak ono sobie z rana wstaje, i jak do sru się układa. A idźże sobie i daj mi pokój ze swoim skarbem.

Nagle stanął, wyprostował się i pyta:

— A hejże, czemu to skarb ony chcesz mnie oddać, i jak go masz, sam się nim nie cieszysz?



Władysław Prucnal, Dziad z dziewczynką, rzeźba ceramiczna, Medynia Głogowska, woj. rzeszowskie

Kij w garść mocniej chwycił i patrzy.

— A możesz ty zbój — powiada — możesz tego nazbójować a teraz strażnicy cię ganiają, to się tego pozbyć chcesz i w mojej dziadowskiej torbie schronienia dla łupu swojego szukasz opryszeku jeden, co? O niedoczekanie twoje. Całe życie uczciwie przeżyłem i nijakiemu rzeźmieszkowi torba moja żebracza za schówek łupu zbójckiego służyć nie będzie. Zmiataj póki cię kijem nie obiją.

Kij podniósł, na Baltara się nim zamierzając, tak że ten ledwo spod niego umknąć zdołał. Wór swój chwycił, na plecy go zarzucił i uciekać począł, aby obitym nie zostać.

Dobrze już zmierzchało, gdy idąc przed siebie zobaczył nagle w dali płynącą rzeczkę. Odetchnął z ulgą i ledwo stawiając nogi ku rzeczolce się powłókił. Stał nad jej brzegiem i powiada z płaczem:

— Rzeko, wybawicielko moja, zabierz ode mnie tę biedę. Ulituj się nade mną, nad moim losem. Ulituj się. Uwolnij mnie od mojego nieszczęścia. Mówię ja do ciebie, jak do siostry mojej rodzonej. Chałupę mi przez to rozwalili, sad mi zniszczyli, gospodarstwo mi z ziemi zmietli a teraz mnie chcą w ręce dostać. Zabierz to ode mnie rzeko moja.

Ukląkł na wysokim brzegu, zdjął z pieców worek, podniósł go oburącz ku górze i rzucił w wodę, aż zakotłowało w topieli. Teraz dopiero roześmiał się na cały głos. Wyciągnął się w trawie, założył ręce na głowę i usnął kamiennym snem szczęśliwego człowieka, którego nie nie trapi. Ale jeszcze przed wschodem słońca obudzil go nagły zgiełk, niosący się od szosy. Wstał, przetartł oczy i patrzy a to cała jego rodzina biegnie co sił, w tę stronę głośno rozprawiając, że skoro dziad żebraczy na szosie go widział, musi on się tu znajdować. A tak i było, bo gdy kupą całą ku miasteczku biegli dnia poprzedniego, chcąc sprawdzić czy czasem tam ze skarbem się nie ukrył, dziada onego na drodze spotkali a języka u niego zasiągnawszy o spotkaniu jego z Baltarem się dowiedzieli.

Biegali teraz szosą, co sił kupą ogromną, by go wreszcie dopaść i pewny już teraz skarb mu odebrać. A takie ich było mrowie niesłychane, że czernili się w dali jak okiem sięgnął. Bo ten i ów zwiedziawszy się, że rodzina owa skarbu wielkiego poszukuje, za który jak już dziś wieść nosła, dziesięć gubernij można by kupić razem z ludźmi i dobytkiem wszelkim, do poszukujących onego skarbu się dołączyli, próbując jej członkom udowodnić, że też do rodziny należą, choć nigdy z nią nie wspólnego nie mieli, a jedynie chodziło o to, aby jako rodzina do podziału odnalezionego skarbu należeć mogli. Biegło tedy to całe mrowie ludzkie rozprawiając głośno i kłócąc się, aż ptaki z drzew zrywały się hordami i w las uciekały. A kroczył na przodzie najstarszy z rodu, wuj Hipolit, całkiem łysy, kulawy i garbaty, i ten krzyczał najgłośniej innych na poszukiwania wiodąc. Stoi wtędy Baltar i patrzy, co się dzieje a tłum, gdy go ujrzał, rzucił się nagle ku niemu niby horda tatarów i krzyczy: — Gdzie masz skarb!?

Baltar umknął nieco w bok, na górkę, żeby całkiem przez tłum rozdeptanym nie być. Stał, ujął się pod boki i śmieje się. Tłum wrzeszczy a on się śmieje. Wtedy grozić mu poczęli, że do drzewa go w boru przywiążą, kijami obiją i wilkiom na pożarcie zostawią, jak im nie wyzna, gdzie skarb ukrywa. Oni grożą a on się śmieje. I to tak okrutnie się śmiał, że o mało ze śmiechu nie zwinął.

— Ha ha ha, hi hi hi.

I nic nie gada, jeno się śmieje. Już ze śmiechu brzuch

go boli a on się dalej śmieje, aż wprost ryczy z tego śmiechu, że nawet gadać nie przez niego nie może, jeno palcem na rzekę pokazuje i wreszcie powiada:

— Tam — i znowu się śmieje.

Na góreczce stoi, tłum przed nim rozwścieczony, niby sfora psów, a on się śmieje i znowu gada pokazując na rzekę.

Jak wtędy tłum nie wrzasnął, jak nie buchnął w wodę z wysokiego brzegu i fale rękami ku sobie garnąc zaczął skarb w nich szukać. Ale skarbu w nich już nie było. Nocą umiosła go woda topiąc na dzień w czarnym odmiecie i szorując po nim piasek i kamienie, kryjąc go niby mogiła przed ludzką zachłannością.

— Gdzie masz skarb! — wrzeszczał tłum wygrażając pięściami w stronę Baltara? A on tylko się śmiał i ciągle powtarzał: tam!

Wyszedł wtędy z wody prowadzier, stary wuj, krzywy Hipolit i krzyczy do zgrai:

— Pić wodę! Wypijemy rzekę a skarb na dzień odnajdziemy!

Przypadli wtędy wszyscy do brzegu rzeki i jęli pić wodę. Ale co wypiją to z górnego biegu znowu wody napłynie. Dna jej jak nie widać tak nie widać, jeno trochę piasku na środku rzeki łyseje.

Rzucili się więc wszyscy do piaszczystej wysepki, rękami mokry piasek chwytając, łopatami go przewracając, skarb w nim odszukać mając nadzieję. Ale nijakiego skarbu na piargu onym nie było. A ujrawszy w płytkiej wodzie jeden jedyny pieniążek, który cudem jakimś z wora wypadł, z wrzaskiem wielkim, niby kruki na niego się rzucili, łopatami, drągami i kilofami się tłukąc za gardła się dusili, gryźli się, opluwali, wyrwali sobie włosy, kopali się, gnietli, urywali sobie głowy i rozpruwali brzuchy, aż woda w rzecze z błękitnej stała się czerwona, niby zorze o zachodzie słońca. Niektórzy wyciągali się z wody na brzeg i tu tłukli się, i dobijali, aby się wzajemnie wymordować. Brat bratu, nie mogąc patrzeć w oczy, zachodził go od tyłu i zniemacka zadawał śmiertelny cios. Po to, żeby do podziału odnalezionego skarbu jak najmniej ich zostało, a każdy chciał zostać sam, aby cały skarb zagarnąć.

Baltar przestał się śmiać i własnym oczom nie wierzył. Teraz wiedział, dlaczego jego pradziad mając skarb tak go ukrywał, a umierając w ziemi zachował nikomu go nie przekazując. Stał i patrzył przerażony, gdy po dłuższej chwili nie było już w wodzie ani na łądzie nikogo żyjącego, jeno zwaly trupów, nad którymi zaczęły krążyć kruki. Tylko z topieli wygrzebał się jeden jedyny łysy, krzywy i garbaty starzec, wuj Hipolit, który ległszy prawie na dnie rzeki z życiem uszedł ubitego udając i ściskając w garści jeden jedyny znaleziony pieniążek, który cudem wypadł z wora, począł uciekać. Resztę pokryła woda, która o zachodzie słońca znów była błękitna jak niebo.

Baltar Kuszwiłko teraz wiedział, iż to że znalazł skarb było dla niego największym nieszczęściem i właśnie składało się do pary. I tego nieszczęścia właśnie się pozbył. Wracal teraz do chałupy tak szczęśliwy, że śdąc podśpiewywał sobie, jakby spotkało go wielkie szczęście. A dopiero prawdziwie się uradował, kiedy to niedaleko domu będąc zobaczył, że Anna już zdrowsza biegnie mu na powitanie i Siwek jakoś kulawki się pozbywszy do niego z obejścia przygałopował. Uścisnął Annę. Z Siwkim się przywitał i obejrzawszy gospodarstwo do roboty się wziął. I zdawało mu się wtędy, że nie ma szczęśliwszego i bogatszego od niego człowieka na całym świecie, i że największym skarbem jest własny dom, swoi bliscy i zdrowe ręce do roboty.

Pola obsiane od nowa

Gdzież to wasz — pytała Pisańczukową pyskata Kobyłina, która wstąpiła do nich, ot aby trochę język przelamać.

— Może gdzie do urzędu, abo do doctora pojechał...?

— Wam, Katarzyno, to tera tylko jeść, i po doctochach chodzić. Roboty przecia nijakij ni macie, pienion-dzów darmo wam dadzo... Co nie? Może ni prawda? Wasz stary wychytrzył z to ziemjo, co jo oddał do skarbu za rente, wychytrzył. Wasz Zenek, to chyba i żalu do ojca ni ma, co go tak z ziemi splawił, wiadomo, elektryk robotę wszendzie znajdzie a na gospodarstwie, to chyba nie bardzo robić mu sie kciato. Z wami, Pisańczukowa, to tak jak z tym ślepym. Ja tu gadam jak do człowieka chyba z godzinie a wy nic — wygarnęła w końcu mocno już rozszaloną Kobyłina, jedynie półsłówkami Pisańczukowej zbywana.

— Ja do was z sercem, z radą, a ta giembe w ciup i gadać nie chce.

— Nu, wim ja co was boli, wszyscy wiedzo, cała wieś. Byliście córką najbogatszego gospodarza, a wyszliście za mąż za takiego Jaśka, co ino na tych swoich skrzypkach po weselach grać piknie potrafił. I co? Tyn wasz muzykus wasze własne hiktary do rzondu oddał, dziadówce z was zrobił, tera cała wieś ma na kim jenzyki wycierać. Lepiej wam było z tyj Hameryki ni wracać, jakżeście byli tam kiedyś wyjichali.

Prasnęła drzwiami i jeszcze w sieniach słycać było furkotanie jej nie wyparzonej gęby.

Była niedziela, jedna ze słonecznych niedziel kwietnia. Pisańczuk wstał o świcie, po gospodarsku, bo tak już był nauczony wstawać i choć nie miał żadnych obowiązków w obejściu, boć przecie żadnej żywiny oprócz kur nie trzymał, począł gospodarskim zwyczajem drepnąć z kąta w kąt, przestawiać jakieś wódy, puste koszyki, i czuł w tej całej krzątaniu przyjemność, zadowolenie. Potem, nie czekając na śniadanie, ścieżką poza ogrodami powłócił się w pole. Szedł, ot tak, aby przed siebie, bez celu, aby dalej być od ludzi na szerokiej przestrzeni pól. Stawał, patrzył na zieleńjące niedawno wszędzie owszy, na zagony świeżo zbronowanego pola przygotowanego do wywózki obornika pod ziemniaki, na luny żyta nabrzmiałego soczystą zieleńią. Znał od maleńkości każdy zagon, każdą miedzę wiedział, które pole do kogo należy, jak rodzi i na ile części będzie kiedyś podzielone. Tak rozmyślając i sycąc oczy wiosenną kraśną — naraz zatrzymał się i chciał zawrócić. Dochodził do swego pola, które leżało nie tknięte, niczyje. Rzucił jeszcze raz okiem na porastające szczawiem skiby i skęcił ostro w bok. Szedł teraz w poprzek pól, aby dalej, nieomal na oślep, gdyż w oczach ciągle miał tylko rdzawy porost końskiego szczawiu.

— Tyś już nie gospodarz — wychrypiał mu nad głową dzięki gołąb ukryty w gałęziach polnej gruszy.

— Tyś nie gospodarz, tyś zdrajca chłopskiej sprawy — szeptały kotłujące się po głowie myśli.

Nawet druty telefoniczne przy szosie brzęczały mu, gdy wracał do wsi, jakąś obelżywą melodię, zaczynającą się i kończącą słowami — zdrajca, zdrajca, zdrajca.

W obejściu zastał soltysa rozmawiającego z żoną i jakiegoś panka z bródką trzymającego pod pachą wypchaną teczkę. Soltys objaśnił, że ten pan to geometra i, że będzie robił we wsi regulację gruntów, a dopóki co, bendzie miot u ciebie kancelarje i u ciebie mieszkał — zakończył.

Inżynier tkwił nad papierami całymi dniami. Zwoływał gospodarzy, komisję wiejską i coś tam kalkulował. Pisańczuk snuł się po domu jak cień, aby jak najmniej stykać się z tymi ludźmi, którzy jedynie o ziemi prowadzili rozmowy. Słyszał jak między sobą rozmawiali o intensywnych odmianach zbóż, o nawożeniu. Młodzi chwalili się, że kupują maszyny, traktory, ziemię. A jego chyba sam diabeł skusił, pośmiewisko z siebie zrobił. Byli przecież we wsi gospodarze w starszym wieku i jakoś tam dawali radę, a on postąpił jak najgorszy głupiec.

Jednego wieczoru, gdy w chacie zebrała się komisja wiejska usłyszał, jak inżynier mówił do niej:

— Ziemia tych dwunastu gospodarzy, którzy przekazują swoje gospodarstwa dla państwa za rentę, będzie wyodrębniona i przydzielona do gruntów RSP w Różance, pomiary zaczniemy zaraz po żniwach.

Pisańczuk własnym uszom nie wierzył. Na drugi dzień, chcąc się upewnić, nieśmiało zagadnął o to geodetę. Raptem jakiś ciężar, który go przytłaczał zwałił się z niego. Stał się jakimś innym człowiekiem. Biegał teraz co dnia od Klimeczuka do Jaworskiego, od Rykudy do Ignaciuka i wypytywał, sprawdzał, utwierdzał się, że i inni to samo zrobili i wcale tego się nie wstydzą, a Duma, najmańdrzejszy we wsi, tak zawyrokował:

— Niech na roli gospodarują młodzi i ci, co lepiej gospodarować potrafią.

— Wiesz, Katarzyno — mówił któregoś dnia Jaśko do baby — pasiekę se założym, a wieczorami bede w drzewie figurki takie sobie dłużyć, a i grosz za to jaki wleci, bo tera trza żyć po inszemu.



Józef Opyrchal, Wesela na wsi, obraz olejny, Dziełwin, woj. krakowskie

Żadna reforma nie robi się sama. Potrzebni są mądrzy reformatorzy i ci, którzy będą realizowali nakreślone zadania. Pożądane są też społeczne inicjatywy i pomysły, ale takie, co wzbogacają a nie burzą. Tak, bo reforma ma tylko wtedy sens, kiedy niesie poprawę, rozwój, ulepszenie i doskonalenie a nie niweczenie tego, co jest dobre i pożyteczne. Myślę, że każdy, kto chce reformować, powinien najpierw rozważyć za i przeciw, oraz przewidzieć późniejsze skutki. Niestety nie każdy to potrafi. Dowiódł tego, i to dobitnie, Stanisław Babuchowski w swoim liście opublikowanym w „Tygodniku Kulturalnym” nr. 6 z dn. 8.02. 1987 r. Píše w nim m. in.: „W zasadzie niewiele się zmieniło, czego dowodem był VII Krajowy Zjazd Stowarzyszenia Twórców Ludowych i w dalszym ciągu nie zmieniony — mimo wielokrotnych monitów — statut STL”.

Stwierdzenie: „nie zmieniony, mimo wielokrotnych monitów”, pozostawione samo sobie, bez rozwinięcia i uzasadnienia może sugerować wiele, a w tym m. in. wsteczność, nieuzasadniony upór i nie liczenie się z zdaniem większości. Dlatego spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego statut nie został zmieniony oraz kto domagał się jego zmiany. Odpowiedzi w zasadzie są krótkie. Otóż statut nie został zmieniony dlatego, że twórcy ludowi uczestniczący w VII Krajowym Zjeździe nie widzieli takiej potrzeby. Pracująca przez cały czas trwania Zjazdu Komisja Statutowa w zasadzie nie miała wiele do działania, gdyż propozycji i uwag było niewiele. Upraszczejac, godnych odnotowania było zaledwie dwie. Jedna zmierzała do rozszerzenia członkostwa STL na zaniżające na wsi tradycyjne rzemiosła i przemysł ludowy, zaś druga dotyczyła sprecyzowania zapisu wyboru władz przez zjazdy oddziałów. Pierwsza z nich w głosowaniu zdecydowanie upadła, zaś co do drugiej uznano, że wymaga wprowadzenia, lecz po wcześniejszym sprawdzeniu czy nie zakradł się błąd w druku

statutu. Chcę w tym miejscu podkreślić, że decydowali o tym sami twórcy — członkowie rzeczywistości STL — kierując się ideą przewodnią Stowarzyszenia.

Nie dziwię się jednak panu Stanisławowi Babuchowskiemu, że wyraził publicznie swoje niezadowolenie i to chociażby z dwóch powodów. Po pierwsze; nie był na Zjeździe i nie zna dokładnie jego prze-

biegu, trzeba proponować zreformowanie. Chwytliwe i na czasie. Argumenty można zaczerpnąć z innych publikacji. Najlepiej z tych, gdzie prezentują swoje myśli wybitni działacze, pracownicy nauki. Ot, chociażby prof. dr Roman Reinfuss. Jego słowa: „Wszyscy twórcy ludowi muszą się pozbyć kompleksu niższości” pasują jak ulał. Wejście już jest. A dalej? A dalej

REFORMATORZY

biegu, po drugie; mimo że „monitowałam”, nie jest twórcą ludowym. A twórcy? Twórcy zdecydowali sami o swoich sprawach, nie licząc się z jego zdaniem. Przepraszam, ale żeby wszystko było jasne do końca, muszę powiedzieć jeszcze o jednej sprawie. Pan Babuchowski batalię o zmianę statutu rozpoczął jeszcze przed Zjazdem, ale nie o te zapisy, o których wspomniałem wyżej. Sprawa dotyczyła problemu, czy osoby nie będące członkami rzeczywistymi STL mogą wchodzić w skład władz Stowarzyszenia i na jakich zasadach. Pan Babuchowski uważa, że powinni wchodzić członkowie wspierający (statut w drodze wyjątku na to zezwala) i to bez stosowania jakichkolwiek ograniczeń. Dowiódł tego dobitnie na Zjeździe Oddziału Beskidzkiego, uzurpując sobie prawo do pełnienia funkcji sekretarza Oddziału. A kiedy mu nie akceptowano zgłoszonej przez siebie swojej kandydatury, wniósł sprawę do Sądu Koleżeńskiego. Była to jedyna sprawa, jaka w trakcie całej, poprzedniej kadencji wpłynęła do Sądu Koleżeńskiego. Wynik był niekorzystny dla pana Babuchowskiego, gdyż uznanie jego roszczeń byłoby sprzeczne ze statutem.

I to stało się podstawą do jego monitów o zmianę statutu. Bo jak to może być? Ja, to jestem ja, a twórcy, to są twórcy. Jak oni więc mogą mieć inne zdanie jak ja?

Przegrać bitwę, to jeszcze nie oznacza przegrać batalię. Więc pióro w ruch. Wiadomo, redakcje czasopism zamieszczają listy czytelników bez sprawdzania ich zasadności, więc trzeba pisać. Moda jest na re-

formatorzy, należy dopisać to, co się myśli, zrećnie wkładając swoje słowa w usta Profesora. Właśnie tak, jak to zrobił pan Babuchowski, cytuję za wspomnianym „Tygodnikiem Kulturalnym”: „A pierwszym krokiem powinno być zreformowanie Rady Naukowej, która jest „jaśnie panem” w stosunku do twórców ludowych”... itd. Mimo że nie są to już słowa Profesora, to nie przeszkadza powołać się na zamieszczenie ich np. w „Dzienniku Ludowym” Nr 9/87, zwłaszcza, że brzmi to dosyć wiarygodnie. Tylko że, Panie Babuchowski, niech pan przyjmie do wiadomości, że „Dziennik Ludowy” czytają nie tylko członkowie ZSL, ale również wielu członków STL, i nikt Panu nie uwierzy, kto zna prof. Reinfussa, jednego z czołowych inicjatorów powstania Stowarzyszenia Twórców Ludowych i od początku do dzisiaj przewodniczącego Rady Naukowej STL, człowieka o wysokiej kulturze osobistej, że zaczął on szkodzić a nie pomagać twórcom i Stowarzyszeniu oraz ubliżać publicznie innym i samemu sobie. Zbyt to tani chwyt, szanowny panie Stanisławie. Nie rozumiem żalu pana Babuchowskiego do Zarządu Głównego za nie spełnienie jego reformatorskich zapędów. Wszak tylko Krajowy Zjazd może dokonywać zmiany Statutu. Zarząd mógł też ingerować w orzecznictwo Sądu Koleżeńskiego, bo też przekroczyłby swoje kompetencje. Natomiast tego, co pisze p. Babuchowski, że „Zarząd Główny, mimo swych niewątpliwych dobrych chęci, pięknie i uniżenie się kłania werdyktom sekcji opiniujących, to czy danego kandydata przyjęć na członka rze-

czywistego, czy też nie" całkiem już pojąć nie mogą. Bo członkowie Zarządu kłaniają się i odnoszą się z dużą życzliwością do ludzi dobrych serc niosących pomoc Stowarzyszeniu. Nigdy nie kłaniali się czymś werdyktom. Czyżby autor listu chciał sugerować, żeby władze STL odstraszały ludzi, a nie jednoczyły i zapraszały do współpracy? A może chciał pokazać Zarząd Główny,

STL

jako ciało beznadziejnie słabe i bez swojego zdania. Jeżeli już tak, to muszę zmartwić pana Babuchowskiego, bo znane mi są przypadki podejmowania innych decyzji niż te, które sugerowała Rada Naukowa, a to, że ich było niewiele świadczy o wzajemnym zrozumieniu i dobrej współpracy. Wynika to również z faktu, że zarówno Zarząd Główny jak i Rada Naukowa stosują te same, wspólne wypracowane

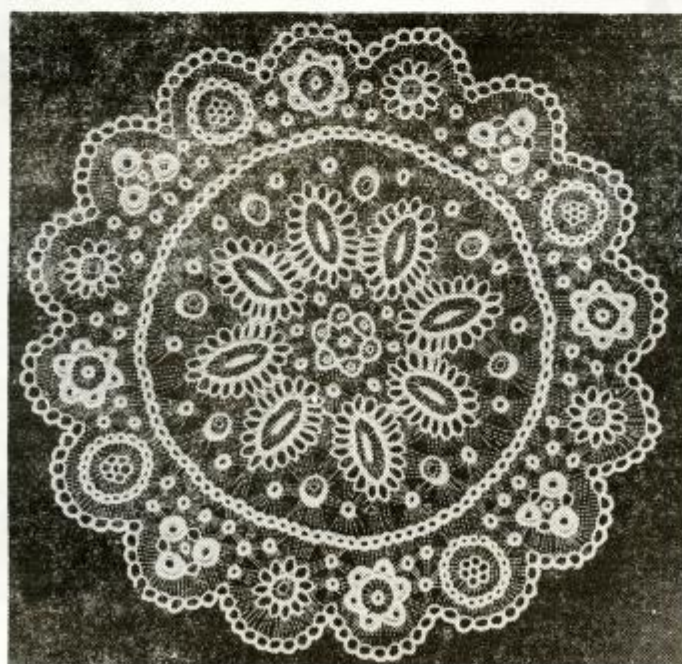
kryteria w sprawie przyjęć na członków rzeczywistych STL. Do stwierdzenia p. Babuchowskiego „jeżeli już (prawem kaduka) ma istnieć prześwietna Rada Naukowa, to może w jej składzie powinni znaleźć się twórcy ludowi, bo tylko oni mogą rzetelnie ocenić wartość i wkład pracy w pokazane dzieło” mam już tylko pytanie: Szanowny panie Stanisławie, czy uważa pan, że Rada Naukowa bez pracowników nauki, złożona tylko z twórców ludowych, najczęściej z podstawowym wykształceniem, byłaby Radą Naukową? Czy twórca ludowy np. z Żywca jest w stanie ocenić prace pod względem poziomu artystycznego i zgodności z tradycją regionalną np. twórcy z regionu Kociewia, Pałuk, czy Kaszub? I wreszcie kto niósłby pomoc w opracowaniach etnograficznych, prawnych, socjologicznych, ekonomicznych itp? Być może pan jest w stanie wszystko to uczynić...

W jednym wszakże muszę się z panem Babuchowskim zgodzić, że „trzeba wreszcie uregulować sprawę, o których pisze Lektor w „TK” Nr 51—52|86. „Tylko, że noszwa mi się w tym miejscu odbiegające trochę od meritum sprawy powiedzenie — nie wystarczy mieć słabość do kobiet, ale trzeba mieć siłę do

tej słabości. Ale do rzeczy. Nie są to sprawy zależne tylko od Stowarzyszenia, niezbędna jest pomoc, tej nie chcianej przez pana Babuchowskiego, Rady Naukowej w dostarczeniu niezbędnych opracowań i argumentów, a także zrozumienie kompetentnych władz. Na to wszystko potrzeba jednak trochę czasu i cierpliwości. Powinien być przy tym zachowany jeszcze jeden warunek — propozycje i wnioski muszą być sensowne, na pewno nie tego typu, jakie proponuje p. Babuchowski np. „rzetelnie określić punktację, wg której będą oceniane prace twórców”. Bo ktoś wtedy może zapytać — to ile proponujecie punktów np. od wagi pracy, o ile od jej wysokości i szerokości? A na jakiej wadze będziecie ważyć wyniki ludowe?

Przepraszam za ton, ale wydaje mi się, że nawet w okresie reform nie wolno nikomu psuć tego, co jest dobre i zniechęcać ludzi do społecznej pracy. Z pewnością jednak trzeba tąpić sobkostwo, nieuzasadnioną napastliwość i bzdurne propozycje, nawet jeżeli zgłoszone zostały w dobrej intencji.

KANY



Pelagia Pietrzak, Haft smutkowy, Golina, woj. kaliskie
Fot. Piotr MACIUK

Józef Chojnacki

Usnęła wioska

Usnęła wioska
a ja po parku chodzę
swojsko tutaj choć pusto
Księżyc jakiś zamglony
nie ma kto
przetrzeć go chustą

Idąc powoli i cicho
słyszę jak noc kwietniowa
na zawilcach kładzie rosę
I wiosny granie słyszę
tej co przez Polskę idzie
i tej co w sercu noszę

Dotykam pąków nabrzmiących
i nie smucę się
że tajemnicy życia
nigdy nie zgłębię
Cieszę się że chudną nocą
że coraz dłużej kolują
dni białe gołębie

Powroty

Śnią mi się łozinowe płoty
starych
gdzie w jasne dni
sypiały noce
żytnie kłosy prażone lipcem
pochylone nad ścieżką
jak nad moim losem

Śnią mi się
niepokoje matki
bom jak dąb młody
rósł
bardział
i coraz głośniejsz szumiął
Niosą okrutne noce
powiewy czasów
kiedym błądził
i szczęścia nazwać nie umiał.

Tyle za nami

Zonie

Coraz trudniej ważyć słowa
pisać wiersze
gdy lata
na mej twarzy
wyrzeźbiły swój krajobraz
gdy tak wiele
chciałoby się zapomnieć
Tyle za nami
Moja Droga
Ja poddałem się przemijaniu
tyle za nami
Ty warkoczem
przywołujesz młodość
Teraz
patrząc na Ciebie
odkrywam piękno
jesiennych kwiatów



Dziad



Chrystus Frasobliwy

Zdzisław Purchała, Rzeźby w drewnie, Kossów, woj. częstochowskie

DONAT NIEWIADOMSKI

Obrazy zgonu rolnego w literaturze ludowej

W autorskiej twórczości ludowej zaznacza wyraźnie swoją obecność zjawisko światopoglądowe, które właściwiej można określić jako jedność kulturową człowieka i materii wynika przy tym, jak twierdzi A. Aleksandrowicz, z przekroczenia praw paralelizmu; z przełamania znamiennego dla niego równorzędnego, lecz zewnętrznego zestawienia wyróżników rzeczywistości ludzkiej i przyrodniczej — na rzecz wzajemnego spokrewnienia tych wymiarów życia (*Świat poetycki ludowego twórcy*, wstęp do: J. Pocek *Poezje*, Lublin 1980, s. 43).

Pokrewieństwo człowieka i ziemi przyjmuje różne kształty literackie. Najczęściej widzimy obrazy: scalenia „krwiobiegu” przyrodniczego z krwiobiegami ludzkim, narodzin ludzkich z substancji ziemskiej oraz zgonu rolnego.

W tym szkicu interesuje nas wyłącznie ostatnia odmiana owej więzi, polegająca na pośmiertnym „wtopieniu” rolnika w materię. Wzorcowym literackim odcieniem tego typu jest przedstawienie ostatniego czynu Boryny. Gospodarz ten powtarza początkowo gest Boga tworzącego życie przy pomocy grudek ziemi wyobrażających ziarno, a później poprzez śmierć poniesioną w trakcie siewu scala się z bytem przyrodniczym. Osiąga w ten sposób życie wieczne.

Zbliżone myślowo i stylowo do opisu W. S. Reymonta są obrazy zgonu rolnego, występujące we współczesnej poezji ludowej. Rozpoczynają się one z reguły od ukazania ciągle wykonywanej pracy, będącej główną treścią życia chłopca i podstawą jego zasług doczesnych. W dalszym toku prezentują śmiertelne wcielenie człowieka poprzez orkę i siew w glebę, i kończą wielopostaciowo: odrodzieńczym powrotem gospodarza w kształcie roślinnym lub w wymiarze duchowym do bytu realnego, uwiecznieniem egzystencji chłopskiej w świadomości wiejskiej wspólnoty, oraz użyźniającym „roztopieniem” oracza jako próchnicy w roli.

Szczególnie sugestywną wizję odrodzieńczą zauważamy w lirykach St. Buczyńskiego. Poeta m. in. pisze:

Przejdźmy cisi, oracze i siewcy,
do onej chwili, co rzuca mrok cienia, (...)
zadzwońcie pługiem, zaszeleście ziarnem. (...)
aby z maleńkim ziarenkiem na dionię
raz jeden odejść, tysiąc razy wrócić
(*Tak! ręce swoje musim w skiby worać*)

(...) Bo ja (...)
chciałbym (...)
żytnim tym ziarnem małym
Chciałbym w te skiby zapaść. (...)
Bo chcę po śmierci choć echem wrócić
Do wsi i na te pola

(*Jak mi nie śpiewać*)

(...) Od siewu, od siewu chcę odejść
Z garścią pszenicy i żyta. (...)
Ach, gdyby makiem wyrosnąć
Na tej ostatniej skibie

(*Niewielu po mnie zapłacze*)

Zbliżone do przywołanych wypowiedzi są ponadto myśli wyrażone w utworze St. Buczyńskiego *Ziemió* i wierszu H. Nowobieleckiej *Mój owiesek*.

Sens tego rodzaju zgonu rolnego sprowadza się do nałożenia ograniczonego życia rolnika na nieograniczony rytm ziemi, w wyniku czego istnienie ludzkie upodabania się do istnienia roślin. Gospodarz znajduje się po śmierci w glebie i podlega tym samym co ona regułom, określonym kalendarzowymi cyklami ciągłych odnowień. Rozpatrywanie człowieka jako jednostki przyrodniczej, równorzędnej z roślinami, stanowiącej część żywiołu natury, umożliwia wcielenie jego ciała w skiby i ziarno. Następnie zaś sprzyja powrotowi do życia, niejako zmartwychwstaniu, w postaci rozmnożonego, zwielokrotnionego ziarna. Praca staje się w takim ujęciu nośnikiem zjednoczenia chłopca z otoczeniem, pozwala mu — mimo śmierci — na pozostanie w kręgu wiejskiej biorowości. Siłą odrodzieńczą nasyca gospodarza przede wszystkim życiodajna energia ziemi. Natura pomaga tu, jak spostrzeża R. Sulima, wyznawcom ludowej filozofii bytu „widzieć własną skończoność w perspektywie jej nieskończoności” (*Folklor i literatura*, W-wa 1976, s. 170).

Dążenie do uwiecznienia człowieka w pamięci potomnych okazuje się podstawową myślą wywodu poetyckiego, podjętych w ramach kolejnej wersji obrazu zgonu rolnego. Wiodące wyróżniki tego obrazu są zasadniczo podobne do przedstawionych wyżej koncepcji odrodzieńczych. Różnią się jednak brakiem członu ukazującego powrót zmarłego do życia. Poprzestają na wprowadzeniu oracza i siewcy w materię ziemską, która jako fundament bytu ma zapewnić mu nieprzemijające istnienie. W stosunku do koncepcji użyźniających odmienną ich wynikią natomiast z przyjęcia przez podmiot liryczny postawy na wskroś indywidualistycznej. Postępowanie jego skupia się bowiem wyłącznie wokół własnych pragnień. Odtrącone zostają działania na rzecz plenności gleby.

St. Buczyński wyznaje:

(...) Pójdę, jak uciał, resztę sił
zakłnę w te skiby wiosną,
bo aby trwać, bo abym był,
muszę w te skiby wrosnąć. (...)

(Zrodziłem ja się z twojej krwi)

Kłękam o świecie w polnych zagonach, (...)
Odpuść mi winy, ziemię najdroższą,
Za małym orał, za małym śpiewałem,
Przyjm moje serce w piaski Mazowsza,
Na sen późniwny. (...)

(Kłękam o świecie)

W. Kuchta wypowiada się:

(...) Jeśli żywot skończę,
Przyjm mnie matko moja.
W twoim łonie spocznę
Na wieki ... na wieki ...
Jak ta skiba czarna
Jak ten cień daleki.

(Jak cień daleki)

M. Karczmarczyk snuje rozważania:

Kroję cię, ziemi,
plugiem (...)
Skiba za skibą, (...)
zbliżamy się
do połączenia
w jedno ciało.
Wchłoniesz mnie
jak bibuła
atrament.
Pozostaną tylko
plamką
w notesie
czyjeś pamięci.

(Refleksja przy orce)

Takie same treści spotykamy także w innych wierszach St. Buczyńskiego: *Niewiele po mnie tu zostanie*, *Musimy zostać*, *Kiedym już plug*, *Twarzą do słońca i wsi* *To nie jest ziarno* i W. Kuchty: *Śpiew ziemi*.

Szczególny wariant obrazu zgonu rolnego dostrzegamy ponadto w zjawisku użyźniającego przenikanie człowieka do gleby w formie próchnicy. Najwyraźniejsze uzasadnienie dla tego zespolenia podaje St. Buczyński:

Chciałbym (...) siać
To co najlepsze we mnie. (...)
Pojąłem bowiem prawdy dwie, (...)
Ziemia próchnicy chce
Z przemian naszych kości. (...)
Próchnicę ziemi trzeba dać,
Serca żarnami zetrzeć.

(Chciałbym)

(...) Chcę zapaść w ziemię ziarnem na śpiew i urodzaj (...)

(Niewiele po mnie tu zostanie)

(...) Musimy zostać jedną z zaoranych skib,
Pod zasiew (...)

(Musimy zostać)

(...) Tak! ręce swoje muszę w skiby worać,
aby użyźnić one pola czarne, (...)

(Tak! ręce swoje muszę w skiby worać)

Powierzchniowa motywacja ujawnia się natomiast w wierszu H. Walińgóry *Chleb* oraz również w niektórych lirykach St. Buczyńskiego, np. *Kłękam o świecie*.

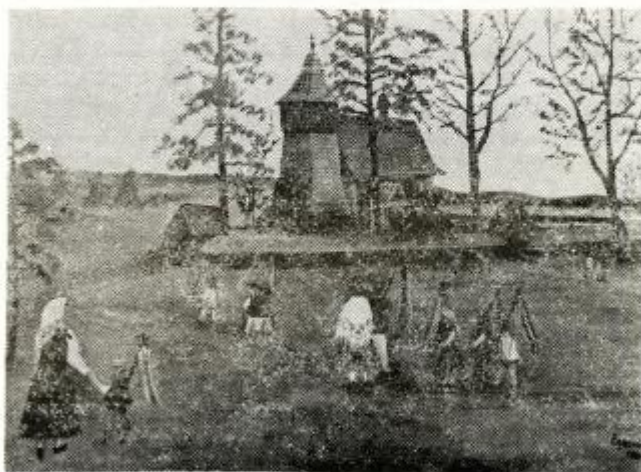
Podstawą ideową użyźniającego zgonu rolnego jest przeświadczenie właściwe wszelkiemu myśleniu porządkującemu (a więc i agrarnemu), zwracającemu uwagę na

fakt, że wzrost i dojrzewanie są istotą celowego działania przyrody, która realizuje przez to zadanie utrzymywania życia. Człowiek może brać w tym procesie udział, może przyczyniać się do wzmocnienia roślinności. Pod warunkiem, że sam zostanie częścią sfery rolnej. Zespolenie z ziemią prowadzi zatem do podporządkowania osobistego losu dobru wspólnoty chłopskiej. A dobrem tym jest urodzaj, zapewniający ludziom dostatek.

W zarysowanym toku myśli poetów ludowych przechodzenie chłopów do świata materii staje się także środkiem do osiągnięcia swoistej niezniszczalności. Gospodarz „roztapiając” się w roli wkracza po prostu w kolisty bieg roślinności, na której obszarze znajdują się przemienne: śmierć i narodziny. W związku z tym chłop, mimo materializacji, ulega nieśmiertelnieniu. W chwili zgonu oddaje siebie ziemi. Tworzy sobą cykl rolnego rozwoju: człowiek (życie) — jego prochy jako próchnica (życiodajna śmierć) — ziemia (życie). Wprowadza swoją postać w „krwiobieg” gleby i jej plodów. Wywodzi się z matki — ziemi i do niej wraca, z nią zrasta się na wieczne trwanie. W ten sposób wykształca się koncepcja życia w gruncie rzeczy niepokonanego, uwarunkowanego świadomością, że cykliczna przemienność form przyrody i losu ludzkiego wiedzie do pełnego istnienia. Śmierć w takiej optyce nabiera sensu, a idea powrotów neutralizuje prawa przemijania i skończoności.

W końcowej części tego szkicu warto się jeszcze zastanowić nad kulturową wartością poszczególnych członów, wchodzących w skład właściwego ludowej filozofii przyrody, trójstopniowego układu świata. W różnych objaśnieniach przyjmuje się najczęściej, że świat zbudowany jest z trzech wymiarów: nadziemnego, niebiańskiego (tzw. „góry”), ziemskiego (tzw. „środek”), oraz podziemnego (tzw. „dół”). Wokół „góry”, posiadającej nacechowanie dodatnie, skupiają się: jasność, słońce i Bóg. „Dół” zyskuje cechy bytu podziemnego: mrok, tajemniczość, niebezpieczeństwo. „Środek” pozostaje planem ludzkim.

W obrazach zgonu rolnego wartość sfery podziemnej zmienia się jednak z ujemnej na dodatnią. Dzięki strefie podziemnej staje się bowiem możliwe odtworzenie uśmierconego życia i uwznioślenie ograniczonego fizycznie istnienia ludzkiego; dzięki niej też doczasy i pośmiertny los człowieka ulegają usensownieniu.



Anna Łękańska, *Wielkanoc*, obraz olejny, Łąka Górna, woj. tarnowskie

„Z piekła Bartek“ i inni cudowni muzykanci na Kujawach

Wśród szeregu podań wierzeniowych realizujących treści półdemoniczne znajdują się także te, które opowiadają o cudownych muzykantach. Znani są przede wszystkim z Kujaw, a to dzięki zapisom znanego, wielkopolskiego folklorysty, Jerzego Szulczewskiego (1879—1969).

Ich niezwykle zdolności, talent muzyczny, daleko odbiegające od przeciętnej, sprawiły, iż obrośli oni swoistymi, wół magicznymi wartościami. Oczywiście zasadnym wydać się musi pytanie o ich miejsce w życiu ówczesnej społeczności, o dystans ludu do owych grajków. Wydaje się, iż dystansu takiego być nie mogło (a i współcześnie nie powinniśmy odnosić się do tych zjawisk z dystansem), bowiem świat magiczny, nadmysłowy, nadprzyrodzony (a w takich kategoriach pojmowani byli „cudowni muzykanci“) i świat obiektywnej rzeczywistości był tak samo realny, a wszelkie rozgraniczenia tych światów, to zabieg sztuczny, dokonywany niekiedy przez folklorystów, nie zawsze ze szczęśliwym powodzeniem. Tak oto bowiem prezentowała się dawna (bo z końca XIX wieku) artystyczna, prozatorska „twórczość ludowa“, pozbawiona jakichkolwiek „sęków“ i bezsensownych dywagacji. Powstawała jako reakcja na zjawiska, wydarzenia nadzwyczajne, nie mieszczące się w ramach codziennej rzeczywistości. A jak dalekie były to odstępstwa, niech dowiedzie poniższy materiał.

Scenerię, w jakiej pojawiali się i urzekali tonami swych instrumentów cudowni muzykanci, odtworzył wspomniany folklorysta w taki oto sposób: „zaledwie w wiejskim kościele skończyło się kazanie i umilkły organy towarzyszące kościelnej pieśni wnet na zewnątrz rozbrzmiewały tony skrzypiec i pomrukiwanie basów, które zapraszały opuszczających kościół, by przed powrotem do domów weszli jeszcze do niskiej, wyposażonej w niewiele sprzętów gospody i wzięli udział w rozpoczynających się tańcach. Chłop wkłada na lewe ucho swój kapelusz o szerokim rondzie i bierze swoją sąsiadkę, ciotkę, za ramię, ażeby z nią na odcipkę zatańczyć. (...) Obok potężnego komina, wysoko na górze, na stole siedział grajek ze skrzypcami, który poza Adwentem i Postem prowadził życie wędrownie i wszędzie tam, gdzie nadarzała się okazja, grał jak mógł najlepiej swoje ludowe tańce. Basista, który na zmianę szarpał raz górne, raz dolne struny swojego instrumentu i obcasem buta na podłodze wystukiwał takt, był z reguły laikiem i mniej wchodził w rachubę“.

Wśród niezliczonej ilości wędrownych muzykantów w pamięci ludu kujawskiego zapisali się szczególnie: „z piekła Bartek“, Berent, Bosłu i anonimowy skrzypek z Gocanowa. Wszyscy oni, w mniemaniu ludu, swą niezwykłą sztukę osiągnęli wskutek paktu z diabłem, a mówiąc dokładniej z diabłem grającym, który na Kujawach określany był mianem „ankluzza“. Mając takiego d'abla,

siedzącego na ogół w skrzypcach, muzyk pociągał jedynie smyczkiem po strunach, grał zaś za niego sam diabeł. Charakterystyczną cechą owych cudownych muzykantów było to, iż potrafili oni jednocześnie grać na kilku różnych zabawkach, a Berent, jak wówczas wnoszono, grał równocześnie w dziewięciu gospodach.

Najpopularniejszym z nich był jednak, urodzony w Kwieciszewie koło Strzelna, „z piekła Bartek“. Początkowo pracował jako parobek, gdy jednak znudziła mu się taka praca, poszedł do piekła i tam nauczył się grać. Często też chwalił się swoją czarodziejską mocą. Dlatego prawdopodobnie zwrócił się do niego pewien młody mężczyzna, który bardzo chciał się nauczyć grać na skrzypcach. Człowiek ten uprosił naszego grajka, by za jego pośrednictwem mógł dotrzeć do diabła. „Z piekła Bartek“ zgodził się. Wydarzenia, jakie potem nastąpiły, musiały wywołać spore ponuszenie, skoro obrośli w treści wierzeniowe i jako takie opowiadane były przez długi jeszcze czas. Mówiono, iż „z piekła Bartek“, „w dwa kolejne czwartki prowadził mężczyznę na miedzę. Tam stawiał garnek, na którym musiał usiąść ten mężczyzna. Wtedy ukazywał się diabeł i uczył go grać, tzn. diabeł grał, podczas gdy mężczyzna prowadził tylko smyczek. W niedługim czasie stał się bardzo poszukiwanym skrzypkiem. Później jednak żałował, że zapisał swoją duszę diabłu. Kilkakrotnie mu uciekał, ale ten zawsze go dościgał“.

O „z piekła Bartku“ opowiadano wiele przeróżnych historii, ceniąc przede wszystkim jego niezwykłą sztukę, za którą był zawsze sownie wynagradzany. Gdy jednak ktoś próbował się od zapłaty wykpić, wówczas potrafił dokuczyć. Opowiadano, że „pewnego razu „z piekła Bartek“ wszedł do gospody, w której wesolo się już bawiono. Była to sobota po wypłacie. „Z piekła Bartek“ grał, a robotnicy tańczyli. Jednak stopniowo jeden po drugim opuszczali gospodę i szli do domów. W końcu muzyk został sam. Teraz za swoją grę zażądał zapłaty, a ponieważ nie było już żadnego tancerza, zwrócił się do gospodarza. Ten jednak był bardzo skąpy i nic nie chciał dać. Wtedy „z piekła Bartek“ zdenerwował się, zapakował skrzypce, a na piec położył duży bas, po czym poszedł. Nagle na piecu ożywiło się. Bas zaczął mruczeć, wskutek czego gospodarz i jego żona ze strachu nie mogąc znaleźć drzwi, wyskoczyli przez okno, a za nimi dzieci. Spieszyli za „z piekła Bartkiem“ i na wszystko błagali go, ażeby jednak uspokoił bas. Dopiero wówczas, gdy dali mu jakąś zapłatę, poszedł z nimi z powrotem i nakazał basowi, ażeby się spokojnie zachowywał“.

Oczywiście najważniejszą rzeczą, jaką posiadał „z piekła Bartek“, były jego skrzypce, o których opowiadano, iż „były wykonane z maleńkich kawaleczków, a potem posmarowane klejem, tak że spojnie nie można było zobaczyć. Pewnego dnia przyszedł on do jakiejś

knajpy i zaczął grać. Grał bardzo pięknie. Jakiś nauczyciel, który był także w tej knajpie chciał zamienić skrzypce na swoje własne. „Z piekła Bartek” zadowolony był z tego. Zabrał zupełnie nowe skrzypce nauczyciela i poszedł swoją drogą. Gdy jednak nauczyciel wypróbował w domu te skrzypce, wydobył z nich tylko placzliwy ton, a stało się tak dlatego, ponieważ diabeł opuścił te skrzypce.”

Równie znanym co „z piekła Bartek” był na Kujawach końca XIX wieku niejaki Berent. O jego paktach z diabłem i konsekwencjach tego czynu opowiadano: „Pewnego dnia przyszedł do niego obcy mężczyzna i zapytał czy chciałby zostać muzykantem. Było to już awanturne jego życie i dlatego z radosnym sercem się zgodził. Musiał tylko kupić sobie skrzypce i o północy razem z owym mężczyzną pójść na skrzyżowanie dróg. Krótko przed nim nieznajomy zniknął, ale gdy tylko stanął na skrzyżowaniu dotoczył do niego czarno ubrany człowiek w czarnym i wysokim cylindrze, który jednak przypominał mu tego obcego. Wziął on skrzypce i nastroił je, a teraz Berent mógł grać co tylko chciał. Czarny mężczyzna zniknął nagle, tak samo jak przyszedł”.

Oczywiście po latach Berent zrozumiał, że popełnił błąd wchodząc w pakt z diabłem i usiłował pozbyć się diabelskich skrzypiec. Mógł to zrobić sprzedając je, ale tylko pod warunkiem, iż kupcowi opowie wszystko o drodze, jaką je otrzymał i o ich cudownej mocy. Niestety nie wiadomo, czy kiedykolwiek mu się to udało.

O muzyku z Gocanowa opowiadano, iż jego „ankluza” został mu zadany przez własną matkę, która była słynną na Kujawach czarownicą. „Pewnego razu zaprowadziła go do starej wierzy, gdzie mieszkał diabeł. Tam musiał zawrzeć z nim pakt. Jednak nie wolno mu było grać o północy, gdyż w przeciwnym wypadku zostałby przez diabła zabity”.

Muzyk z Gocanowa zawsze w kieszeni na piersi nosił głowę czarnego koguta. Zwykle przechowywał ją bardzo dobrze, tak że nikt nie mógł jej zobaczyć, ale gdy był podпиты, albo gdy akurat pięknie grał, wtedy często z kieszeni wylaniał się dziób owego koguta. „Pewnego razu zdarzyło się, że podczas grania obokoczyli go chłopcy ze wsi i zabrali mu kogucią głowę. Wyrzucili ją przez okno, ale wkrótce łeb ponownie wyglądał z jego kieszeni. Zapytany o to, odpowiedział, że bez niego nie może grać”.

Wirtuozeria muzyka z Gocanowa znana była niemal na całych Kujawach. Dlatego też często zapraszany był na różne weseliska. Kiedyś jednak w pewnej wsi pod Strzelnem w dwóch położonych naprzeciw siebie gościach odbywały się równocześnie dwa wesela. Na obu było wielu gości, lecz muzykanci byli różni, bowiem jeden z nich miał „ankluza”, a jego muzyka dlatego była tak przyjemna, że przywabiała wszystkich gości. Ale nie na tym koniec. Muzyk z Gocanowa, postanowił spłatać figla swojemu koledze, który również pochodził z tej samej wsi. Oto bowiem jego skrzypcem zabrał ton. W ten sposób stracił on wszystkich gości, gdyż nikt nie chciał słuchać tych blaszanych dźwięków. „Wówczas pełen wściekłości poszedł za stodołę i poprzysiągł, że zrezygnuje ze wszystkich świętości, jeżeli pomoże mu diabeł. Wtedy ponownie poszedł na swoje miejsce i chociaż sam nie bardzo wierzył swojemu przeznaczeniu, znowu wziął do ręki instrument. I popatrz, rozbrzmiały tony, które przypominały muzykę organową, a wszyscy goście, którzy poprzednio pospieszili przez ulicę, wrócili z powrotem, a pozostali do tego, tak że przez krótki czas, ten

tak brzdzo poważny muzyk nie miał ani jednego gościa. Poszedł sobie wówczas i zniknął na zawsze”.

Pewnego razu zaproszono muzyka z Gocanowa, by grał do tańca podczas dożynek. Brakowało mu jednak basisty i dlatego poszedł do Kruszwicy, by poszukać tam odpowiedniego człowieka. Udało mu się tam takiego znaleźć, który zgodził się zagrać za pół talara. „Na dożynkach obaj grali do późnej nocy. Potem poszli do domu. O północy dotarli do wsi Brucki. Tam przy drodze stał mężczyzna otulony w czarny płaszcz. Podobny był do księdza. Basisie podpadła ta postać i swojemu koledze zwrócił na to uwagę. Ten jednak nie powiedział ani słowa, zatarł ręce i poszedł dalej. Gdy przechodzili obok tego czarnego, ten nagle skoczył na drogę, rzucił się na skrzypka i deptał go nogami. Człowiek z Kruszwicy chciał mu pomóc, ale jego bas zrobił się taki ciężki, że nie mógł się ruszyć i dlatego musiał przyglądać się jak tego drugiego źle traktowano. Po chwili czarny zniknął. Długo muzyk z Gocanowa nie chciał powiedzieć ani słowa, ale w końcu odpowiedział na zapytanie basisty, że czarny był diabłem, z którym zawarł pakt. Przy tym zobowiązał się, że w podróży, około północy zawsze będzie grał. Jeżeli tego nie uczyni, wtedy diabeł źle się będzie z nim obchodził”.

O wszystkich cudownych kujawskich muzykantach opowiadano, iż mogą pośredniczyć między światem zwykłych ludzi, a mieszkańcami piekła, co znajdowało wyraz w wielu podaniach. Opowiadano między innymi o tym, jak to muzyk z Gocanowa „pomógł” swojemu koledze z Kruszwicy, trudniącemu się wynajmem furmanki. Ponieważ woźnica ów ledwo wiązał koniec z końcem, dlatego też muzyk z Gocanowa doradził mu, by zapisał swoją duszę diabłu. Woźnica przystał na to. „Obaj wzięli wódkę i o północy poszli na skrzyżowanie dróg między Karskiem a Chełmcami. Usiedli na skarpie rowu i czekali na wydarzenia, które miały nastąpić. Gdy zbliżyła się północ, nagle zajechała zaprzężona w cztery konie czarna bryczka. Spod podków skrzyły się skry, gdy tylko dotykały ziemi. Wóz zatrzymał się przed nimi i wysiadło z niego dwóch ubranych na czarno panów. Jeden z nich miał w ręku kawałek białego papieru. To był kontrakt, na którym miał być złożony podpis woźnicy krwią. Woźnica jednak w międzyczasie tak się wystraszył, że na łeb na szyję uciekł do domu. Muzyk biegł za nim, ale nocą nie mógł go ani przekonać, ani zawrócić. Udało mu się tego dokonać następnej nocy. Nakłuto serdeczny palec woźnicy i krwią podpisał kontrakt. Teraz jeden z tych panów dał mu bat, drugi zawiązał przy tym węzeł, po czym wszystko zniknęło. Gdy teraz woźnica ze swoimi końmi utknął w drodze, wtedy musiał tylko strzelić z bata, a wówczas konie otrzymywały tak wielką siłę, że z łatwością wyciągały wóz”.

Czwartym cudownym muzykantem, który zapisał się w zbiorowej pamięci ludu kujawskiego końca XIX wieku, był niejaki Bosiu. Pochodził z Wielkiego Sławka i jak wszyscy inni swoje niezwykle muzyczne zdolności zawdzięczał, jak sądził lud, paktowi z diabłem. Ponieważ był cenionym artystą, wędrował od wsi do wsi i wszędzie chlubił się swoją wspaniałą grą. Gdy jednak w końcu zrozumiał, że życie obok diabła nie było mu miłe, poszedł do kościoła w Markowicach i wypowiedział się. Od tego czasu rozgniewał się na niego diabeł, a wielu ludzi słyszało, jak często wołał za nim: „ruszaj do Markowic”!

Bosiu, podobnie jak wszyscy pozostali muzykanci, miał „ankluza”, a o jego skrzypcach opowiadano, że dziwnymi dźwiękami informowały go o tym, gdzie i kiedy zostanie zaproszony na wesele. Fakt ów znalazł od-

bicie w przekazie traktowanym prawdopodobnie w kategoriach prawdziwego wydarzenia. Opowiadano bowiem, że kiedyś był w jego mieszkaniu dobry przyjaciel. Skrzypce leżały, jak zwykle, w skrzyni. „Nagle ze skrzyni usłyszeli dźwięki skrzypiec. Wyglądalo, jakby ktoś szarpał za struny. Wtedy muzyk podszedł do skrzyni, zastukał w wieko i powiedział: „Czekaj, wkrótce będzie robota” i skrzypce się uspokoiły. Po chwili wszedł do mieszkania jakiś znajomy i zaprosił muzyka na wesele”.

Opowiadano o nim także, że skrzypce, na których wygrywał swoje kawałki, otrzymał od diabła. Były zupełnie czarne. Gdy Bosiu zbliżał się już do swojego końca, szybko sprzedał te skrzypce bratu, który w ten sposób stał się szeroko znanym i poszukiwanym grajkiem. Gdy jednak przyszedł czas śmierci, zamiast niego zmarł brat, ale za karę diabeł zesłał na niego chorobę, na którą chorował przez osiem lat”.

O cudownych kujawskich muzykantach możnaby jeszcze wiele powiedzieć, bowiem dysponujemy ku temu oibrymym materiałem źródłowym. Były to z pewnością postacie niezwykle, obdarzone nieprzeciętnym talentem, wnoszące swą obecnością wiele kolorytu w ówczesne życie. Stanowili część kultury duchowej ludu kujawskiego i w części stanowili o folklorze regionu. Dlatego też ten skrócony rys o ich miejscu w kulturze ludowej Kujaw miał przypomnieć o minionych czasach, kiedy to życie społeczne skupiało się niekiedy w izbach prządek, czy w karczmie, a wszędzie tam pojawiali się owi na wpół demoniczni muzykanci.

Przypisy

1. J.W. Szulczewski, *Wandernde Musiker*, (w.) tenże, *Allerhand fahrendes Volk in Kujawien*, Leszno 1906, s. 1–10; tenże, *Barteks Fahrt zur Holle. Ein kujawisches Marchen*, „Rogasener Familienblatt”, Rogoźno 31 maja 1903, R. VII, nr 4, s. 13–15.



Wiktor Chrzanowski, *Kazimierz Wielki — król chłopów*, obraz olejny, Toruń



Bronisław Bednarz, *Jan III Sobieski, płaskorzeźba w drewnie, Skrzypce, woj. nowosądeckie*

IRENA BUTKIEWICZ

Na mokrym płocie
siedzi wrona,
Deszcz po starganych
spływa skrzydłach,
Taka bezradna
i strapiłona,
Trochę podobna
do straszdyła.
I tak rozmyśla
stara wrona
— ciężko samotnie
spędzać życie...
— Żeby tak
poderwać gawrona...
— żyło by nam się
znakomicie!

Przyleciał gawron, siadł przy wronie
i skrzeczy, jak może najczulej,
lecz myśli — jaka ona mokra
— jak ja do niej się przytulę?

I tak siedzieli na tym płocie,
wiatr chłostał deszczem ptaki oba,
ale wiedzieli, że za chwilę
jedno drugiemu się spodoba!

„Sztuka poetycka” na cenzurowanym

/ Refleksje konsultanta literackiego /

Wnikliwa lektura tekstów, mniej lub bardziej utalentowanych autorów wywodzących się ze środowisk wiejskich a starających się o przyjęcie w poczet członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych, nasuwa przemyślenia różnej natury, zwłaszcza artystycznej. Dorobek literacki bardzo wielu bowiem kandydatów nie uzyskuje pozytywnej opinii Sekcji Literatury Ludowej Rady Naukowej STL. Próby oświetlenia przyczyn tego stanu rzeczy wiodą do zasygnalizowania określonych zjawisk wiążących się zarówno z samym procesem tworzenia, sytuacją nadawczo-odbiorczą oraz specyfiką słowa poetyckiego, determinującego logiczną wizję doświadczeń autorskich.

Do stwierdzeń oczywistych należy, iż nikt nie jest w stanie podać gotowej recepty na udany wiersz, wskazać tematy, które można by przedstawić w mowie wiązanej. Każdy utwór bowiem, to dzieło jednostkowego aktu twórczego, zapis chwili, choć nieraz „rodzić się” może w wielkich bólach, niejednokrotnie przeredagowany, a tym samym ciągle nabierający nowych znaczeń. Jako proces indywidualny, uzależniony jest od wielu czynników, m. in. predyspozycji psychicznych autora, jego ogólnej kultury literackiej, talentu itd. Nieraz wystarczy jakieś silniejsze wzruszenie, aby natłok piętrzących się myśli otrzymał realne kształty, kazał im zmaterializować się w słowie. Poezja bowiem, to sztuka słowa wymagająca dużej wyobraźni, wrażliwości.

Bardzo istotne jest czy autor posiada świadomość tworzenia wierszy, czy układania zwrotek — są to bowiem dyspozycje bardzo odmienne. Tekst poetycki rządzi się swoimi prawami i nie wystarczy określony pomysł „ubrać” w rymy, podzielić na wersy, nawet jeśli będą to treści bardzo ważne dla danego śro-

dowiska czy całego narodu, aby powstał wiersz wartościowy artystycznie. Swój ciężar gatunkowy ma każde wyrażenie, które się w nim znajduje, gdyż ono określone znaczenia komunikuje odbiorcy. Słowa te zatem nie mogą być ani przypadkowe, ani też nieobojętne jest ich porządek. Tekst poetycki przekazuje bowiem pewną myśl, ideę, poprzez specyficzne dla tego rodzaju literackiego środki wyrazu artystycznego. A zatem przemówi do czytelnika taki utwór, w którym wszystkie elementy jego struktury (a więc warstwa przedstawieniowa, stylistyczna, kompozycyjna i weryfikacyjna) będą ze sobą zgrane, będą tworzyły spójną całość.

Jak wynika z mojej wieloletniej praktyki recenzenckiej, część kandydatów na członków STL nie uświadamia sobie nierozzerwalnego związku treści i formy, faktu, iż ważna jest nie tylko idea, a więc to o czym się pisze, lecz i forma, a więc jak modeluje się swoje myśli, jaki nadaje się im kształt artystyczny. Niektórzy autorzy, prezentujący bardzo ograniczone często możliwości twórcze, w bogatej nieraz korespondencji starają się bronić swego piarstwa, przy czym przeważnie zajmują stanowisko nacechowane głębokim emocjonalizmem, rzadko zaś krytycyzmem wobec własnych dokonań. Twierdzą, iż poruszają w swych tekstach sprawy ważne, wiersze podobają się w ich środowisku, a nawet nobilituje je prasa lokalna czy ogólnopolska — stąd zdumienie i oburzenie autorów, gdy uzyskują one negatywną ocenę artystyczną.

Wiele z nich należy do kategorii tekstów nazywanych powszechnie okolicznościowymi. Mogą one mieć charakter laudacyjny, pochwalny (np. z okazji dnia nauczyciela, strażaka, dnia kobiet) czy

też interwencyjny (jeśli zaistniała określona sytuacja wymagająca takich postaw), mogą też przybierać odcień satyryczny. Ten typ utworów istotnie uzyskuje ogólną aprobatę środowiska z uwagi na bardzo dużą regularność rytmiczną („ładnie się rymuje”), schematyzację zachowań, konkretność sytuacji „nazywa „rzeczy po imieniu”) — trafia więc do wyobraźni nawet najbardziej niepewnego odbiorcy. Jak zatem przedstawia się w tym kontekście kwestia predyspozycji poetyckich? Spreparowanie sugestywnej rymowanki, a więc napisanie wiersza „na prędcę” — jak określiła rezolutnie jedna z autorek — nie zawsze zresztą w zgodzie z zasadami języka polskiego, leży w możliwościach niemalże każdego — trudniej jednak stworzyć w ten sposób utwór celny artystycznie, głęboki, przeżyty, dokonać może tego nie lada geniusz i wyłącznie w sprzyjających okolicznościach psychicznych (wszak poeta się bywa!). I tu tkwi jedna z zasadniczych różnic między poezją a grafomanią.

Oprócz tekstów „na okoliczność” spotyka się nierzadko wiersze wyraźnie pisane „na temat”; emocjonalnie i deklaratywnie przywołujące obrazy wsi, domu czy ogólnie polskiej ziemi; podejmujące motywy obiegowe, jak np. pory roku czy zjawiska atmosferyczne, realizowane w sposób stereotypowy: albo też wykorzystujące zabieg antropomorfizacji (nadania im cech ludzkich), który w folklorze słownym był jednym z przejawów pierwotnego światopoglądu przyrodniczego, natomiast współcześnie w wierszach poetów chłopskich służy zazwyczaj oddaniu zachwytu dla piękna przyrody, czasem poczucia jedności z nią — niekiedy autorzy sięgają tu dodatkowo po konwencję zdrobnień (np. motylek, wiaterek, rzeczka, pszczołki, ptaszek itp.), co tym bardziej infantylizuje ich twory. Zresztą tematy do napisania wiersza mogą być całkiem niepoetyczne, np. „pierzyna”, której zalety, okazuje się, można sławić z takim samym patosem, z jakim traktuje się np. dramatyczny problem współczesnej rzeczywistości wiejskiej — odchodzenie młodych do miast.

Rozważania o zabiegach stylistycznych, stosowanych przez początkujących poetów czy też autorów o dłuższym stażu twórczym, lecz bez wyraźnych osiągnięć artystycznych wiążą się z kluczowym zagadnieniem języka poetyckiego, specyficznego dla wypowiedzi lirycznych. I tu zauważa się zjawiska, które

wyraźnie wskazują czy w danej sytuacji mamy do czynienia ze świadomością tworzenia, czy też układania zwrotek. Jedną z kwestii zasadniczych jest nie zawsze uzmysłowiona sobie przez autorów różnica, jaka istnieje między stylem pisanim a mówionym wraz ze wszelkimi jej konsekwencjami. Nierzadko zdarzają się przykłady posługiwania się, nawet w utworze o dużym stopniu liryzmu, słownictwem potocznym, często niestaranym, nieraz też przetykanym wyrażeniami gwarowymi. Przeobrażenia kulturowe polskiej wsi i w sferze językowej dały znać o sobie przesadzając o postępującej deformacji gwary przez styl „gazetowy” (o różnicowanym natężeniu w poszczególnych środowiskach lokalnych). Czasami autorzy starają się ten potoczny język wzbogacić zbanalizowanymi porównaniami w rodzaju:

Hej, polska ziemio, hej od Karolina
dałaś nam ropę, niby ust dziewczyna...

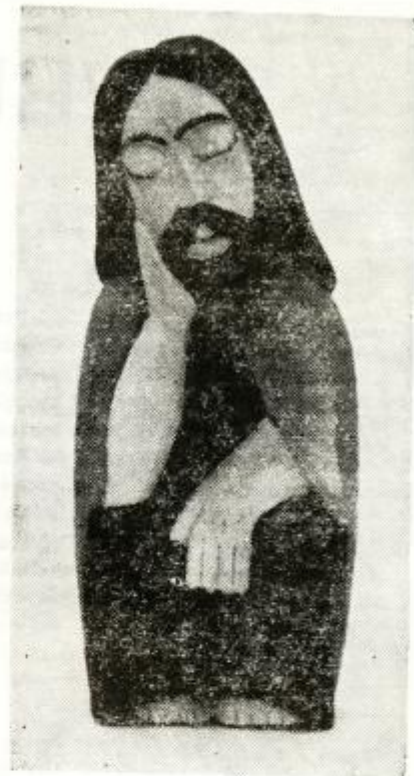
czy innymi: „piękny jak róży kwiat”, „stary jak świat”. Często też pojawiają się epitety wartościujące o bardzo niskim stopniu ekspresji, np. cudny, uroczy, prześliczny, najpiękniejszy, najmiłszy, bądź stereotypowe: „lustro rzeki”, „lustrzane jezioro”, lub też metafory utarte i skonwencjonalizowane, jak np. „kierat życia”. Dostyć powszechne są powtórzenia słów, myśli, wskazujące na ubóstwo językowe autora, czy niepoprawne sformułowania, jak „dzień się rozkwitł”, „niech nam kołody wejda do ucha”. Język utworu poetyckiego nie może więc imitować niestarannej mowy potocznej czy powszechnych odmian stylu publicystyczno-propagandowego (chyba że w funkcji wyraźnej stylizacyjnej) — rządzi się on własnymi prawami, których respektowanie obowiązuje wszystkich piszących niezależnie od przynależności terytorialnej, socjologicznej itp.

Szczególnie istotnym składnikiem języka poetyckiego (rozumianego bardzo szeroko) jest obrazowanie, a zatem artystycznie przetworzona rzeczywistość pojmowana jako zsubiektywizowany refleks świata realnego — w tym względzie autorzy napotykają na większe trudności, choć zdarzają się interesujące próby poszukiwania indywidualnych rozwiązań, m. in. poprzez tworzenie oryginalnych metafor, neologizmów, operowanie skrótem myślowym, wzbogacanie języka literackiego prowincjonalizmami. Źródłem licznych

uchybień stylistycznych w przedstawianych do oceny wierszach jest niewolnicze trzymanie się rymów (zjawisko dosyć powszechne), często gramatycznych, a więc uważanych za najłatwiejsze, utworzonych z wyrazów, których współbrzmienie wynika z identyczności końcówek gramatycznych, np. spotkałem — uściskałem, przeleciało — gadało. Uchybienia te są efektem dostosowywania słów, „aby się rymowały”, nawet jeśli nie zawsze logicznie wiążą się z myślą zawartą w danej strofie. Dążenie do rymów dokładnych przynosi niekiedy zniekształcenie wyrażen, gdy nie udaje się autorowi odnaleźć właściwszego sformułowania.

Co najmniej sygnalizacji wymaga również sprawa świadomego bądź nieświadomego plagiatu. Zdarzają się przypadki, że autorzy bez zeznady wtapiają we własne wiersze fragmenty znanych utworów czy to z klasyki polskiej, czy też pieśni ludowych, religijnych bądź patriotycznych. Czasem są to kryptocytaty, a więc mniej czy bardziej znaczne modyfikacje dające niemalże nowe warianty formułiczne tekstu kanonicznego, wzorcowego. Fragmenty takie mogą współistnieć z oryginalną wypowiedzią autorską, lecz tylko na zasadzie przytoczenia oznaczonego w cudzysłowach, przy czym jego istnienie w wierszu musi mieć logiczne uzasadnienie.

Nie bez znaczenia dla całościowej wizji utworu pozostaje koncepcja tytułu bądź świadomy, lecz częściej nieświadomy brak. Niektórzy autorzy problemu tytułu nie dostrzegają w ogóle — podobnie jak nie istniał on dla oralnej twórczości ludowej (incipit pieśni stanowił czynnik identyfikujący). Indywidualizacja i upodmiotowienie procesu artystycznej kreacji, jakie nastąpiło w twórczości chłopskiej, zadecydowało o konieczności respektowania reguł literatury pisanej. W tym kontekście tytuł nie może być dziełem przypadku — stanowi ważki znaczeniowo element utworu, integralny składnik, nierzadko słowo — klucz do właściwego jego odczytania, a więc sugeruje czytelnikowi określoną interpretację — autor ma tu niejako słowo pierwsze i ostatnie. Trudności w tym zakresie wynikają głównie ze zbyt słabej świadomości teoretycznoliterackiej, choć jest to zagadnienie skomplikowane, jak mimo swej pozornej prostoty skomplikowana, dyskusyjna i w dalszym ciągu nieostra jest formuła autorskiej twórczości ludowej i jej wartościowanie.



Marian Adamski, *Chrystus Frasobliwy*, Wola Gulowska, woj. siedleckie



Tadeusz Kacalak, *Aniołek*, rzeźba w drewnie, Kutno

TRYBUNA POETYCKA

Prezentujemy wiersze Polki zamieszkałej w bratniej Czechosłowacji, Marii Chraściny. Poetka interesowała się poezją od dawna, ale dopiero w ostatnich kilku latach zaczęła sama składać wiersze. Jest członkiem grupy literackiej działającej przy Domu Kultury Huty im. WSRP w Trzyńcu. W roku ubiegłym, w konkursie Sekcji Literacko-Artystycznej działającej przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji zdobyła trzecie miejsce.

Jak widać, potrzeba wyrażania siebie w słowie poetyckim jest wszędzie jednakowa i aktualna, niezależnie od tego jaki zawód i jaką pracę człowiek wykonuje.

Ciekawość

Szliśmy razem łąką zieloną,
pełne kwiaty i trawy
nisko nam się kłaniały
kolysane wiatrem,
pszczoły brzęczały dokoła
a słońce głaskało ziemię
złota promieniami.

Szliśmy razem,
we dwoje,
a syn mój zapytał:
Mamusiu powiedz mi,
co to słońce?
Słońce — to ogień.
słońce — to życie!

A trawa?
Co to jest trawa?
Trawa — to dywan wiosenny,
to kolor nadziei,
to młodość!

A kwiaty?
Dla kogo są te kwiaty,
czy dla mnie też?
Dla ciebie, synku,
te kwiaty kwitną na łące
i dla wszystkich dzieci
na świecie.

A morze, mamusiu?
A gwiazdy?
A tęcza?
Patrzyłam w rozigrane
gwiazdki
oczu mojego syna.
Zobaczyłam w nich
radość
i moją nadzieję.

Życzenie

Wszystkie wspomnienia o Tobie,
radości, smutki, nadzieje
skrzętnie zbieram
i jak perełki
na nitkę nawlekam.

Włóż je kiedyś,
choć raz,
moja córeczko,
na szyję ...

Swej ziemi

Śląsku,
skrawku ziemi nad Olzą
od Beskidów po Karwinę!
Dla obcych — zwyczajny,
dla mnie — najprostszyszy.
Śląsku,

ziemio bogata i płodna,
łzami używana,
tylkoć deptana
lecz zawsze zwycięska,
i moja!

Gdy luna spowije Beskidy w purpurę,
gdy kasztany nad Olzą zaszumią swojską pieśń,
to czuję
i wiem,
że tu jest me miejsce,
że moje serce
korzeniami wrosło
w tę ziemię...

recenzje

DONAT NIEWIADOMSKI

Czas tajemnic i nadziei

Ludowe praktyki kulturowe nie układają się równomiernie w poszczególnych porach. Ich intensywność jest w znacznym stopniu uzależniona od przemiennej rytmu słonecznego oraz od chrześcijańskiego roku liturgicznego. Chłopska świadomość kulturowa zwiększa się zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia. Przesilenie zimowe dnia z nocą traktowane jest z jednej strony w kategoriach czasu krytycznego, końca świata, wyczerpania płodnych sił przyrody. Z drugiej strony jednak Boże Narodzenie, jako punkt początkowy i zarazem zwrotny roku liturgicznego, sprzyja wszelkim formom połączenia. Umożliwia porozumienie bosko-ludzkie. Wzmaga „dialogowość” pomiędzy rzeczywistością człowieka a sferą metafizyczną.

Świecki wymiar prologu tego okresu sugestywnie charakteryzuje W. Klinger: „(...) wieczór Wigilijny — to wieczór osobliwy, radosny i straszny zarazem, to uroczysta godzina cudów (...) Zgodnie z wierzeniem sycylijskim, francuskim i ukraińskim otwiera się wtedy wnętrze ziemi i jasnym płomieniem gorzej ukryte w nim skarby. Zgodnie z wierzeniem (...) obejmującym Francję, Niemcy, Czechy, Polskę, Ukrainę, woda w źródłach, potokach i rzekach zmienia się na chwilę w wino, czasem w wino i miód, niekiedy nawet w płynne złoto. Inne podanie francuskie opowiada, że (...) srebrną gwiazdą rozkwita tajemniczy kwiat paproci, (...) Wśród Czechów i Łużyczan istnieje (...) wiara, że pod śniegiem nocy tej rozkwitają (...) kwiaty. Wśród Niemców zaś, Włochów, Polaków i Rosjan spotykamy podobne wierzenia, że drzewa owocowe zakwitają w sadach i te same nocy przynoszą owoce, przy tym Niemcy dodają, że kto stanie pod taką kwitnącą jabłonią, przed tego oczyma otwierają się niebiosy. Zgodnie z podaniem polskim ptaki rozmawiają wtedy ludzkim głosem, (...) to samo czyni bydło domowe, — woly albo krowy. Według wierzeń (...) we Francji, Niemczech i Holandii, zatopione dzwony (...) głucho skarżą się i jęczą. (...) martwe ka-

mienie, jak głoszą podania niemieckie i francuskie, wychodzą naówczas ze stanu bezwładu i obracają się dookoła swej osi. Słowem, tchnienie jakiegoś potężnego życia, jakiś dreszcz tajemniczy przebiega przez całą hierarchię przyrody od najniższych, nieorganicznych jej stopni do coraz to wyższych, — i wszystko się łączy i zlewa w zapamiętaniu mistycznym.” (*Obrzędowość ludowa Bożego Narodzenia*, Poznań 1926, s. 6—8.)

Boskość owej chwili ukazuje natomiast liryczna wypowiedź znanej poetki ludowej — K. Wiśniewskiej: „Daleko... Bardzo dawno (...) narodził się w stajence // wszechświata Król i Pan. // Na niebie wielka gwiazda // oznajmia ten cud, // by mógł mu pokłon oddać // całego świata lud. (...) wszyscy zgromadzeni // wzniesli radosny śpiew (...) pieśń niosła się szeroko // i w niebo aż do gwiazd. // I stała się kołędą, // wiódł ją po świecie czas // i przywiódł ją w nasz region // i została wśród nas (...)” — *U źródła kołedy*.

Z przywołanych przekazów: etnograficznego i poetyckiego, wyłania się swoisty obraz czasu pojednania. Obraz wieloaspektowy kulturowo i znaczeniowo, którego właściwości ciągle jeszcze budzą spory interpretacyjne, inspirowały myśl współczesnego człowieka.

Poważnym, i trzeba od razu podkreślić — wartościowym, dopełnieniem owego obrazu jest okazale prezentujący się tom *Kołodowanie na Lubelszczyźnie*. Dzieło to jest wynikiem zbiorowej pracy autorów pochodzących z szeroko rozumianego lubelskiego środowiska folklorystycznego. Zbiór ten posiada głównie charakter materiałowy, ale zawiera również znaczące wprowadzenia merytoryczne i komentarze. Materiały w nim zamieszczone zgromadzone w trakcie badań terenowych, realizowanych przeważnie w latach 1960—1982. Badania prowadziła pracownica Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Muzeum Wsi

Lubelskiej, Muzeum Okręgowego w Lublinie. Jak piszą w „Nocie edytorskiej” J. Bartmiński i W. Dębski „Intencją (...) było pokazanie całej różnorodności form obrzędowych i słownych składających się na repertuar bożonarodzeniowy regionu, od ustabilizowanych zachowań, poprzez widowiska łączące zachowania, sytuacje i pieśni, po kołedy i wiersze, niektóre już tylko indywidualne i znane wyłącznie w wersji językowej pisanej”, (s. 11).

Co zawiera edycja? Rozpoczyna ją zwięzły artykuł J. Bartmińskiego „Wszystko się zmieniło, jak nigdy nie było”, w którym autor przedstawia kulturowy fenomen „kołodowania”; pisze o jego tradycji i sensach. W dalszej części tomu spotykamy się z przekazami materiałowymi. J. Petera, zaczynając od Adwentu a kończąc na dniu Trzech Króli, ukazuje obrzędy i zwyczaje występujące na obszarze Lubelszczyzny. Centralne miejsce zajmuje opracowanie J. Bartmińskiego *Kołęda i jej odmiany gatunkowe*, składające się z kołed noworocznych (tzw. życzących, „dunajowych”), bożonarodzeniowych, oraz z tekstów dostosowanych do specyficznych okoliczności towarzyskich (parodie kołed). J. Bartmiński jest również autorem, przy współudziale J. Adamowskiego, opracowania „*Herody lubelskie — między misterium a kołędą życzącą*”. W tym przypadku zaprezentowane zostaje najpopularniejsze na terenie Lubelszczyzny widowisko bożonarodzeniowe, obrazujące uniwersalny pojedynek Zła z Dobrem oraz wykazujące się praktycznymi odniesieniami erotycznymi.

Bogaty zespół zwyczajów kołędniczych przedstawia J. Węclawik, który podaje dokumentację chodzenia z konikiem, dialogów bożonarodzeniowych, widowiska zwanego „Trzema Królami”, oraz przytacza popularne wówczas opowiadania i gadki. J. Adamowski ukazuje materiały związane z szopką bożonarodzeniową. Zamieszcza też lubelskie kołedy okupacyjne i sygnalizuje obecność rzadko spotykanego na Lubelszczyźnie zwyczaju, tzw. „Krajkowskiego wesela”.

J. Sierociuk i G. Zuraw opisują znany już w kulturze staropolskiej zwyczaj szczodrowania. Przeprowadzają rozróżnienie między szczodrakami a podłazami. Prezentują ludowy scenariusz chodzenia po szczodrakach i podają wygłaszane w tym czasie teksty. G. Zuraw jest ponadto autorką opracowania adoracji Bożego Dzieciątka.

Odmiennej charakter ma natomiast studium M. Lesiowa *Boże Narodzenie w wierszach lubelskich poetów ludowych*. Jego odrębność wynika ze specyfiki materiału, będącego przedmiotem zainteresowania badacza. Zapoznajemy się tutaj z kołedami istniejącymi w formie tekstów pisanych i posiadających swoich indywidualnych twórców.

Zamieszczona w tomie dokumentacja wywołuje wielorakie refleksje. Trudno w tym miejscu pisać o wszystkich z nich. Celowe wydaje się wszakże zwrócić uwagę na problemy wymagające, jak sądzę,

wnikliwego rozpatrzenia. Atrakcyjne poznawczo i wskazane merytorycznie powinno być zwłaszcza określanie znaczeń, a także funkcji, poszczególnych praktyk kulturowych i tekstów. Podjęcie tego zadania wprowadzą na teren ważnych zagadnień kulturowych. Trzeba bowiem ustalić: czy rytury bożonarodzeniowe mają wydźwięk biologiczny, pragmatyczny, wegetacyjny; czy posiadają odniesienia etyczne, związane z głębokimi pokładami wiary chrześcijańskiej; czy stają się już zachowaniami na polu zabawowym, towarzyskim. Na odczytanie zasługuje również frapująca, archaiczna symbolika niektórych pieśni. Przykładowo można wymienić, że bogatymi sensami wykazuje się znak złota (por. złoty piątek, złoty kielich). W sposobie powstawania zwyczajów też występują specyficzne zjawiska. Myślę tu, głównie w kontekście programowania tzw. adoracji Bożego Dzieciątka, o autentyczności pewnych symbolicznych praktyk ludowych.

Na kanwie rozważań M. Lesio-wa uporczywie narzuca się myśl, że dobrze byłoby podjąć się trudu opracowania współczesnej, ludowej liryki religijnej. Już na przykładzie koled autorskich widać, że jest to interesujący treściowo i artystycznie dział twórczości. Rozszerzenie oglądu badawczego poza Lubelszczyznę tylko w przypadku koled wskazuje chociażby na utwory W. Czubernatowej (zbiorek *Pastorałki krzesane*), A. Pacha, H. Nowobielskiej, J. Bachledy-Zarskiego, G. Książek, czy R. Bińczyka.

Na zakończenie, jeszcze kilka słów o wartości omawianego tomu. Ranga jego wynika naturalnie z cech zebranego materiału i rzetelnego sposobu jego przedstawienia. Zgromadzone zwyczaje, obrzędy i teksty tworzą pokazną dokumentację, poświadczającą funkcjonowanie fenomenu „koledowania” na Lubelszczyźnie. Zbiór ten okazuje się przydatny dla szczegółowych badań naukowych. Może być pomocny w pracach ogólnokulturowych i regionalnych. Większość materiałów może zostać poza tym wykorzystana przez różnego typu zespoły popularyzujące rodzimy folklor.

Warto również zauważyć, że lektura *Koledowania na Lubelszczyźnie* pozwala odczuć, tak znamienne dla kultury ludowej okresu Bożego Narodzenia, radość życia. A w związku z tym przypomina się metaforyczna wypowiedź S. Vincenza, zawarta w *Prawdzie starowieku*: „Koleda jest wesola, otwarta, beztraska i dlatego nazwano ją chrześcijańską. (...) smutek to pogaństwo (...) zaś chrześcijaństwo, to radość swobodna, to zyciliwość przyjazna”.

Koledowanie na Lubelszczyźnie, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 1986, ss. 397, il. 35 (tom wydany jako rocznik 25 „Literatury Ludowej”, za rok 1981, pod red. naukową J. Bartmińskiego i Cz. Hernasa).

ANTONI KRAWCZYK

Chłopski rodowód kultury narodowej

Zajmujący się od lat problematyką kultury ludowej Józef Burszta wzbogacił swoje rozważania książką: *Chłopskie źródła kultury*. Stanowi ona uzupełnienie wydanego przed dziesięciu laty dzieła: *Kultura ludowa — kultura narodowa*, (LSW, 1974).

Generalny problem zespalaający różnorodną i bogatą problematykę *Chłopskich źródeł kultury* sprowadza się do pytania: czy i w jakim zakresie kształtowana przez wieki kultura klasy chłopskiej wchodziła w proces nazywany kulturą narodową oraz, czy i w jakim stopniu elementy tej kultury chłopskiej, określanej jako ludowa, przejawiają się we współczesnej kulturze ogólnonarodowej (s. 5). Temu pytaniu została na ogół podporządkowana problematyka całych rozważań. Autor holduje oczywistej zasadzie, iż bez znajomości kultury chłopskiej trudne byłoby zrozumienie genezy i rozwoju kultury narodowej.

Książka obejmuje różnorodną problematykę poznawczą. Przy rozstrzygnięciu stawianych problemów, autor odwołuje się do kontekstów uznanych na gruncie teorii kultury jak i wyników badań uzyskanych przez badaczy różnych dyscyplin naukowych, zajmujących się kulturą. W ten sposób problemy teoretyczne znajdują weryfikację oraz ostateczne rozstrzygnięcie w wynikach osiągniętych przez takie nauki, jak: historia, etnografia, etnologia, antropologia, folklorystyka, lingwistyka, historia literatury, muzykologia, historia sztuki, itp.

W narracji Józefa Burszty zespalaają się dwie warstwy: warstwa nadrzędna wywodów teoretycznych z podporządkowaną jej warstwą dociekań faktograficznych na temat genezy i rozwoju kultury chłopskiej. Zakres chronologiczny rozważań obejmuje okres od czasów przedpiastowskich aż do czasów współczesnych. O ile rozważania teoretyczne odnoszą się do całego wspomnianego okresu, to wywody na temat rozwoju kultury chłopskiej nie zostały całkowicie zsynchronizowane z teoretycznymi rozważaniami. Kończą się one w zasadzie na wieku XIX, co wynika ze stanowiska autora, iż w tym okresie kultura chłopska doszła do szczytu swego rozwoju, nieznacznie tylko wzbogacając swój inwentarz, a nawet stopniowo go

redukując z uwagi na recypowanie elementów kultury ogólnonarodowej (s. 103—104).

Sądzę, iż na temat rozwoju kultury chłopskiej pod koniec XIX i w XX wieku można dyskutować. Co najmniej cztery wydarzenia w dziejach wsi polskiej wpłynęły na rozbudzenie aspiracji kulturalnych chłopów, a co za tym idzie, na zmianę stylu bycia i świadomości tej klasy. Wspomnieć należy przede wszystkim o reformie uwłaszczeniowej, w następstwie której chłopci stali się gospodarzami oraz o ugruntowaniu ich pozycji dzięki reformie rolnej. Dość istotnym czynnikiem wpływającym na zmianę kulturowych komponentów osobowości polskiego chłopca była alfabetyzacja, nie mówiąc już o ukończeniu przez młodsze pokolenie chłopów szkoły powszechnej. Wspomnieć trzeba także o zetknięciu się chłopów z innowacjami technicznymi, co wpłynęło na zmianę sposobu pracy. Wreszcie nie bez znaczenia jest fakt uzyskania przez Polskę niepodległości i kształtowania się postaw patriotycznych wśród chłopów, co wywarło wpływ na charakter kultury politycznej tej klasy. Te fakty wpłynęły na pojawienie się w kulturze chłopskiej nowych, ważnych wartości. Można do nich zaliczyć: pracowitość, racjonalne wykorzystanie czasu, ekonomiczną kalkulację, miłość ojczyzny, pęd do wiedzy, dążenie do innowacji oraz dumę z własnych osiągnięć. Wprawdzie niektóre z wymienionych wartości zostały przyjęte od innych kultur, to jednak obecnie w kulturze chłopskiej odgrywają dość istotną rolę.

Zarówno rozważania teoretyczne jak i historyczne ukazują czytelnikowi proces kształtowania się kultury chłopskiej w kontekście istniejących obok niej, innych kultur. Autor eksponuje fakt, iż w początkowym okresie państwowości polskiej na terenach etnicznych kształtowały się niewiele różniące się od siebie kultury plemienne, nacechowane podobieństwem językowym i przede wszystkim podobieństwem myślenia symbolicznego. (s. 23). Pod wpływem przyjęcia chrześcijaństwa i kształtowania się stosunków feudalnych na obszarze Polski zaczęły się kształtować różne kultury: rycersko-szlachecka, mieszczańska oraz chłopska. Tak więc zderzenie się

kultury słowiańsko-plemiennej z wyższą kulturą chrześcijańską doprowadziło do wyodrębnienia się z jednej kultury wyżej wymienionych kultur. Wtedy kultura rycersko-szlachecka, zaczęła recypować idee chrześcijańskie jak i zasymilowane przez chrześcijaństwo pierwiastki antyczne. Mając powiązania z zachodnią kulturą, kultura ta stawała się w Polsce kulturą wyższą. Obok niej rozwijała się w Polsce kultura chłopstwa mająca wiele pierwiastków pogańskich, które z upływem czasu, w miarę ugruntuowania się wierzeń chrześcijańskich, będą ulegały redukcji.

Autor ukazuje, że już w początkowym okresie swojego rozwoju kultura rycersko-szlachecka osiągnęła wyższy poziom od kultury chłopskiej, zarówno w sferze materialnej, jak i duchowej. Świadectwem tego są grody, zamki, kościoły, klasztory, dwory i folwarki, kancelarie książęce, biskupie, kapituły z ich bibliotekami, kancelistami, administratorami kapituł, diecezji oraz zinstytucjonalizowany system oświatowy. Zetknięcie się kultury rycersko-szlacheckiej z zachodnią przyczyniło się do czerpania przez nią impulsów służących dalszemu jej rozwojowi. Zaczęła się kształtować kultura polityczna rycerstwa, a następnie szlachty. Przedstawiciele tego stanu angażując się w sprawy polityczne przyswajali sobie zasady historycznego myślenia oraz myślenia w kategoriach prawa — co było obce kulturze chłopskiej.

Burszta wskazuje, iż wyznacznikami kultury chłopskiej były inne części składowe. W sferze materialnej można wyróżnić charakter zabudowy zagrody, układ zabudowy wsi, wyposażenie wnętrza domu mieszkalnego, zestaw narzędzi, sposób produkcji oraz ubiór. Co się tyczy kultury duchowej, to najważniejszym jej elementem było operowanie mitami kosmologicznymi oraz świadomość magiczna. Z tym związany był kult sił przyrody, który wpłynął na wytworzenie się różnego typu rytuałów. Kultura chłopska różniła się od szlacheckiej innym pojmowaniem czasu. O ile w kulturze rycersko-szlacheckiej czas pojmowano linearnie i historycznie, to w kulturze chłopskiej miał on charakter cykliczny i sprowadzał się — co jest cechą charakterystyczną kultur przedpiśmiennych — do ekspozycji powtarzalności zjawisk.

Przy okazji rozpatrywania tego problemu cenne jest spostrzeżenie autora, iż symbioza kultury chłopskiej z innymi kulturami spowodowała recypowanie przez nie od tej kultury pewnych elementów wywodzących swój rodowód z mitologii kosmologicznej. W tym fakcie Burszta widzi główny wkład kultury chłopskiej do kultury narodowej. Pozwała to autorowi na wysnucie wniosku o korzeniach kultury narodowej tkwiących w kulturze chłopskiej (s. 66).

Godne są również podkreślenia rozważania Burszty dotyczące genezy katolicyzmu ludowego. Autor wywodzi powstanie tego typu religijności z faktu zetknięcia się poglądów kosmologicznych społeczeństwa wiejskiego z ideami chrześcijański-

mi. Działalność chrystianizacyjna Kościoła spowodowała, iż poglądy ludności wiejskiej związane z kultem sił przyrody, zostały dostosowane do celów nowej religii, a ich pogańskie treści zneutralizowane poprzez osadzenie w formach kalendarza religijnego.

Odrębny i bardzo istotny problem w rozważaniach Burszty stanowi zagadnienie teoretycznego widzenia kultury ludowej w różnych epokach historycznych. Autor wskazuje, iż dopiero w epoce Oświecenia, zarówno w Europie jak i Polsce, zwrócono uwagę na odrębność kultury ludowej.

Burszta eksponuje różne widzenie kultury ludowej w różnych epokach historycznych. Zauważa, iż dopiero romantyzm ukształtował w pełni rozwinięte teorie poświęcone kulturze chłopskiej. Dowodzi tego fakt, iż w założeniach teoretyków kultury ludowej polskiego romantyzmu, jedynie kultura chłopska była kulturą słowiańską, rodzimą i polską, oryginalną, bo nie skażoną wpływami zewnętrznymi, zarówno chrześcijańskimi, jak i szlacheckimi.

Autor podkreśla, iż przeciwstawiając kulturę chłopską szlacheckiej romantyczne teorie kultury chłopskiej holdowały takim mitom jak: „kolorowe” widzenie wsi, i „święte” widzenie chłopca, ekspozycja ludowości oraz mitu raławickiego, co miało stworzyć ideologiczną podbudowę dla koncepcji wyzwolenia Polski z jarzma zaborców — przez chłopów. Równocześnie Burszta uwytknęła fakt, iż romantyczne widzenie kultury ludowej wprowadziło jej motywy do literatury pięknej, muzyki i plastyki. W tych dyscyplinach, a także stroju, zaznaczyło się mocne oddziaływanie folklorystyczne.

Romantycznej koncepcji kultury ludowej autor przeciwstawia pozytywistyczną. Różnica polega na tym, iż o ile według pierwszej koncepcji kultura ludowa była archetypem dla kultury narodowej, to według koncepcji pozytywistycznej niemożliwe było przejście od kultury ludowej do narodowej.

Pocześnie miejsce w rozważaniach autora zajmuje problematyka kultury ludowej w okresie młodopolskim. Nobilitacja tej kultury sprawiła, iż stała się ona źródłem inspiracji dla elitarnej twórczości literackiej, muzycznej, malarskiej, architektonicznej, czy sprzętarskiej. W ten sposób kultura ludowa stała się trwałą wartością nowożytnego kultury polskiej. (s. 221). Zainteresowania kulturą ludową spowodowały, iż dla jej ochrony zaczęto organizować muzea oraz szkoły zawodowe z zakresu twórczości ludowej.

Sledząc okres międzywojenny autor ukazuje bujny rozwój regionalizmu, wkład ruchu ludowego — a zwłaszcza młodowiejskiego w dzieło ekspozycji walorów kultury chłopskiej i uwytkniania jej ogólnoludzkich wartości, na których miano budować społeczeństwo przyszłej Polski. Omawia też oryginalną koncepcję teatru ludowego Jędrzeja Cierniaka.

W odniesieniu do okresu Polski Ludowej autor podkreśla nową sytuację sprzyjającą rozwojowi kul-

tury ludowej, uzasadniając to między innymi powstawaniem licznych pism ludowych oraz uniwersytetów ludowych. Ukazuje zagrożenia dla rozwoju kultury ludowej w okresie bédów i wypaczeń oraz sprzyjające warunki, jakie powstały pod wpływem sytuacji politycznej po roku 1956. Wyrazem tego jest rozwinięcie na szeroką skalę zinstytucjonalizowanej dokumentacji kultury ludowej prowadzonej przez muzea regionalne, placówki etnograficzne, uniwersyteckie i PAN-owskie, jak i licznych regionalistów, wśród których największą rolę odegrał Franciszek Kotula. Wtedy powstały liczne stowarzyszenia lokalne i regionalne. Znaczącą rolę przypisuje autor Stowarzyszeniu Twórców Ludowych z siedzibą w Lublinie.

Autor ukazuje nowe zjawisko na gruncie kultury ludowej, nazywane folklorem wtórnym. Jest on tworzony dla celów widowiskowych. Polega na przenoszeniu form folklorystycznych na pewne sytuacje zaczerpnięte z życia bieżącego. (s. 299). Burszta podkreśla znaczenie festiwali dla organizowania folklorystyki, a także działalność pewnych zespołów zawodowych, czy kabaretów chłopskich.

Oceniając recenzowaną pracę należy przede wszystkim podkreślić jej walory poznawcze. Badacze problemu oraz czytelnicy otrzymali teoretyczne podsumowanie dotychczasowych poglądów na istotę kultury ludowej, wypracowanych przez badaczy różnych dyscyplin zajmujących się problematyką kulturalną. Książka zawiera dość obszerną bibliografię, choć można było uwzględnić jeszcze niektóre pozycje z zakresu historii, np. prace dotyczące dziejów ruchu ludowego, opracowania poświęcone przemianom świadomości społecznej, np. Jerzego Szackiego: *Ojczyzna naród rewolucja*, czy Janusza Żarnowskiego. Dla zagadnień problematyki kultury w początkowym okresie Polski Ludowej dość znaczącą rolę odgrywają rozważania Tomasza Szaroty zawarte w dziele: *Polska Ludowa 1944—1950*.

W książce za mało jest rozważań eksponujących utrwalone w kulturze chłopskiej wartości, nazywane etosem chłopskim. Swego czasu nosił się z zamiarem napisania na ten temat rozprawy Roch Sulima. Nie został także poruszony problem zagrożeń, jakie może napotkać kultura ludowa z powodu zetknięcia się z kulturą masową, jak też recypowania w środowisku wiejskim nie zawsze najlepszych wzorców zachodnich. Studiowanie dzieła utrudnia brak indeksu rzeczowego.

Te uwagi krytyczne w niczym nie podważają walorów znakomitego dzieła podsumowującego dotychczasowe badania nad kulturą ludową w Polsce.

O „Godach zamojskich“

Pod koniec ubiegłego roku ukazały się, wydane przez Muzeum Okręgowe w Zamościu, materiały pt. *Gody zamojskie*¹. Są one próbą pokazania wybranych zwyczajów i obrzędów bożonarodzeniowych praktykowanych na Zamojszczyźnie, a zebranych przez Martę Brzuszkowską w latach 1985 — 1986.

W opracowaniu wyodrębniają się trzy zasadnicze części. Część pierwsza dotyczy głównie przepowiedni (pogody, piónów, powodzenia bądź niepowodzenia w hodowli zwierząt itp.), wróżb (o życiu i zdrowiu, ożenku i zamążpójściu), a także i wierzeń o przygotowaniach i zachowaniach w czasie wieczery wigilijnej i pozostałych dni świątecznych aż po dzień św. Szczepana.

Część druga wydawnictwa poświęcona jest obrzędowi kołędowania, czyli zwyczajowego składania życzeń przez kołędujących pod adresem domowników, za które otrzymywali od nich dary. Gospodarzowi życzone obfitości piónów i pomnożenie dobytku, a pannie lub kawalerowi szczęśliwej, wzajemnej miłości oraz szybkiego zamążpójścia (ożenku). Obrzęd kołędowania praktykowano w czasie od św. Szczepana do Trzech Króli.

Z kolei, część trzecia — to prezentacja herodów z Podborcza, widowiska obrzędowego przedstawiającego biblijne sceny z narodzin Dzieciątka.

W opracowaniu przytaczane są zwyczaje i obrzędy wraz z dokładnymi metryczkami dotyczącymi miejscowości, z których pochodzą. W przypadku kołęd, autorka podaje dane charakteryzujące wykonawcę: imię, nazwisko, rok urodzenia, miejsce zamieszkania. Interesujące dla czytelnika byłoby również podanie ich miejsca urodzenia, jako że teksty ludowe mają charakter „wędrowny”.

Podstawowe zwyczaje i obrzędy są również przez autorkę opatrzone komentarzem dotyczącym rozumienia i struktury tekstu np. symboliki aktów i przedmiotów kulturowych (choinka, jako drzewo życia, dwanaście potraw — dwunastu apostołów itp.), etymologii (kutia z greckokos' ziarno), czy też podstawowych znaczeń niektórych dawnych i zapomnianych słów takich, jak: knyczyce, podpiomyki, stępa, sokówka itp.

Aby lepiej zaprezentować obrzęd kołędowania, obok zapisów tekstów podano zapisy melodii. Niektóre do-

kumentacje kołęd wydają się jednak niepełne, chociażby w przypadku utworu o incipicie „*Na nowym dworku, na pagórku, lelaja*”, gdzie jakby brakowało środkowej części tekstu, dotyczącego stereotypowej formuły, w której wymienia się elementy stroju chłopaka. Podobna sytuacja ma miejsce w jednozwrotkowej kołędzie *Już my ci, Jasieńku, zakolędowali*. Jest to w zasadzie typowe zakończenie tekstu pełnego, gdzie następuje darowanie chłopakowi dziewczyny, najważniejszy moment tego rodzaju kołedy. Ciekawe czy nie zachowały się one w całości w pamięci informatorów, czy też pewne fragmenty tekstu zostały przez autorkę opracowania świadomie pominięte?

Całość wydawnictwa, niezwykle spójna, ukazująca zarówno elementy o chrześcijańskiej, jak i pogańskiej proveniencji, jest próbą odtworzenia tego, co było dawniej praktykowane na Zamojszczyźnie, a dzisiaj najczęściej zostało już tylko jako przeżytek, tego, co było „podane uporządkowaniu nastawionemu na odnowienie, przeżycie, intensyfikację sensu życia zarówno w jego wymiarze osobistym, jak społecznym i kosmicznym”².

1 „*Gody zamojskie. Wiejskie zwyczaje i obrzędy zimowe*”. Zebrała i opracowała Marta Brzuszkowska. Transkrypcja melodii Józef Przytuła. Zamość 1986.

2 Jerzy Bartmiński, „*Wszystko się zmieniło, jak nigdy nie było*”. Kołędowanie na Lubelszczyźnie. Wrocław 1986, s. 5.



Leon Mazurewicz, *Św. Wojciech*, płaskorzeźba w drewnie, Susz, woj. elbląskie

Znany, ceniony, popularny w kraju i za granicą Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, w styczniu i w lutym 1987 r. koncertował w Stanach Zjednoczonych.

Zaproszenie oraz bardzo interesującą trasę Zespół otrzymał za pośrednictwem działającej na kulturalnym rynku amerykańskim agencji artystycznej „Polan Entertainment”, utworzonej przez polskie i polonijne biura podróży. Prezesem agencji jest wyjątkowa pod każdym względem, zaangażowana, opiekuńcza, bezpośrednia, pełna osobistego uroku pani Zofia Sklepiński, właścicielka biura podróży Polonez Travel Agency z New Britain (współ z mężem Tadeuszem). Dzięki jej ruchliwości, operatywności a przede wszystkim rozumieniu potrzeby

wanych przez Zespół, porównanie to wychodzi zdecydowanie na korzyść Polski. Są one bowiem czymś nowym, innym i zaskakującym w tym obszarze kulturowym. W wielu rozmowach po koncertach słyszałem pochwały za układ programu szeroko prezentujący różne regiony Polski, żywiołowość i precyzję wykonawców tak daleko wyspecjalizowaną, że był to nie tylko koncert ale jednocześnie wspólna zabawa, jedno wspólne przeżycie. Dyrektor, kierownik artystyczny i choreograf Zespołu w jednej osobie, Ignacy Wachowiak znając wartość polskiego folkloru dobrze wiedział czym ująć publiczność, czym ją wzruszyć, skłonić do refleksji, jak przybliżyć jej Polskę. Były w programie najbardziej charakterystyczne przyspiewki, melodie i tańce lubelskie (oberek, cygan, walczyk lubelski, mach) piękny mazur, wybrane melodie i przyspiewki rzeszowskie (polka z kropką, polka przez nogę, polka uginana, polka przeworska, polka dzwon i obchód), tańce i melodie regionu opoczyńskiego (piaszy, tramblanka, obertas, oberek w cztery strony i polki).

Podczas każdego koncertu olbrzymim aplauzem przyjmowano tańce narodowe — polonez „Pożegnanie Ojczyzny”, mazur z opery „Straszny dwór”, kujawiak i oberek oraz wiązanek dawnych piosenek żołnierskich, powstałych w kraju jak i za granicą, mówiących o polskim uznie, żołnierzu, powstańcu czy partyzancie — który

EDWARD BALAWAJDER

Z polskim folklorem po Stanach Zjednoczonych

kontakty ze sztuką, Zespół przeżył niezapomniane chwile z polonijną i amerykańską publicznością, spotkał się z działającymi tam zespołami folklorystycznymi, działaczami polonijnymi. Było również wiele czasu na wyieczki, muzea, kontakty osobiste.

Widownia amerykańska, głównie polonijna, bardzo życzliwie, ciepło przyjęła prezentowany przez Zespół program. Piękna muzyka, tańce narodowe i ludowe, pełne dynamizmu a jednocześnie liryki, bogate kostiumy, uroda i kunszt wykonawczy powodowały aplauz widowni wręcz owacje (na stojąco). Bardzo często także wyciskały łzy wzruszenia. Dla wielu widzów był to bardzo często pierwszy kontakt z polską kulturą, dla innych rzewne wspomnienia z młodości spędzonej w Polsce, dla sporej grupy zaś konfrontacja ze wspomnieniami dziadków i rodziców. Widzami i słuchaczami koncertów była bowiem Polonia wielu generacji zachowująca świadomość polskiego pochodzenia, przejawiająca zainteresowanie polską kulturą, wykazująca zrozumienie dla polskich interesów narodowych. Uczestnicząc w dwu kulturach: narodu, z którym obecnie się utożsamia, oraz kraju pochodzenia ma ona możliwość porównania i oceny odmiennych systemów wartości, postaw, obyczajów itp. Tak ocenia tę sprawę Towarzystwo Polonia, takie są również moje odczucia z autopsji.

W odniesieniu do wartości artystycznych, prezento-

walczył za ojczyznę, gdziekolwiek rzuciły go losy. Jeśli były jakiegokolwiek wątpliwości, zabamowania, ostrożność a nawet powątpienia publiczności w stosunku do Zespołu, jako reprezentanta Polski, wszystko w tym momencie mijało. Przerwa między pierwszą a drugą częścią stawała się pasmem niekończących się rozmów, pytań, dyskusji, pochwał. Byliśmy wtedy wszyscy razem, łączyły nas języki, stawaliśmy się nawzajem bliscy sobie i swoi. To trzeba przeżyć, by zrozumieć, jak wielką siłę ma sztuka, by pojąć, że w jej obszarze nie ma różnic politycznych, ideologicznych, że liczy się tylko piękno. Byliśmy zaskoczeni, jak oszczędni, ceniący pieniądze ludzie kupowali płyty, kasety z nagraniami Zespołu, czy inne pamiątki z Polski. Impresario bowiem i o tym pomyślał. Odniosłem wrażenie, że taki efekt, taką postawę może dawać przede wszystkim polski folklor, polska sztuka ludowa, w których polonia widzi przede wszystkim pierwiastek czysto narodowy.

Bardzo charakterystyczna była atmosfera sali przed rozpoczęciem drugiej części koncertu. Wyczuwało się niepewność czy można jeszcze coś równie pięknego pokazać. Pierwsze takty muzyki i pierwsze kroki tańca natychmiast rozładowały tę atmosferę. Widownię urzekały tańce i melodie nowosądeckie; suwanego, polkę z nogi, wesołą polkę, Krakowiaki nowosądeckie tańczono i śpiewano wśród braw. Podobny był odbiór tań-

ców regionu wielkopolskiego- mieszczan żywieckich i kupiowszczyzny.

Na finał przygotowano inscenizowaną pieśń z regionu krakowskiego — „Wesele krakowskie” i polski taniec narodowy — krakowiak. Tu widownia najczęściej i najenergiczniej reagowała. Warto wspomnieć znakomitą kapelę Zespołu kierowaną przez Henryka Kukawskiego, dającą popis solowy w ludowych melodiach lubelskich oraz solistkę, Maję Wałiniak, ulubienicę publiczności, oklaskiwaną szczególnie w pieśniach ułańskich za piękną, pełną liryzmu i zadumy interpretację. Prawdziwym jednak finałem był, najczęściej śpiewany wspólnie, hymn „Marsz Polonia”. Tak było prawie na całej trasie liczącej ponad 10 tys. km, od Manville, New Britain, poprzez Hartford, Nowy Jork, Filadelfię, Washington, Pittsburgh, Detroit, Chicago, Milwaukee, Buffalo, Rochester, Scanton, Springfield do Bostonu.

W czasie pięciodniowego pobytu Zespół dał 23 koncerty. spotkał się z kierownictwem Ambasady PRL w Waszyngtonie, konsulem w Chicago, z wieloma polonijnymi zespołami m. in. w Chicago (4 zespoły), Nowym Jorku, Bostonie. Na koncerty, bardzo często z odległych stanów a nawet z Kanady, przyjeżdżała choreografowie i kierownicy zespołów polonijnych. Mówiono i dyskutowano o układach tanecznych, o koniecznych działaniach wśród Polonii przed kolejnym Światowym Festiwałem Zespołów Polonijnych w Rzeszowie. Były to więc kontakty robocze- instruktażowe, pełne przyjaźni ale też i wymiany doświadczeń. Traktowaliśmy to jako swoją powinność ludzi kultury, ale również jako swój obowiązek wobec Towarzystw Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, które patronowało wyjazdowi, jako zobowiązanie wobec kultury polskiej.

Wyjazd zaowocował ponownym zaproszeniem na tournée w 1989 r. Rozważana jest również możliwość zaproszenia do USA w 1988 r. dziecięcej grupy Zespołu z tańcami współczesnymi i ludowymi. Jak informowali nas organizatorzy, polonijni działacze kultury przywiązują wielką wagę do pracy z dziećmi i młodzieżą upatrując w tym kontynuację polskiej ciągłości kulturowej wśród Polonii, kultywowanie tradycji przodków podtrzymującej łączność z krajem pochodzenia. Ich zdaniem jest to powinność ojców i dziadków wobec kraju rodzinnego. Działacze polonijni ubolewają nad najmłodszą Polonią- która nie zawsze tę tradycję czuje, dla której wszystko co amerykańskie, jest lepsze. Byliśmy zatem pełni podziwu dla tych spośród Polonii, dla których znajomość języka przodków to obowiązek, powinność wręcz, dla których wszystko co polskie, jest bliskie i tak samo swoje, jak kraj zamieszkania. To oni żywo interesują się polskim teatrem, literaturą- poezją, malarstwem. Dla nich bliska jest tradycja kultury ludowej, zwyczajów świątecznych i rodzinnych (często kultywowanych w poszczególnych środowiskach). Przekonałem się o tym wielokrotnie widząc wzruszenie po otrzymaniu upominków, którymi były wycinanki, pisanki, poezje Jana Pocka, tomiki Alfredy Magdziak, Marii Gień, Władysława Kuchty, Wacława Lipowskiego, czy opowiadań ludowych Jadwigi Wichrackiej lub wydany ostatnio zbiór „Kolędowanie na Lubelszczyźnie”.

Oni zapewne działania te będą nadal kontynuować. Myślę, że partnerem z Polski w tej pracy może być również Stowarzyszenie Twórców Ludowych. Podjęliśmy w tej sprawie sondażowe rozmowy, które- mam nadzieję, zakończą się współpracą oficjalnie uzgodnioną przez obie strony. A zainteresowanie i zapotrzebowanie na polską, autentyczną sztukę ludową jest tam zaskakująco duże.

TERESA SZCZEPANIAK

Lubię wiersze

Lubię wiersze od zagonów-
one zapach pól mi noszą,
o skąpanych w słońcu kwiatach,
co urodą oczy cieszą.

Lubię wiersze z chłopskiej pieśni
pobierane w żniwnym trudzie,
lubię wiersze o miłości,
którą proszą żyją ludzie.

Lubię wiersze o skowronku,
o jesieni, i o lecie,
o tym, co mnie w krąg otacza,
ileż piękna jest na świecie.

Lubię wiersze z nocej ciszy,
ustrojone w perły rosy,
o tej jasnej rannej zorzy,
którą darzą nas niebiosa.

Lubię wiersze spod sękiery,
takie proste, takie świeże,
jestem chłopką z krwi i kości-
więc świat wiejski kocham szczerze.



Henryk Cichocki, *Anioł z różami*,
rzeźba w drewnie, Ostrowiec Świę-
tokrzyski, woj. kieleckie

Mego życia dewiza

Dużo w sobie miłości niewam
i ludziom ją rozdaję w darze —
niech cieszy smutnych i cierpiących
niech radośnie rozjaśnia twarze...

By każda ciężka praca
nie była nikomu ciężarem —
lecz niosła dobroć i była godziwą
w każdy czas życia polną czarem...

Wszystkim płaczącym lzy obcieram
niech ufny wzrokiem na świat patrzą...
pracą codzienną niech chleb pomnożą —
by dzień jutrzejszy był dołą bogatszą...

Oto mego życia dewiza
zapal mego serca i duszy —
trwać w dobrem, imym darować zgodę
aby nikt nam pokoju nie burzył...



Anna Padol, Św. Swierad, rzeźba
w drewnie, Paszyn, woj. nowo-
sądeckie

PORADY

Redakcja

„Twórczość Ludowa”

Parę razy już zabierałam się do napisania do Redakcji, lecz tym razem zdecydowałam stanowczo nie wyrzucać rozpoczętych pismem kartek, lecz wystać je. Mam właściwie dwie prośby, które to w skrócie chcę przedstawić. Od dawna zajmuję się haftem ręcznym, przez parę lat współpracowałam z Cepelią, później przez krótki okres prowadziłam warsztat rzemieślniczy „Haftciarstwo”. Jednakże na skutek coraz to wyższych opłat w stosunku do nakładu ręcznej roboty, i ze względu na ilość, jaką zdołałam wykonać zmuszona byłam zrezygnować z prowadzenia zakładu. Już parę razy pytałam o możliwość pokazania moich wyrobów w okolicznych muzeach i domach kultury, lecz bez skutku. Zawsze słyszę iż w tym kierunku nic nie organizuje się. Prosiłam o poinformowanie mnie, gdzie i do kogo należałoby się zgłosić, by uzyskać pozwolenie na wzięcie udziału w organizowanych kiermaszach sztuki ludowej. Byłam w ubiegłym roku na kiermaszu organizowanym podczas „Tygodnia Kultury Beskidzkiej” w Wiśle. Zgłosiłam już się na ten rok, czy jednak zostaną przyjęta, jeszcze nie wiem, zawsze bowiem pierwszeństwo mają „Twórcy Ludowi”. Ale jak nim zostać? O to zabiegam już dawno, lecz ciągle słyszę, że trzeba mieć sporo zaświadczeń o udziale w różnych konkursach i wystawach. No ale skąd je z kolei zdobyć?

Utworzono nowy ośrodek twórców ludowych w Bielsku-Białej, złożyłam tam ponownie moje ankiety i parę zaświadczeń ale wyczuwam, iż znowu nie przejdę przez „komisję”, bo to nowy ośrodek i niczego nie można się tam dowiedzieć. Coraz bardziej zniechęcam się do tego, żeby coś zrobić a mam jeszcze sporo pomysłów. Ale czy warto?

Prosiłabym zatem, jeśli to możliwe, o odpowiedź, do kogo i przez jaką organizację należałoby się zwrócić, by móc zostać członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Nie mam kontaktu z twórcami, bo w okolicy nikt się nie zajmuje niczym podobnym. a w dodatku bardzo trudno o życzliwość i uznanie. Bardzo proszę o odpowiedź listownie.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Redakcji
(Nazwisko znane redakcji)

Jakkolwiek autorka listu prosiła nas o odpowiedź listowną, którą zresztą wysłaliśmy, problem może dotyczyć innych osób, stąd zdecydowaliśmy się na opublikowanie i listu i odpowiedzi zachowując anonimowość autorki.

Otóż istotnie, na kiermasze sztuki ludowej organizowane i współorganizowane przez Stowarzyszenie Twórców Ludowych zapraszani są członkowie STL. Konkursy natomiast na sztukę ludową są zazwyczaj otwarte i może w nich wziąć udział każdy, kto z tradycji, urodzenia i talentu przygotowany jest do wykonywania wyrobów i dzieł sztuki ludowej. Tą właśnie drogą zostało zauwa-

zonych i „odkrytych” wielu obecnych członków STL. Inna sprawa, że informacje o konkursach nie zawsze trafiają do wszystkich zainteresowanych.

Każdy natomiast rzeczywisty twórca ludowy może i powinien stać się o członkostwo w Stowarzyszeniu Twórców Ludowych. Piszemy — twórca ludowy, ponieważ to nie Stowarzyszenie nadaje status czy nazwę „twórcy ludowego” ale jego dzieła. STL daje natomiast pewien status społeczny, po prostu niejako potwierdza wobec opinii społecznej daną osobę jako twórcę ludowego oraz przynosi pewne uprawnienia do emerytury twórczej, udziału w kiermaszach, wystawach, publikacjach itp., a przede wszystkim pozwala znaleźć się w środowisku wyznającym podobne idee i wartości związane z wiekowym dziedzictwem kulturowym wsi polskiej, środowisku pragnącym je kontynuować, wносить nowe wartości.

Statut STL stanowi: „Członkiem rzeczywistym Stowarzyszenia może zostać pełnoletni obywatel polski, który tworzy w dziedzinie sztuki ludowej, pisarstwa ludowego, muzyki, tańca, o ile: a) zgłosił Zarządowi Głównemu swe przystąpienie lub przyjął propozycję Zarządu Głównego przystąpienia do Stowarzyszenia, b) o autentyczności jego twórczości orzeknie Rada Naukowa STL poprzez specjalistyczną Sekcję w oparciu o dostarczone prace lub orzeczenie kompetentnych instytucji, c) zostanie przez Zarząd Główny przyjęty na podstawie opinii, o której mowa w pkt. „b”. Od decyzji odmownej przysługuje ubiegającemu się o przyjęcie do Stowarzyszenia, prawo odwołania się do Krajowego Zjazdu”.

Tak więc o przynależności do Stowarzyszenia decyduje Zarząd Główny STL. Procedura przyjęć przebiega w następujący sposób: kandydat powinien złożyć za pośrednictwem oddziału regionalnego STL lub bezpośrednio w ZG STL (ul. Grodzka 14, 20-112 Lublin) pisemny wniosek o przyjęcie, wypełnić ankietę kandydacką, deklarację oraz jeżeli jest twórcą-plastykiem, dołączyć kilka swoich prac, nie mniej jednak niż trzy. A oto najogólniej sformułowane kryteria; członkiem STL może zostać osoba uprawiająca twórczość w jednej z dyscyplin sztuki

ludowej (np. tkactwie, rzeźbie, malarstwie, garncarstwie, kowalstwie itp.), wywodząca się i związana ze środowiskiem wiejskim oraz opierająca swoją twórczość na tradycjach tego środowiska a wykonująca dzieła oryginalne o wysokim poziomie artystycznym nie posiadając przy tym wykształcenia kierunkowego — plastycznego. Kandydat powinien mieć już odpowiedni dorobek twórczy, potwierdzony m. in. przez udział w konkursach, wystawach, zadokumentowany dyplomami, ewentualnymi nagrodami czy wyróżnieniami, współpracą z muzeami lub innymi instytucjami zajmującymi się sztuką ludową. Ten ostatni warunek nie jest wszakże konieczny, jeżeli kandydat przedłoży odpowiednie prace przedstawiające wysoką wartość jako dzieła sztuki ludowej.

Poeeci i pisarze ludowi natomiast powinni przedłożyć kilkadziesiąt swoich wierszy, ew. gadki czy opowiadania osadzone w tradycji ludowej, i dołączyć ew. wycinki prac publikowanych. Kryteria przyjęć, szczególnie od strony związków ze środowiskiem, system wartości kultury ludowej, wykształcenia są podobne, jak w przypadku twórców-plastyków. Po dołączeniu ankiety i deklaracji, które można otrzymać w oddziale lub Biurze ZG STL, także drogą korespondencyjną, prace kandydata opiniuje odpowiednia sekcja Rady Naukowej Stowarzyszenia. Tak przygotowaną kandydaturę rozpatruje Zarząd Główny STL podejmując odpowiednią decyzję.

W przypadku muzyków, tancerzy i śpiewaków ludowych czyli twórców folkloru procedura jest nieco inna — informacji w tej sprawie należy zasięgać bezpośrednio w ZG STL.

A teraz co do konkretnego przypadku sygnalizowanego w liście; autorka powinna wniosek o przyjęcie oraz swoje prace złożyć bezpośrednio w ZG STL w Lublinie, wypełnić ankietę oraz deklarację i czekać na rozstrzygnięcie sprawy. Zwykle trwa to parę miesięcy, jako że specjalistyczne sekcje Rady Naukowej jak i Zarząd Główny STL swoje posiedzenia, poświęcone przyjęciu członków, odbywają dwa — trzy razy do roku.

STW

WŁADYSŁAW KOCZOT

Orka

Ten plóg ojca
wyszczerbilem niechęący
w kamienistej glebie
on rozdygotał znów
ręce zmęczone
cierpiwe od poranka do zmierzchu —

Krojąc skibę po skibie
srebrzysty lemiesz
tworzy zaczyn
pod chleb nowy —

blagosławiona ziemia
od wieków posuszna
chłopskim ręką
słowom
zawsze...

JAN GŁÓWKA

* * *

Mała, drobna rzecz na pozór — spojrzenie...
Tylko to jedno zabrałem ze sobą.
Dziś wiem dopiero, żem najlepiej zrobił —
Cóż by bez niego tu na obcej ziemi...

Jest wszędzie ze mną, zawsze w czas przychodzi,
Jak brat podzieli na dwa cały ciężar,
A kiedym smutny bierze mnie pod rękę —
Kiedy najtrudniej i kiedy najgorzej.

Zebyż to ono — i czułe, i wierne,
Takie jedyne spośród wszystkich w świecie —
Mogło do końca tu pozostać ze mną...

Spojrzenie tylko — ja nie chcę nic więcej —
Oddałbym za nie słońce, dałbym gwiazdy —
I te prawdziwe, i te z sennych marzeń...

Spotkanie z pisanką

Kiermasze pisanki wielkanocnej mają w Zamościu już ponad 20-letnią tradycję. Na tle renesansowej architektury zamojskiej Starówki jak zwykle w Palmową Niedzielę odbył się kolejny kiermasz pisankowo-palmowy. Na piętnastu stoiskach można było podziwiać i kupować wielobarwne pisanki za jedyne 100—150 zł. Mimo zimnej i pochmurnej pogody zwiedzających i kupujących było dużo. Na piętnastu stoiskach aż osiem twórczyni posługiwało się techniką drapaną, pozostałe zaś techniką batikową czyli woskową. Na uwagę zasługiwały pisanki Krystyny Siomy, która nawiązuje do bardzo starej tra-

dycji zdobiąc skorupkę jaja tworzywem z mąki i trawy.

Podczas organizowanego pierwszych kiermaszy (w których brałem udział) niełatwo było o tak liczną grupę pisankarzy jak obecnie. Przeważała wówczas technika batikowa, były także kraszanki tzw. „byczki” a cena jednej pisanki wynosiła do 10 zł. Zauważa się wzrost zainteresowania pisanką, chociaż nie oznacza to wcale, że ten obrzędowy zwyczaj nabiera powzięłości na wsi zamojskiej. Kiermasz rozweselała znana kapela ludowa z Tarnogrodu.

Podczas kiermaszu ogłoszono wyniki i wręczono nagrody w woje-

wódzkim konkursie na palmy i pisanki wielkanocne. Na konkurs wpłynęło 360 prac 22 twórców.

Pierwsza nagroda przypadła Stefanii Jańczuk (w wysokości 5 tys. zł) za najciekawszą pracę pod względem artystycznym i etnograficznym. Dwie II nagrody po 3 tys. otrzymały; Władysława Kłodnicka i Paulina Łagowska. Trzy III nagrody po 2 tys. zł — Stanisława Panas, Zofia Gilewska, Alfreda Magdziak. Ponadto cztery osoby otrzymały wyróżnienia, są to; Leokadia Kasłona, Krystyna Sioma, Kazimiera Wiśniewska i Janina Nieradko.

Organizatorami konkursu byli; Muzeum Okręgowe Wojewódzki Dom Kultury i Zamojski Oddział Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Władysław Sitkowski
Zwierzyniec

Po podziale administracyjnym kraju, województwo radomskie pokrywa się z dawną Ziemią Radomską. Jest to jeden z nielicznych regionów, do którego weszły wszystkie tradycje artystyczne ludowej twórczości.

W roku 1977 z inicjatywy Zarządu Wojewódzkiego ZSMP oraz dr Stefana Rosińskiego, dyrektora Muzeum Wsi Radomskiej, i kilku rzeźbiarzy — zapaleńców, odbyło się pierwsze spotkanie twórców ludowych z terenu całego województwa. Spotkanie stanowiło zarazem inaugurację działalności Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Na czele pierwszego Zarządu stanął Władysław Gruszczyński, rzeźbiarz ludowy z Radomia, któremu powierzono funkcję prezesa Zarządu. Początkowo grono twórców było nieliczne, 20-osobowe. Po niespełna sześciu latach działalności Oddziału liczył on już 40 członków rzeczywistych oraz 30 kandydatów. Są to twórcy ze wsi reprezentujący różnorodne formy działalności artystycznej: rzeźbiarskiej, kowalskiej, ceramicznej, garncarskiej, malarskiej, plastyki obrzędowej, tkactwa, koszykarstwa i innych.

10 lat Oddziału STL w Radomiu

Podczas II-go Zjazdu STL wybrano nowy Zarząd, na czele którego stanął Kazimierz Mackiewicz — kowal z Wierzchowin. Zjazd uznał, iż rozrosły się nie tylko szeregi Stowarzyszenia, ale i wzrosła aktywność twórców w krzewieniu kultury ludowej na terenie województwa. Od początku powstania STL wydatnej pomocy twórcom udziela Muzeum Wsi Radomskiej. Różnorodne konkursy organizowane przez Muzeum ujawniają nowych, ciekawych twórców działających dotychczas bez rozgłosu. Tak np., było przed kilkoma laty w mikroregionie kozienickim. Wówczas to odkryto nieznanego jeszcze nestora rzeźbiarzy radomskich — Stanisława Denkiewicza. Obecnie mikroregion kozienicki należy do prężnie działających ośrodków rzeźbiarskich. Tam po raz pierwszy wprowadzono rzeźbiarski monument, co stało się w owym czasie wydarzeniem w skali kraju.

III-ci Wojewódzki Zjazd STL wybrał na prezesa Zarządu — Grze-

gorza Szewczyka — rzeźbiarza z Kozienic. Zjazd był również miejscem wymiany poglądów na temat roli współczesnej wsi w krzewieniu kultury.

Zbliża się dziesięciolecie naszego Oddziału. W okresie minionych lat Oddział nasz rozrósł się, zwiększyła się także aktywność twórców ludowych. Wielu z nich, poprzez uczestnictwo w plenerach rzeźbiarskich, kiermaszach, aukcjach sztuki, konkursach i wystawach zyskało wysokie uznanie wśród społeczeństwa. W ich ślady poszło wielu młodych, którzy zajęli się twórczością. Przykładem może tutaj być pozyskanie zdolnego i znanego już młodego rzeźbiarza z regionu Kozienic, Jerzego Krześniaka, którego prace są wysoko cenione wśród znawców sztuki ludowej. Zdobył on na wielu wystawach nagrody i wyróżnienia. Znani są także twórcy uprawiający kowalstwo, garncarstwo, sztukę obrzędową i malarstwo.

Najbardziej ożywiona działalność przypadła na lata 1983 — 1985. Na

podkreślenie zasługuje uczestnictwo twórców w kiermaszach z okazji Dni Radomia i aukcjach sztuki ludowej, której organizatorem jest Muzeum Wsi Radomskiej. Radomscy twórcy mają duży udział w rozwoju tej placówki muzealnej. Poprzez dobrowolne składki uzyskane ze sprzedaży wyrobów na aukcjach (początkowo 10%, a teraz 20%) przyczyniają się do rozwoju Muzeum.

Radomscy kowale biorą udział w Ogólnopolskim Biennale Kowalstwa Ludowego. Wielu z nich zostało w konkursie tym nagrodzonych i wyróżnionych jak m. in. Paweł Winiański, Bogusław Markiewicz, Mirosław Jakubiak, Eugeniusz Chojaj, Stefan Raban, Edward Łagowski, Jan Pawlik, Kazimierz Łyżwa, Stanisław Cendrowicz.

Rokrocznie w Turnie koło Biało-brzegów odbywa się: Ogólnopolski plener monumentalnej rzeźby ludowej z uczestnictwem takich, znanych w kraju rzeźbiarzy, jak: Antoni Bolek, Czesław Bielak, Zdzisław Purchała, Jarosław Furgala, Tadeusz Twardowski, Zbigniew Stankowski, Roman Mikłaszewski, Włodzimierz Nawęglowski, Stanisław Ciszek, Aleksander Kucharski. W Plenerach tych biorą często także udział rzeźbiarze naszego Oddziału radomskiego, jak: Władysław Gruszczyński, Grzegorz Szewczyk, Jerzy Krześniak, Henryk Karaś i inni. Głównym organizatorem Plenerów rzeźby monumentalnej jest

Zarząd Wojewódzki ZSMP w Radomiu a współorganizatorami: Wydział Kultury i Sztuki U.W., Radomska Spółdzielnia Mieszkaniowa-Muzeum Wsi Radomskiej i Oddział Wojewódzki STL. Dotychczas odbyło się kilka takich plenerów rzeźbiarskich. Spośród rzeźbiarzy uczestniczących w plenerze największymi osiągnięciami mogą pochwalić się właśnie twórcy Ziemi Radomskiej, tacy jak m. in. Grzegorz Szewczyk (I nagroda). Otwarcie jego Izby Twórczej w Kozienicach w 1985 r. było także ważnym wydarzeniem.

W Domu Kultury w Kozienicach w maju 1986 r. zorganizowano wystawę retrospektywną twórczości Grzegorza Szewczyka. Podczas otwarcia odbyło się spotkanie poetyckie, w którym deklamował swoje utwory Grzegorz Szewczyk oraz poetka ludowa z Kozienic — Zofia Kucharska.

Na wyróżnienie zasługuje fakt przyznania nagród i wyróżnień młodym twórcom, między innymi: Dariuszowi Gruszczyńskiemu, Zdzisławowi Lijewskiemu, Wiesławowi Rokicie, Barbarze Rodak. Twórcy biorą udział w corocznym przeglądzie Śpiewaków i Kapel Ludowych w Przysusze, organizowanym w ramach Dni Kolbergowskich, a także w corocznym Przeglądzie Kapel i Zespołów Stylizowanych w Szydłowcu, organizowanym przez Wojewódzki Dom Kultury w Radomiu.

W starym spichlerzu z XIX wie-

ku — (Muzeum Wsi Radomskiej) odbywały się wystawy jubileuszowe, poprzez które zaprezentowali swój dorobek twórcy: Stanisław Denkiwicz — rzeźbiarz, Władysław Gruszczyński — rzeźbiarz, Grzegorz Szewczyk — rzeźbiarz i poeta oraz Jerzy Krześniak — rzeźbiarz.

Wspomnieć także należy, że od szeregu lat nasi twórcy zdobywają nagrody w konkursach sztuki sakralnej, organizowanej corocznie przez Wojewódzkie Stowarzyszenie „PAX” w Kielcach. I nagrodę w 1985 r. zdobył obecny prezes Wojewódzkiego Oddziału STL, Władysław Gubała, który jest rzeźbiarzem ceramiką.

Gdybyśmy chcieli wymienić wszystkie wystawy, kiermasze i konkursy, prace społeczne oraz datki, jakie świadczyli twórcy, informacja nasza rozrosła by się do rozmiarów niemałej broszury. Dlatego tu podane są jedynie przykłady lub fragmentaryczne omówienie naszych prac.

IV-ty Wojewódzki Zjazd Oddziału, który zrzesza już 62 twórców, odbył się 5 kwietnia 1986 r. Prezesem został wybrany Władysław Gubała, wiceprezesem Grzegorz Szewczyk. Rozpoczął się nowy okres działalności Oddziału, który liczyć sobie będzie już 10 lat.

Alicja Makarska-Grzywa

Już 53 lata istnieje i działa Towarzystwo Miłośników Ziemi Żywieckiej. Początki organizacji sięgają 1934 roku. W tym to roku przy Towarzystwie Szkoły Ludowej powstała Sekcja Miłośników Żywiecczyzny, której założycielem był Michał Jaworski, nauczyciel historii w gimnazjum żywieckim. Do grupy najaktywniejszych działaczy w tym okresie należeli: Stanisław Szczotka, Adam Miłsz i Władysław Nowatorski. Głównym celem tej nowopowstałej organizacji było propagowanie wiedzy o Żywiecczyźnie, uchronienie przed zapomnieniem oraz utrwalenie kultury góralskiej i mieszczańskiej. Do największych sukcesów tej grupy zapaleńców zaliczyć należy zorganizowanie Muzeum Regionalnego oraz zapoczątkowanie wydawnictw: czasopisma „Ziemia”, kwartalnika „Gromie”, serii „Biblioteka Żywiecka”.

Z Ziemi Żywieckiej

Dzięki staraniom Stanisława Szczotki, pracownika naukowego Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozpoczęto prace wykopaliskowe na górze Grojec. Natrafiono tam na pozostałości średniowiecznego zamku oraz na ślady kultury łużyckiej. Działacze sekcji zorganizowali też akcję, która miała na celu wykorzystanie tradycyjnych form zdobnictwa ludowego. Efektem tej akcji była spółdzielnia pod nazwą „Bazar Żywiecki”. Ponieważ wielu członków sekcji nie ukrywało swoich lewicowych przekonań, miejscowe władze utrudniały działalność tej organizacji. Tylko dzięki uporowi jej kierownictwa kontynuowano prace na rzecz rozwoju i upowszechniania kultury ludowej. Przed

wybuchem wojny udało się wydać „Dziejopis żywiecki”, zawierający informacje z kilkusetletniej historii miasta. Z żalem należy stwierdzić, że prawie wszystkie egzemplarze tego dzieła zostały zniszczone jeszcze w drukarni przez wojska niemieckie. Niemcy wywieźli również większość eksponatów zgromadzonych w miejscowym Muzeum. Przez dziesięć lat po zakończeniu wojny, w czasie której zginęli najaktywniejsi działacze sekcji, nie udało się utworzyć w Żywcu towarzystwa regionalnego. Dopiero na skutek aktywnej działalności prof. Józefa Miłszi powstała Komisja Regionalna Badań i Opieki nad Folklorem, która to w 1957 roku przekształciła się w Towarzystwo Miłośników Zie-

mi Żywieckiej. Organizacja ta przejęła znakomite tradycje swoich poprzedników. I tak od ponad 30 lat TMZZ jest mecenasem i stymulatorem rozwoju kultury regionu. TMZZ zrzesza 700 członków i ma swoje oddziały w Warszawie, Krakowie, oraz kilka kół terenowych.

Trudno wymienić wszystkie formy działalności Towarzystwa. Tak np. Grupa Literacka „Gronie” gromadzi ludzi piszących. Wielu z członków tej grupy może się poszczycić bogatym dorobkiem. „Spotkania starozamkowe”, „Gody u Groniarzy”, „Wieczory przy lucywach” — to tylko niektóre imprezy literackie cieszące się dużym powodze-

nem wśród mieszkańców Żywca jak i u turystów. Publikowaniem utworów zajmuje się Sekcja Wydawnicza, która opracowuje foldery oraz dokumenty z bogatej historii miasta. Sekcja ta wydaje, ciesząc się dobrą opinią wśród fachowców i czytelników periodyk „Karta Groni”. Natomiast twórców ludowych Żywieccyzny skupia osobna sekcja. Sekcja ta, oprócz inspiracji i wielorakiej pomocy, zajmuje się wystawianiem i sprzedażą dzieł.

Bardzo interesująco przedstawia się działalność Sekcji Ochrony Zabytków. Aktualnie jej archiwum dysponuje zdjęciami i rysunkami

ponad 200 nie istniejących już historycznych budowli. Gromadzi się w tej sekcji również zabytki kultury umysłowej — stare wiersze i utwory muzyczne.

Do najaktywniejszych działaczy TMZZ należą: Zygmunt Poniedziałek, Zofia Rączka, Józef Miś, Wanda Studencka, Stanisław Babuchowski, Hildegarda Gutkowska, Helena Kudiaćzak, Lucyna Szubel i Magdalena Zawadowa. Godnym odnotowania faktem jest pomoc, jakiej udzielają Towarzystwu władze miejskie.

Andrzej Golec

W Jaworzynce podkreśla się na każdym kroku przywiązanie mieszkańców do rodzinnej, zresztą bardzo bogatej tradycji. Kontynuowana jest tu twórczość ludowa z zakresu hafciarstwa i koronkarstwa. żywe są wciąż wspomnienia o niezującym już miejscowym kronikarzu, Janie Motyce czy też poecie, Janie Łysku. Dużą wagę przywiązuje się do kultywowania starych obrzędów i zwyczajów.

Jednym z przejawów tej działalności było założenie w 1955 roku Regionalnego Zespołu „Jaworzynka”. Przez prawie 10 lat jego członkowie borykali się z różnymi kłopotami, dopiero rok 1963 stworzył dogodne warunki do systematycznej pracy (pomoc finansowa Wydziału Kultury w Cieszynie i dotacje uzyskane z Centralnej Rady Związków Zawodowych). Należy stwierdzić, że dobra opinia o zespole, to wynik rzadko spotykanego zaangażowania ludzi z nim związanych: Pawła Ruckiego — poety ludowego i gawędziarza, rodzin Polaków, a szczególnie Kolenioków i Burych, z których nazwiskami związane jest prawie wszystko, co zainicjowano w dziedzinie kultury w Jaworzynce.

Zespół „Jaworzynka” rozpoczął swoje pierwsze występy udziałem w przeglądach, konkursach i festiwalach, na których otrzymał wyróżnienia i dyplomy. Były to m. in. także imprezy, jak Dni Bielska-Białej, Dni Będzina, Ogólnopolski Festiwal Folklorystyczny w Płocku, Festiwal Piosenki Ludowej w Poznaniu, Święto Winobrania w Zielonej Górze, Tydzień Kultury Beskidzkiej, Festiwal Folkloru Górali Polskich i Żywieckie Gody w Żyw-

cu. Po sukcesach krajowych „Jaworzynka” brała udział w Światowym Festiwalu Zespołów Folklorystycznych w Czechosłowacji oraz w Święcie Strojów Ludowych w Austrii i Szwajcarii (1975 r.), gdzie zespół uzyskał pierwsze miejsce. Do

liczących się sukcesów „Jaworzynki” zaliczyć należy udział w programach Telewizji Polskiej i Telewizji RFN oraz udział w filmach dokumentalnych: „Beskidzkie wianki”, „Szkubaczka w górach”, „Historia beskidzkiego narciarstwa” czy też nagrania dla radia belgijskiego, występy dla przedstawicieli ONZ i RWPG.

Repertuar „Jaworzynki” tworzą pieśni i tańce oparte na autentycznych, ludowych przyspiewkach górali Koniakowa, Istebnej i Jaworzynki. Są to między innymi: „krzyżok”, „piłka”, „kołomajka”, „rejna”, „kapusta”, „świnszcok”, „odbijany”, „szoltys”, „masztołka”, „gawroń”, „boškany”, „owiejzok”, „wrona”, „maciejka”. Ponadto w repertuarze zespołu znajduje się kilka obrazków scenicznych z życia górali, takich jak: „Na pastwisku”, „Szkubaczka”, „Przed świętym Jonem”, „Jaworzynka tańczy i śpiewa”, „Jaworzynka dawni a dzisiaj”, „Przędki”. Zbiera się w Jaworzynce i odtwarza stare, zapomniane już zwyczaje i tradycje ludowe, ta-

kie jak: „szkubaczka” — zwyczaj zbiorowego darcia pierza przy wiorze przyspiewek i gawęd, „po babę” — pomoc sąsiadka wywodząca się ze starego zwyczaju wzajemnej pomocy przy obróbce lnu (dzisiaj pomoc przy żniwach, przy budowie

lip.), „radowanka” — rodzaj majówki wiosennej, „powitanie wiosny” — odtwarzanie starego zwyczaju strzelania z bata, „kiermasz” — degustacja regionalnych potraw z okazji zakończenia jesiennych zbiorów czy też w końcu pokazy historii beskidzkiego narciarstwa — na starym, tradycyjnym sprzęcie.

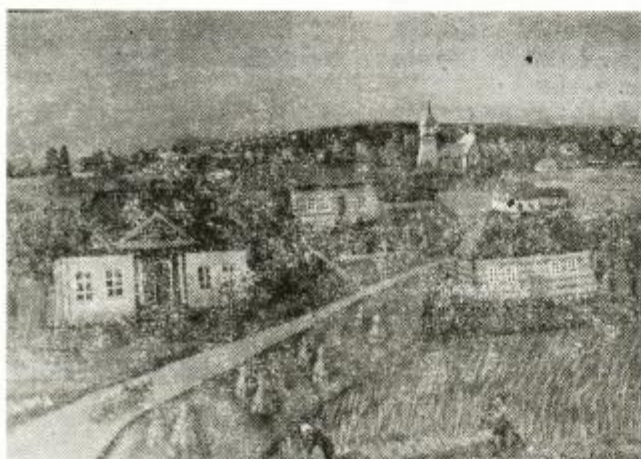
Nie sposób wymienić bogactwa i różnorodności cennych przedsięwzięć podejmowanych przez tych z prawdziwego zdarzenia społeczników, ofiarnych i zasłużonych dla kultury ludzi. Poprzez swoje zaangażowanie społeczne, bezinteresowną pomoc, piękne kultywowanie tradycji ludowej obie wspomniane wyżej rodziny są dumą swojej wsi. A Regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Jaworzynka” dzięki panującej w nim, rzadko spotykanej, serdecznej atmosferze stanowi najlepszą wizytówkę tej najbardziej na południe wysuniętej wsi województwa bielskiego.

Andrzej Golec

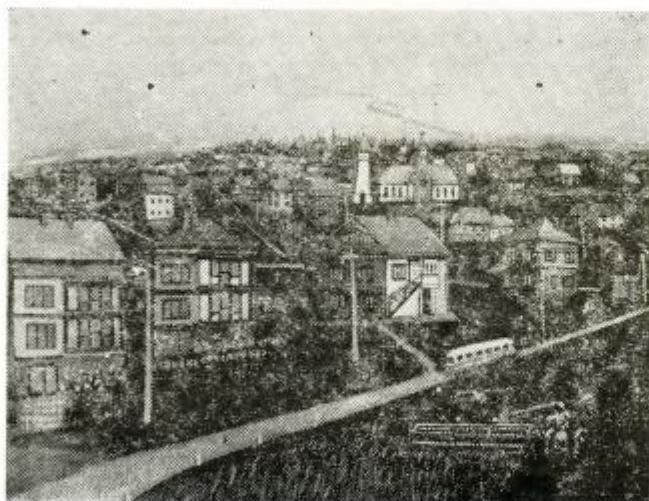
Józef Opyrchał*, Obrazy olejne, Dziewin, woj. krakowskie



Tak było na wsi w 1924 r.



Tak było na wsi w 1954 r.



Ogromny postęp na wsi

IGNACY ANTOSZ

Idzie Jesień

Już na polach wsi przygasiej
z letnich prac
lecą liście jak latawce
z konar drzew
a przy domach, jakby jaśniej,
jeszcze blask —
w poprzek skib rozdartej ziemi
tysiącami barw się mieni,
idą wierzby i olszyny,
aż pod las.
Z pogorzeliśk płyną dymy,
od sufitu żyrandola
rozpryskuje ludzka doła,
niiby świt —
a na drogę nieustannie
opadają jak w fontannie
liście z lip.
Znów wodospad rozgadany,
kręty w brzegach w noc pijany,
z wszystkich strug
w niewiadomą wody płyną,
opadają wraz z doliną
w dal.
A przez pola idzie jesień
bo już odszedł dawno wrzesień,
krócej dnia.

WŁADYSŁAW RUTKOWSKI

Jesienią

Nanizalem już dni
na swój różaniec
i
wieczorem
przebieram myślą parę dziesiątków..
Reszta nie zda się na nic,
za mało ich,
nie ma już z czego snuć nowego wątku.
Nazbierałem doświadczeń,
jak liść
zbiera na jesień barwy,
mógłbym teraz
składać je całkiem inaczej,
cieszyć się jak skąpiec
skarbem.
Liście są najpiękniejsze
jesienią,
gdy wyrok już na nie wydany,
człowiek mądrzeje na starość.
Teraz wiedziałbym
jak
jeszcze raz podjąć brzemię..
Dosyć!
Nie wolno!
Już zaraz zamkną bramy.

Twórcy ludowi Beskidu

Z ciekawą inicjatywą wydawniczo-dokumentalną wystąpił Wojewódzki Dom Kultury w Bielsku-Białej. W ostatnich dniach minionego roku ukazało się pierwszych sześć minifolderów (8 — 12 stron formatu 11×12 cm) z serii poświęconej twórcom ludowym województwa bielskiego. Autorami cyklu są Halina Grabias, Zbigniew Michardziński, Marian Koim i Lucjan Grajny (zdjęcia) oraz Kazimierz Wilczyński (opracowanie graficzne). Każdy z zeszytów poświęcony jest jednemu twórcy. I tak w pierwszych — autorzy przedstawili nam: Józefa Bocka — rzeźbiarza i poetę z Istebnej-Zaolzia, Michała Boczka — rzeźbiarza z Rajczy, Antoninę Fliuś — kwiaciarkę z Bieńkówki (wieś położona u stóp południowych zboczy Bobicy), Feliksa Jankowskiego — muzyka i budowniczego dud z Żywca, Marię Kulej — koronarkę z Koniaków oraz Emilię i Edwarda Leśniaków — rzeźbiarzy

(drewniane ptaszki) ze Stryszawy koło Suchej Beskidzkiej.

Nakład niewielki (700 — 1000 egz.) mamy jednak nadzieję, że duże zainteresowanie miłośników sztuki ludowej i turystów spowoduje edycję następnych tytułów z cyklu „Twórcy ludowi województwa bielskiego”, a dział informacji, wydawnictw i dokumentacji Wojewódzkiego Domu Kultury w Bielsku-Białej wyda je w większych nakładach. Tymi miniaturowymi wydawnictwami powinny chyba zainteresować się Dom Książki i „Ruch” woj. bielskiego, by turyści mogli je kupić nie tylko przy okazji imprez folklorystycznych. Jest to bowiem dokumentacja sztuki ludowej regionu, ale również pożyteczna lektura przed wyruszeniem na etnograficzny szlak Beskidu Żywieckiego i Śląskiego.



Emilia Leśniak, Ptak, rzeźba w drewnie, Stryszawa, woj. bielskie

Korz.

WŁADYSŁAW KOCZOT

Na jarmarku

Na frampolskim rynku
od świtu
gołębiarze dobijają targów
na śmierć i życie.

Opasłe paniusie
przeklinają drożyznę.
Zreumatyzowane baby
wyzywają spekulantów
i zlorzeczą na los.

Wystraszone koguty leżą
w konopnych workach
A tuż za kioskiem z gazetami
czarnookie cyganki
dziewczętom z miasta
z oczu
z ręki
z kart
plotą
o miłości.

ALOJZY NAGEL

Człowiek

Człowiek to drewno
spolony.
To leśt z drzewica
szmergniony.
To tający śnieg.
Przemijmo,
jak ceń.
Je.
Beł.
Ni ma.
Je.
Mdze wiedno,
jak długie
mdze wieczność.

Słowniczek (gwara kaszubska):
leśt — Hść,
z drzewica — z drzewa,
szmergniony — zrzucony,
mdze — będzie,
wiedno — zawsze.

FUNDUSZ OCHRONY I ROZWOJU TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ

Podajemy nżej dalszy ciąg listy imiennych wpłat na FOiRTL rozpoczętej w 1-szym numerze „TL” apelem Prezydium ZG STL i listem Mieczysława Tutaja wzywającym wszystkich członków STL do odpowiedzi na apel konkretnymi wpłatami. Na adres ZG STL wpływają nie tylko pojedyncze wpłaty ale i deklaracje wpłat wielokrotnych. Publikujemy jedną z nich, naszym zdaniem zasługującą na szczególne podkreślenie. Oto ona:

Henryk Hagel
ul. Zgaińskiego
64-500 Szamotuły

Szamotuły, 1987-02-24

Do
Zarządu Głównego STL
w Lublinie

FOiRTL — szlachetny cel, wspaniała idea. Oby każdy z członków tak to rozumiał, a STL (nie jest i) nie będzie Stowarzyszeniem dziadów.

W ślad za kolegą Mieczysławem Tutajem, zobowiązuje się wpłacać na Fundusz Ochrony i Rozwoju Twórczości Ludowej corocznie kwotę 5000 zł. (słownie: pięć tysięcy złotych) począwszy od 1987 r. do końca mojego życia, nawet wówczas, gdyby mnie skreślono z listy członków rzeczywistych STL za popełnione wykroczenia, wynikiem z mojej winy, a chciałbym nim być nawet po śmierci.

HENRYK HAGEL

DALSZY CIĄG LISTY W PŁAT NA FOiRTL:

Michalina Borodej — 2000 zł, Jan Kaczmarek — 1000, Janina Przyborek — 1000, Hieronim Muszyński — 4000, Rozalia Ślipek — 1000, Julia Pawlak — 1000, Jan Hołodowicz — 600, Marianna Przybyłek — 400, Maria Zaręba — 300, Aniela Welmińska — 300, Wiktoria Janiak — 1000, Franciszek Grzegorzczak — 1000, Stanisław Porzeczek — 200, Stanisława Urbańczyk — 200, Józef Zarsaś — 500, Jan Rybczyński — 500, Stanisław Boguszyński — 600, Dorota Wróblewska — 500, Czesław Skórski — 150, Stanisław Korpa — 1000, Maria Rabin — 1000, Andrzej Klucznik — 1000, Alojzy Stawowy — 1000, Helena Wrzosek — 1000, Maria Łękowa — 1000, Maria Kozłowa — 2000, Zofia Czyżewska — 1000, Helena Półtorak — 1200, Franciszek Górka — 500, Czesława Dzoń — 1000, Antoni Bachowski — 1000, Władysława Grudzińska — 1000, Irena Najdek — 3000, Stefan Chachuła — 500, Marianna Maćkowiak — 1000, Maria Aniućkiewicz — 700, Józef Aniućkiewicz — 700, Aniela Pierzchakia — 500, Józefa Dominiak — 500, Bolesław Piecha — 500, Władysław Kuchta — 1000, Bronisława Bińczyk — 1500, Jan Kowalski — 1200, Franciszek Dziurny — 5000, Władysław Klimkiewicz — 1000, wpłaty członków Oddziału Białostockiego — 3200, Aniela Szwarzenberg — 500, Marianna Pawlak — 1000, Maria Rogosz — 5000, Leokadia Paczek — 500, Tadeusz Obrzud — 500, Melania Burzyńska — 2000, Jadwiga Gosk — 1000, Leokadia Olchanowska — 200, Helena Marcińczyk — 2000, Helena Iwaszkiewicz — 500.

LISTA OFIARODAWCÓW NA ODNOWĘ STAREGO MIASTA W LUBLINIE:

Stanisława Majchrowska — 500 zł, Stanisław Świętek — 1000, Maria Dziurawiec — 500, Jan Kowalski — 1000.

Z AUKCJI ZA SPRZEDANE DZIEŁA NA FOiRTL:

Andrzej Wojtczak — 3200, Weronika Kamola — 1300, Leokadia Marek — 1250, Helena Kamienniarz — 510, Bazyli Kuna — 550, Józef Kulawiak — 840, Zofia Czubernat — 160, Wacław Górczyński — 920, Czesława Matwiów — 660 zł.

SPROSTOWANIE

Do listu - apelu Mieczysława Tutaja opublikowanym w 1-szym numerze „TL” wkradł się „chochlik” drukarski znieszkalciając nazwisko autora przez zamianę litery „t” na „l”. Serdecznie przepraszamy autora.

Anna Chmiel, Wincenty Witos — Przywódca polski, chłopski, rzeźba ceramyczna, Czarna, woj. rzeszowskie



Tak ma być jak ja powiem..

Jeden z uzdrowicieli ludowych, w trzecim już pokoleniu, kiedy nalegałem, by wyjawiał mi swoje tajemnice doboru ziół, maści czy sposobu leczenia, powiedział krótko: — Tak ma być jak ja powiem. A później dodał: — Mam ja jeszcze w sobie taką siłę tajemną, którą mogę przekazać tylko jednej osobie, bo tej siły nie można dzielić. Dziadek leczył, ojciec leczył, Kiedy umierał, przekazał to mnie. Na początku mówił: Nie rób użytku z tej wiedzy ludziom, bo cię zniszczą, tylko sobie. Ale przed śmiercią powiedział: Pomagaj ludziom, I ja to robię. Przyjeżdżają, proszą, czasem błagają — ja chcę żyć, Mam ich wypędzać?

Wiek XX przyzwyczaił nas do racjonalnego sposobu myślenia. Stąd pogarda dla „ciemnoty” i „zabobonu”, jakiej nas się uczy od dziecka wpajając równie nieracjonalny kult nauki, która jakoby wszystko nam zdolną była rozwiązać. Tymczasem w tymże „zabobonie” zdaje się być ukryte głębokie jądro prawdy. Medycyna ludowa bowiem, jeżeli spojrzeć się na nią głębiej, odwołuje się przede wszystkim do sił samoobronnych organizmu stymulując je przez naturalne leki ziołowe, do psychiki ludzkiej, jako motoru napędowego funkcjonowania organizmu oraz do ukrytych sił przyrody włączając w to również człowieka. I wbrew pozorom jest to wszystko bardzo racjonalne. Lekki ziołowe cały świat przywraca do łask. Medycyna naukowa przyznaje ostatnio, aczkolwiek jeszcze niezbyt głośno, że około 70 procent chorób, a już na pewno ponad połowa, ma pochodzenie psychogenne, czyli rozpoczyna się, ma podłoże w psychice człowieka.

Dziś także wiadomo, że jesteśmy strukturami chemicznymi ale jednocześnie i bioelektrycznymi, że posiadamy pole elektromagnetyczne czy biopole o dziwnej naturze, zdolne czasem oddziaływać na innych.

Pozwala nam to odgadywać ową „siłę tajemną” uzdrowicieli, w którą prawdopodobnie każdy z nas jest naturalnie wyposażony, tyle że w różnym stopniu. Rzecz interesująca, ów uzdrowiciel, którego tu wspominałem, miał równocześnie różdkarskie.

Wydawałoby się, że w krajach o wysokiej cywilizacji i łatwym dostępie do lekarza, podobnie jak i u nas, zainteresowanie ludowym czy, jak się obecnie modnie mówi — niekonwencjonalnym sposobem leczenia zaniknie zupełnie. Tak się jednak nie dzieje. Tzw. znachorów zastąpili radiesteci czyli po prostu różdkarze, uzdrowiciele typu Harisa, różnego rodzaju „specjaliści” od psychoterapii, psychoanalitycy a nawet popularne i u nas tzw. telefony zaufania. Wszystko to mieści się w konwencji medycyny ludowej, tyle że dostosowanej do naszych czasów. Graniczy z magią, „cudownością”, odwoływaniem się do ukrytych sił psychicznych, sił natury i możliwości samoregulacji organizmu.

Może człowiek potrzebuje trochę niezwykłości dla uruchomienia procesów psychofizycznych, które same w sobie są niezwykle, tak jak i tajemnica życia?

Weźmy np. zwykły bursztyn. W starożytności był ceniony wyżej niż złoto. W języku egipskim nazwa bursztynu oznaczała — „kamień życia i śmierci”. Starożytni wędrowali tysiące kilometrów z południa

nad Bałtyk po ten drogocenny „kamień”, szlaki bursztynowe decydowały o powstawaniu miast i osiedli. Medycyna ludowa od dawna знаła jego właściwości lecznicze ale dopiero teraz bursztyn odkrywa swoje tajemnice. Otóż tajemnica „kamienia życia i śmierci” leży prawdopodobnie w wytwarzaniu czy w sprzyjaniu powstawania ujemnych ładunków elektrycznych, czyli jonizacji otoczenia, która niezwykle korzystnie oddziałuje na człowieka, jego zdrowie i samopoczucie. Zwierzęta np. daleko mniej chorują i lepiej się rozwijają przy nasileniu ujemnych jonów lekkich, czyli wolnych elektronów. Potwierdziła to nauka. Już w 1935 r. drogą eksperymentów wykazano, że zwierzęta doświadczalne, trzymane w dostatecznej ilości powietrza lecz pozbawione zupełnie lekkich aerjonów, ginęły w bardzo krótkim czasie z ciężkimi zmianami wątroby i nerek.

Medycyna ludowa stosuje bursztyn, jako lek, w wielu chorobach, w postaci maści oraz rozpuszczonego w spirytusie płynu dodawanego kroplami do wody przegotowanej lub herbaty. Przy astmie np. dodaje się parę kropel rozpuszczonego w spirytusie bursztynu do kieliszka wina i wypija. Przy bólu głowy, powiadając radiesteci, wystarczy kawałkiem bursztynu potrzeć nasadę dłoni, skroń i kark a zaraz nastąpi ulga i lepsze samopoczucie.

Zmały kilka lat temu, a znany z wielu publikacji w prasie i telewizji zieleń i jasnowidz o zdumiewających zdolnościach — Klimuszko twierdził, że bursztynem można się uchronić przed grypą wypijając codziennie rano szklankę herbaty z

domieszką kilku kropeł nalewki bursztynowej. Podobnie przy leczeniu grypy, zapalenia oskrzeli, niedomagach serca, jak osłabienie mięśnia sercowego, arytmia czy przy bólach głowy nacieranie watą nasączoną nalewką bursztynową, a w braku jej — kawałkiem bursztynu, daje dobre wyniki. Oto jak wg Klimuszki należy sporządzić nalewkę bursztynową: kawałki rodzimego bursztynu, nigdy topionego, w ilości 50 g wypłukać w letniej wodzie, wsypać do butelki o pojemności 3/4 litra, zalać czystym spirytem. Już po dziesięciu dniach nalewka jest gotowa. Bursztyn w zasadzie nie rozpuszcza się, wydziela tylko mikroskopijne cząsteczki, które zabarwiają spirytus na kolor złoty. Po wyczerpaniu nalewki można jeszcze raz młotkiem pokruszyć go i zalać po raz drugi spirytem. Trzeciej raz już się nie da.

Klimuszko zaleca kobietom noszenie bursztynowych naszyjników, ale tylko z rodzimego bursztynu i o ogniach wielobocznych, nieszlifowanych, bo tylko takie zalamują promienie i kierują je do wnętrza człowieka. Noszenie bursztynu na szyi może leczyć tarczycę a nawet niekiedy zapobiegać nowotworom.

Zbyt wiele zawierzyliśmy tu bursztynowi, zapewne nie jest on cudownym środkiem zapobiegającym wszystkim chorobom, co nie znaczy, by go nie doceniać. O zdrowiu i dobrym samopoczuciu decyduje przede wszystkim środowisko, w którym człowiek żyje. Niektórzy nawet twierdzą, że ile miejsc zdrowych, tylu zdrowych ludzi. I na od-

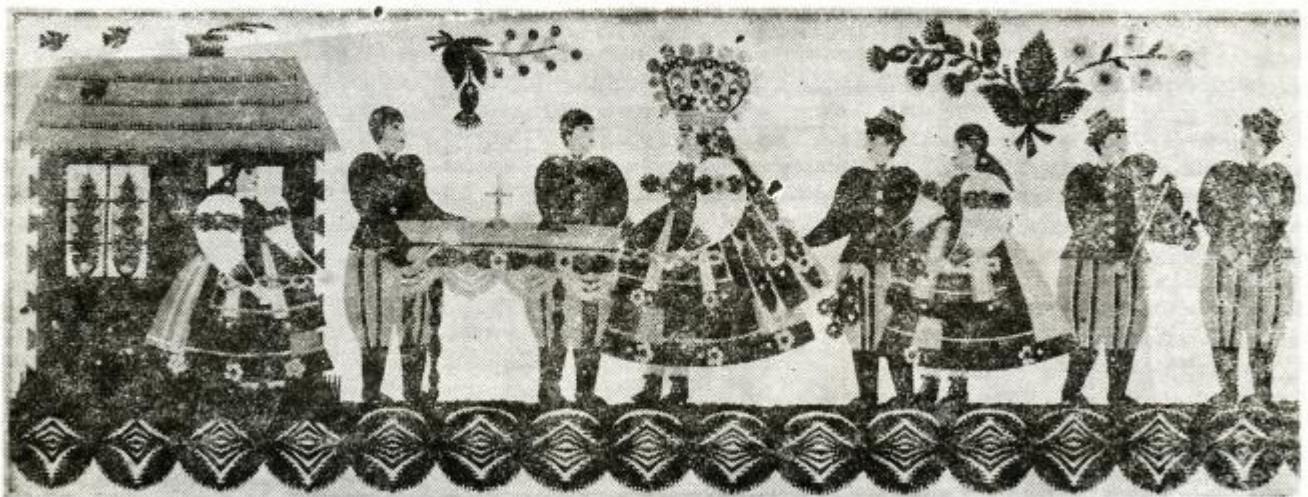
wrót. Nasz wiek z cywilizacją i techniką degradującą naturalne środowisko i naturalny sposób życia, niesie ze sobą szczególnie dużo zagrożeń. Betonowe lub cementowe mieszkania, zbrojone w dodatku stalą, sztuczne tworzywa, źródła prądu, agregaty wytwarzają niekorzystne promieniowanie i pola elektromagnetyczne, zakłócają naturalne pola bioelektryczne człowieka. Do tego dochodzą ubrania ze sztucznego tworzywa. Wystarczy zdjąć w ciemnym pokoju zwykły pulower z elany czy z innego tworzywa, by móc „podziwiać” snopy iskier, albo przybliżyć dłoń do ekranu telewizora kolorowego, by usłyszeć suchy trzask wyładowań elektrycznych. Nie tylko tzw. uzdrowiciele, ale i niektórzy lekarze twierdzą, że wystarczy iż kobieta zmieni bieliznę ze sztucznego tworzywa na bawełnianą, a wiele dolegliwości zniknie samo.

Radiesteci przestrzegają nas przed niekorzystnym działaniem dodatnich ładunków elektrycznych. A promieniuje w ten sposób przegrzane powietrze, płytki PCW, sztuczne tworzywo, chemikalia. Można i trzeba im przeciwdziałać, przywracać równowagę w otoczeniu eliminując to, co sztuczne i otaczając się roślinami o dobroczynnym promieniowaniu ujemnym. Z roślin domowych do takich należą przede wszystkim paprocie i paprotki a także fikusy; wypromieniowują ładunki ujemne. Rośliny te w niezbyt zdrowych, zapromienionych miejscach marnieją, giną. Zie natomiast oddziałuje na zdrowie i samo-

poczucie chińska róża, najgorsze są natomiast prymulki i wszystkie kwiaty o czerwonych łodygach oraz liściach. Promieniają dodatnio.

Amieszkania? We Francji przeprowadzono taki oto eksperyment: wybudowano trzy budynki, drewniany, z cegły i trzeći — z betonu. Całość ogrodzono a do środka wpędzono świnię. Przyszła noc, całe stado powędrowało na legowisko do budynku drewnianego. Wyburzono zatem budynek drewniany. Wszystkie świnię na legowisko wybrały budynek z cegły. Wyburzono więc i ten. Świnię nocowały pod gołym niebem, żadna nie weszła do budynku z betonu. Zwierzęta, bogatsze o instynkt, bezbiednie reagują na szkodliwe promieniowanie. My już nie stawiamy betonowo-cementowe bunkry i blokując wszelkiego rodzaju przychodnie uważamy, że jesteśmy nowoczesni. Wyposażmy przynajmniej podłogi i ściany w drewno naturalne, czym więcej go będzie, tym lepiej, w tkaniny naturalne, skóry, wystrzegając się lakierów podłogowych, obić ze sztucznego tworzywa, dywanów syntetycznych. Najzdrowsze jest łóżko z siennikiem wypchanym słomą owsianą, lniane prześcieradło i poduszka z pierzem.

Bardziej jeszcze szkodliwe są podziemne ciekły wodne. Napisano już o tym wiele, temat swego czasu był niezwykle modny, więc tylko kilka zdań na ten temat. W tradycji ludowej domy z bocianim gniazdem uważano za szczęśliwe. Po prostu były to domy zdrowe. Na wsi znano kiedyś obyczaj groduzenia miejsca



Maria Ciechańska, Wesele, wycinanka, Łódź

Fot. Piotr MACIUK

przeznaczonego pod dom czy oborę, i wpędzania tam na noc bydła. Tu, gdzie się położyło, można było bez obaw wznosić budynki. Jeżeli stało całą noc, należało szukać innego miejsca. Zwierzęta bowiem, prócz kotów, nigdy nie będą wybierały miejsca napromieniowanego przez cieki wodne, nigdy, prócz pszczoł, nie założą tam swego gniazda. Potwierdziły to liczne eksperymenty. Zamiast rozwodzić się na ten temat przytoczę autentyczną wypowiedź kobiety. Zanotowałem parę lat temu w autentycznej wsi.

— Po ślubie — opowiadała ta dzielna rolniczka, absolwentka technikum ekonomicznego — trzy lata mieszkaliśmy u teściów. Dom był zdrowy i my byliśmy zdrowi. W 1963 roku pobudowaliśmy się tutaj. I od tej pory zaczęły się choroby. Poprzedni właściciel wyprowadził się stąd, nic mu się nie wiodło, ale nie powiedział dlaczego. I nam się nic nie wiodło. Tyle miałam krów, ale co trzy lata każda padała. Nie było dla żadnej lekarstwa. Tak samo nie wiodły się świnię. Spaliśmy w dużym pokoju, tapczany były zsunięte, na jednym spał synek. Musiałam go trzymać, bo ciągle spadał. Co się budzę, szukam, a jego nie ma. Zsunie się w „głowy” albo w „nogi”. Kto tam wiedział, że przez tapczan „przepływa” żyła wodna? Później przyszło najgorsze. Teściowa, jak przeprowadziła się do nas, zdrowa była, jadła wszystko, a tu nagle umiera. Akurat tam, gdzie serce przebiegała pod łóżkiem żyła wodna. Ja miałam, niedobrze

mi się robiło, człowiek sam siebie się bał. Chodziłam do lekarza ale on mówił, że dla mnie nie ma lekarstwa. Wszystko niby w porządku, a wzrok traciłam, to co było dokola, wydawało mi się czerwone. Najgorzej w listopadzie, grudniu i styczniu. Trzy lata temu mąż zmarł na raka. Nie było ratunku. Mąż miał 45 lat. Spaliśmy na jednym tapczanie. To nie wszystko, najstarsza córka od urodzenia płakała na nogi. Syn także chorował, zawsze bolała go głowa. Kwiaty w pokoju w ogóle nie chciały rosnąć; paproć usychała, szparagusy usychały, tylko pelargonie rosły. Co tu dużo mówić, była bieda. Tak jak ja miałam, to najgorszemu wrogowi nie życzę. A dzieci przez to ludzkie gadanie bały się wieczorem na dwór wychodzić.

Dodajmy od siebie, że wieś, znając wszystkie nieszczęścia tej rodziny plotkowała o diable, który wybrał chyba sobie siedzibę w tej zagrodzie... Nasza bohaterka przeczytała gdzieś w gazecie o różdżkarzu, sprowadziła go, przebadał dom i całą zagrodę. Okazało się, że pod budynkami przebiegają szczególnie niebezpieczne skrzyżowania żył wodnych. W rozmowie ze mną dosłownie biogospławiła owego różdżkarza, który wyznaczył najzdrowszy kąt — jeden z najmniejszych pokoi, gdzie przeniosła się cała rodzina. Dolegliwości i choroby minęły. Mimo to, rolniczka, chociaż zabudowania są w zasadzie nowe, murywane, a do tego zadbane, rozpoczęła prace budowlane w nowym miej-

scu, wcześniej przeprowadzając cały inwentarz do budynków swojej rodziny.

Jakie z tego wynikają wnioski dla nas? Jak zwykle, nie należy z niczym przesadzać. Natomiast, jeżeli ktoś źle sypia bez wyraźnej przyczyny, jeżeli budzi się rano bardziej zmęczony niż wieczorem, odczuwa częste bóle głowy i niedyspozycje bez wyraźnego powodu, powinien nie tylko udać się do lekarza ale zmienić miejsce snu, czy ciągłej pracy przesuwać tapczan czy biurko tam, gdzie będzie się czuł najlepiej. Żyły wodne nie są mitem, chociaż natura ich promieniowania nie bardzo da się określić, aczkolwiek jest ono wyraźnie odczuwane przez ludzi uzdolnionych w tym kierunku. Radiesteci twierdzą, że podziemne cieki wodne sprzyjają wydzielaniu przez otoczenie dodatnich ładunków elektrycznych, zabójczych dla zdrowia. Wówczas najslabsza część organizmu odmawia po prostu posłuszeństwa i następuje załamanie. Choroba musi się znaleźć. Podobnie nie jest mitem „zdrowe miejsce” i „złe powietrze”, czyli otoczenie.

Miałem pisać w tym odcinku jeszcze o ziołach, i roli uzdrowiceli-zielarzy przy ich stosowaniu. Niestety, zbrakło miejsca. Przełożymy zatem ten temat do następnych naszych „nieobowiązkujących” spotkań.



Maria Ciechańska, Wesele, wycinanka, Łódź

Fot. Piotr MACIUK

KYONIKA

■ W ramach „Indywidualnych Prezentacji Twórców Ludowych” współpracujący ze Spółdzielnią „Folklor” w Poznaniu, w Salonie Parterowym Pałacu Kultury w Poznaniu otwarto wystawę Haftów Kunegundy Krzyżaniak z Goliny koło Jarocina i rzeźby Jerzego Napierały z Chodźży. Ekspozycję można było zwiedzać w dniach od 20 stycznia do 22 lutego br.

■ Natomiast w dniach od 25 lutego do 15 marca 1987 r. w pomieszczeniach Pałacu Kultury w Poznaniu można było obejrzeć wystawę prac Marii Kujath z Mośnicy—Frywolitki i rzeźby Bogdana Osucha z Jarocina.

■ W dniach od 22 do 26 stycznia 1987 r. odbywał się w Chełmie II Ogólnopolski Turniej Recytatorów i Teatrów Małych Form „Zródło”. Zródło oznacza tu sięganie do literatury ludowej, bądź literatury inspirowanej tradycją ludową. W kategorii recytatorów nagrodę specjalną za najlepszą interpretację utworu wybranego z twórczości ludowej macierzystego regionu otrzymał Michał Lipnicki — rolnik ze wsi Lubicz w woj. gorzowskim.

Nagrodę I-szą otrzymał Zenon Batorszuk z Chełma, zaś dwie nagrody trzecie Kazimierz Fecek z Walna w woj. piłskim i Barbara Dymecka z Wrocławia.

W kategorii teatrów — nagrodę I-szą otrzymał „Teatr przy kawie” z Grabowa, w woj. gdańskim, za spektakl pod tytułem „Sen kociewski” wg. „Wesela Kociewskiego” i „Słowników kociewskich” Bernarda Sychty.

Scenografię i reżyserię opracował Ireneusz Ciecholewski z Gdańska, który także otrzymał nagrodę instruktorską, obok Czesława Dopieralskiego z Chełma.

■ 26 lutego br. w Białej Podlaskiej, w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym, odbyła się uroczystość przekazania około 40 prac twórców ludowych z dziedziny tkactwa, wycinanek, rzeźby i haftu, które będą zdobiły pomieszczenia szpitalne.

Na uroczystość przybyła delegacja Oddziału Białsko-podlaskiego na czele z prezesem Oddziału Marią Tryczyk. Służbę zdrowia reprezentował dyrektor Szpitala — dr Stanisław Czop.

■ Towarzystwo Kultury Teatralnej — Oddział Wojewódzki w Lublinie, Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie, Wojewódzka Scena Amatora oraz Miejski Dom Kultury w Nałęczowie zorganizowali w dniach 28 lutego i 1 marca br. imprezę pt. Obrzędy, zwyczaje świąteczne i rodzinne, w którym wystąpili: Zespół śpiewaczy z Niedzwizkiej Kościelnej, zespoły folklorystyczne z Rozkopczewa, Prawiednik, Wojciechowa, Dzierzkowic Powodów i Wielkolasu oraz zespoły teatralne Kraczewic i Mateczyna.

■ W ostatnich dniach lutego br. zakończył się doroczny IX już Konkurs Młodych Gawędziarzy i Recytatorów imienia ludowego poety podhalańskiego — Andrzeja Skupnia—Florka. Nagrody otrzymali: Ewa Soltys z Jurgowa, Maciej Buńda z Maruszyny Dolnej, Janina Kramarz z Lipnicy, Beata Bogacz z Zabrzycy Górnej, Zofia Borowicz ze Skrzypnego, Stanisława Trebunia z Zakopanego, Alicja Góralik z Nowego Targu, Anita Zapala z Zakopanego, Andrzej Chlebek z Nowego Targu. Specjalne wyróżnienia poza konkursem otrzymała Danuta Lewandowska z Łęgu, gmina Drobin woj. płockie.

■ Klub Międzynarodowej Książki i Prasy w Grudziądzu zorganizował wystawę rzeźby Cezarego Kopika, której otwarcie nastąpiło 4 marca 1987 roku.

■ Zarząd Główny Stowarzyszenia Twórców Ludowych zorganizował w swojej siedzibie wystawę twórczości ludowej z Łowickiej, której otwarcie nastąpiło 5 marca 1987 r. Na wystawie zgromadzono wycinanki Ireny Stepień i Marii Ciechańskiej, rzeźby Juliana i Wojciecha Brzozowskich, Adama Głuszka, ceramiki Stefana Konopczyńskiego oraz haftu Heleny Gruszczyńskiej, Emili Pudłowskiej i Heleny Muchy. Uroczystość otwarcia wystawy uświetniła Łowicka Kapela ze wsi Osieka na czele z jej solistą Franciszkiem Wołowcem.



Kapela ludowa z Łowicza w trakcie otwarcia wystawy pt. „Łowicka sztuka ludowa”

■ Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Zarząd Główny STL oraz Klub Międzynarodowej Prasy i Książki zorganizowali wystawę „Malarstwa na szkle” Aliny Pitoń-Bachledowej, której otwarcie nastąpiło 17 marca 1987 r. w salach Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Lublinie przy ul. Grażyny 7.

J. J.

Helena Mucha. Bluzka, Różyce, woj. skierniewickie



Słownik twórców ludowych

Od kilkunastu lat mówi się o potrzebie opracowania i wydania słownika twórców ludowych. Póki co, wyjąwszy fragmentaryczne publikacje, nikt tego zdania nie podjął. Aby przypomnieć problem i chociaż w części wypełnić lukę, postanowiliśmy wprowadzić do „TL” stałą rubrykę zatytułowaną „Słownik twórców ludowych”. Będziemy w niej zamieszczać uporządkowane w sposób encyklopedyczny podstawowe informacje o poszczególnych twórcach ludowych oraz dyscyplinach twórczości ludowej. Druk haseł — nazwisk został pomyślany tak, by można było je wyciąć, nakleić na znormalizowaną kartkę katalogową (biblioteczną) i włączyć do skrzynki katalogowej. W ten sposób, z biegiem czasu można będzie prowadzić w formie katalogowej podręczny zbiór haseł, formowany w sposób dowolny, (alfabetyczny, rzeczowy, mieszany) zależnie od potrzeb prowadzącego katalog (kraj, region, województwo, lub rzeźba, tkactwo, wycinanka itp.). Sądzymy, że taki katalog — słownik byłby przydatny dla wielu instytucji i organizacji: jak chociażby: wydziałów kultury UW, muzeów, domów kultury, towarzystw regionalnych, bibliotek, szkół, oddziałów STL, instancji czy ośrodków specjalnych, organizacji społecznych i młodzieżowych a także dla osób prywatnych, zainteresowanych folklorem, literaturą czy sztuką ludową.

Można by poddawać w wątpliwość celowość naszej inicjatywy, możliwości nasze są bowiem ograniczone, kilkadziesiąt haseł rocznie przy ok. dwu tysiącach zarejestrowanych twórców ludowych, rzecz całą może rozciągnąć na długie lata. Otóż i tak i nie; widzimy możliwości drukowania specjalnych wkładów słownikowych: nikt też nie powiedział, że np. przy ewentualnym zwiększonym zainteresowaniu społecznym kwartalnik w przyszłości nie zostanie przekształcony na miesięcznik.

Czekamy zatem na listy i opinie dotyczące celowości i charakteru zaproponowanego słownika.

BEDNARZ BRONISŁAW, ur. w 1927 r. w Bańskiej, zam. Skrzypne 165, 34-024 Szafliary, woj. nowosądeckie. Uprawia rzeźbę i malarstwo na szkło, pracuje w gospodarstwie rolnym. Zadebiutował w roku 1973, w konkursie na sztukę ludową Podhala. Laureat wielu konkursów, w tym i nagrody w ogólnopolskim konkursie „Ojczyzna” (1984). Prace B. Bednarza eksponowane były w kraju i za granicą (NRD, Czechosłowacja), wystawy indywidualne — w Domu Sztuki Ludowej w Warszawie, w Nowym Sączu, Lublinie oraz w Finlandii. Prace — w wielu muzeach oraz zbiorach prywatnych.

Twórczość B. Bednarza charakteryzuje się autentyzmem, oryginalnością, świetną kompozycją i ciekawą, harmonijną kolorystyką. Tematyka — bardzo różnorodna od sakralnej, poprzez sceny z życia wsi podhalańskiej aż do scen zbójnickich. Należy do grona najwybitniejszych twórców ludowych.

20 III 1987 r.

B.W.

BURZYŃSKA MELANIA, ur. 1 VII 1917 r. w Jaświłach woj. białostockie, gdzie mieszka do dzisiaj pracując we własnym gospodarstwie rolnym. Zajmuje się twórczością poetycką, prozatorską i dramaturgiczną. Spisuje dawne zwyczaje i obrzędy ludowe.

Debiutowała w 1965 roku, opublikowała dwa indywidualne tomiki: *Szara przędza*, Wyd. „Pojezierze”, 1977, i *Poezja życiem pisana WL*, 1977. Kolejny tomik poetycki w druku, w LSW. Ponadto publikowała wiersze w kilku antologiach poezji ludowej, prasie centralnej i regionalnej, oraz telewizji i radiu. Laureatka Nagrody Ministra Kultury i Sztuki (1973) oraz nagrody artystycznej im. Jana Pocha (1974). Pełniła funkcje społeczne we władzach STL, działa w Białostockim Towarzystwie Kultury i KGW. Odznaczona m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Serca — Matkom Wsi, odznakami: Zasłużony Działacz Kultury, Zasłużony Białostoczyźnie.

Poezja M. Burzyńskiej nie zamyka się w wąskim kręgu spraw wiejskich. Często porusza problematykę ogólnoludzką, ogólnospołeczną, humanistyczną.

5 III 1987 r.

acz

HOLUBOWSKI JAN, ur. 19 VII 1932 r. w Pielokanicy, ZSRR, zamieszkały w Braniewie, ul. Wiejska 29, woj. ełbskie. Muzyk — instrumentalista, gra na cymbałach.

Nagrania melodii wykonywanych przez niego znajdują się w Polskim Radiu w Warszawie, Rozgłośni PR w Olsztynie oraz Instytucie Sztuki w Poznaniu. Był bohaterem audycji telewizyjnej „Chata pełna muzyki” (1972). Koncertuje prawie na wszystkich ważniejszych imprezach folklorystycznych w kraju, m. in. Ogólnopolskim Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu, gdzie zdobył w 1971 r. III miejsce w kategorii muzyków-instrumentalistów. Przekazuje swoje umiejętności wykonawcze oraz bogaty repertuar młodzieży. Laureat nagrody artystycznej im. Jana Pocha.

Należy do najwybitniejszych muzyków ludowych. Jego repertuar jest pełen ekspresji, temperamentu, ukierunkowany na melodie żywe, skoczne.

10 III 1987 r.

acz

KUCHTA WŁADYSŁAW, ur. 7 X 1911 r. w Molodutynie w woj. chełmskim, gdzie mieszka do dzisiaj. Znany poeta ludowy, zasłużony działacz kulturalny i społeczny, jeden z założycieli STL. Debiutował w 1930 r., wydał tomiki poetyckie: *Bławatki*, (1963), *Z wierszami przechodzę do was*, (1978), *Pachną chlebem pola* (1984), wszystkie nakładem WL oraz *Portret Władysława Kuchty* WDK, Chełm 1986. Ponadto publikował wiersze w antologiach poezji ludowej oraz w prasie centralnej i regionalnej. Laureat nagrody Ministra Kultury i Sztuki (1978), nagrody artystycznej im. Jana Pocha (1976), nagrody PWRN w Chełmie za całokształt twórczości literackiej. Działacz m. in. ZSL, ZG STL, Stow. Miłośników Ziemi Chełmskiej, korespondent kilku pism. Odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Twórczość poetycka Kuchty jest odbiciem jego pasji życiowych jako rolnika, społecznika i folklorysty. Świat przyrody wykorzystuje jako tworzywo literackie do snucia refleksji, ale równocześnie niezwykle optymistycznych rozważań nad sensem życia.

5 III 1987 r.

acz

PIETRZAK PELAGIA, ur. 10 III 1932 r. w Golinie, woj. kaliskie, gdzie mieszka do dziś pracując w gospodarstwie rolnym. Należy do grona nielicznych już hafciarek, zajmujących się wielkopolskim haftem snuikowym. Prace jej eksponowane były w 29 wystawach w kraju i za granicą, m. in. w Wiedniu, Budziszynie, Krakowie, Warszawie i Poznaniu. Laureatka ogólnopolskich i regionalnych konkursów, w których zdobyła 12 nagród i wyróżnień, w tym III-cie miejsce w ogólnopolskim konkursie na hafty ludowe organizowanym przez MKiS, STL i Muzeum Etnograficzne w Toruniu. Jej prace znajdują się w zbiorach muzeów etnograficznych w Warszawie, Krakowie i Toruniu oraz innych muzeach okręgowych i regionalnych. Członkini KGW, prowadzi kursy haftu, przekazuje umiejętności następcom. W 1987 r. 40-lecie pracy twórczej.

Haft Pelagii Pietrzak wyróżnia się kompozycją i starannością wykonania.

20 III 1987 r.

S.D.

SPIS TREŚCI

Publicystyka		
Maria Brzezińska — <i>Chodząc po Grobli</i>	1	
Krystyna Widerman — <i>Ginące zawody: Dzwony</i> ,	3	
Kultura — niezbędnym czynnikiem przemian	5	
Zdzisław Podkański — <i>Nie stracić ostatniej szansy</i>	6	
Urszula Remiszewska — <i>Ojciec przy obrzędku</i>	10	
STW — „Akcent” o kulturze chłopskiej	12	
Stanisław Weremczuk — <i>Chciałem go zrobić potężnym</i>	13	
Maria Brzezińska — <i>Ktoś ty taki, skąd ty rodem</i>	16	
Zbigniew Korzeniowski — <i>Na szczęście, na zdrowie</i>	18	
Barbara Michałowska-Rozhin — <i>Chelmskie „Zródło”</i>	20	
Janusz Januchowski — <i>30 lat Wydawnictwa Lubelskiego</i>	20	
 Proza		
Kazimierz Maurer — <i>Diabeł w kumnie</i>	22	
Melania Burzyńska — <i>Kto dureń?</i>	23	
Józef Citał — <i>Humoreski ludowe</i>	23	
Jadwiga Wichracka — <i>Skarb</i>	24	
Stefan Sidoruk — <i>Pola obsiane od nowa</i>	29	
 Wiersze		
Ignacy Antosz, Irena Butkiewicz, Józef Chojnacki, Maria Chraścina, Jan Główka, Władysław Koczot, Eugenia Kosowska, Władysław Kuchta, Tadeusz Machnowski, Józef Małek, Tadeusz Michalski, Alojzy Nagel, Hanka Nowobielska, Władysław Rutkowski, Teresa Szczepaniak		
 Polemiki		
Kany — <i>Reformatory STL</i>	30	
 Szkice i opracowania		
Donat Niewiadomski — <i>Obrazy zgonu rolnego w literaturze ludowej</i>	33	
Wojciech Łysiak — <i>„Z piekła Bartek” i inni cudowni muzykanci na Kujawach</i>	35	
Anna Brzozowska-Krajka — <i>„Sztuka poetycka” na cenzurowanym</i>	30	
<i>Refleksje konsultanta literackiego</i>	30	
 Trybuna poetycka	40	
 Recenzje		
Donat Niewiadomski — <i>Czas tajemnic i nadziei</i>	41	
Antoni Krawczyk — <i>Chłopski rodowód kultury narodowej</i>	42	
Stanisława Niebrzegowska — <i>O „Godach zamojskich”</i>	44	
 Ze świata		
Edward Balawejder — <i>Z polskim folklorem po Stanach Zjednoczonych</i>	45	
 Porady		47
 Czytelnicy piszą		
Władysław Sitkowski — <i>Spotkanie z pisanką</i>	49	
Alicja Makarska-Grzywa — <i>10 lat Oddziału STL w Radomiu</i>	49	
Andrzej Golec — <i>Z Ziemi Żywieckiej</i>	50	
Andrzej Golec — <i>Jaworzynka</i>	51	
 Informacje		
Korz. — <i>Twórcy ludowi Beskidu</i>	53	
Fundusz Ochrony i Rozwoju Twórczości Ludowej	54	
Piotr Wołowik — <i>Medycyna ludowa: Tak ma być, jak ja powiem</i>	55	
 Kronika		58
 Słownik twórców ludowych		59

Uwaga — reklama!

Począwszy od czwartego numeru miejsce to przeznaczamy na reklamę związaną ze sztuką oraz życiem wsi.

Warunki: 130 zł za 1 cm² lub 100 zł za słowo.

Zgłoszenia z załączonym tekstem prosimy kierować na adres: **Biuro Ogłoszeń i Reklam, 20-116 Lublin, ul. Rybna 13, tel. 214-23 lub do redakcji „Twórczości Ludowej”.**

Twórczość Ludowa

Cena egz. — 80 zł, prenumerata półroczna — 160 zł, roczna 320 zł

WARUNKI PRENUMERATY:

1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy;
— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;
— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:
— osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — w siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”;

3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zlecniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

